

Tajna broń Ben Ladena

Gerard de Villiers



calibre 0.9.27

Gerard de Villiers

Tajna broń Ben Ladena

Tumer zbliżył się do lustra wiszącego nad umywalką i dokładnie obejrzał swoją twarz.

Nie znośli być źle ogolony.

Lustro ukazało mu oblicze mężczyzny o rysach regularnych, choć twardych, z czarnymi brwiami, podkreślającymi szarozielone, chłodne oczy bez wyrazu.

Miał wydatny nos i mocno zarysowane usta, które rzadko układały się do uśmiechu.

John Tumer był przystojnym mężczyzną, lecz jego zachowanie, powściągliwe i z rezerwą, co w znacznej mierze wynikało z nieśmiałości, przyczyniało się do tego, że jego ruchy zdawały się odrobinę niezręczne.

Wyglądało, jakby czuł się źle w swoim wielkim ciele.

Zadowolony z wyglądu swojej skóry, starannie szesał gęste, czarne włosy na prawo, pozostawiając przedziałek po lewej stronie.

Już od najwcześniejszego dzieciństwa poświęcał wiele uwagi fryzurze.

Jego ojciec, fryzjer z Peorii, małego miasteczka na Środkowym Zachodzie, nauczył go strzyc się, zanim nauczył go czytać.

Nagi, tylko z ręcznikiem wokół bioder, zakończył wreszcie swoje oględziny.

Nie miał skłonności do narcyzmu, jednak lubił mieć pewność, że prezentuje się dobrze.

Do dajmy: John Tumer był raczej introwertykiem i miał nie wielu przyjaciół.

Jego sposób bycia sprzyjał temu, że nie za bardzo zwracał na siebie uwagę.

Było to raczej korzystne w zawodzie, który uprawiał od ponad trzydziestu lat.

- John!

Kobiecy głos sprawił, że drgnął i szybko wytarł twarz.

Nie znośli, kiedy ktoś zaskakiwał go nago.

- Jestem w łazience - zawołał mocnym, dobrze ustawionym głosem, jednak nieco bezosobowym.

Był w pomieszczeniu, którego kiczowaty luksus wciąż go zadziwiał.

Wszędzie było pełno złota i luster.

To, w którym się przeglądał, miało grubą, złotą ramę; sedes zdobił ornament z fałszywego brązu, zaś bateria przyborów toaletowych błyszczała niczym skarby Ali Baby.

Pamela Chamberlain, mieszkanka apartamentu, lubiła oznaki luksusu, widoczne na pierwszy rzut oka.

Rozległo się stukanie obcasów i ona sama ukazała się w progu.

Wysoka blondynka, żywiołowa, z zawadiacko zadartym nosem, wesołym spojrzeniem szarych oczu i z nogami do nieba.

Tego ranka, ubrana w czarny kostium z alpaki, ze spódnicą ponad kolano i w czarnych pończochach, stąpająca na niebotycznych, dwunastocentymetrowych obcasach, przypominała jedno z tych ognistych i uwodzicielskich stworzeń, jakie można spotkać w porze lunchu u Ciprianiego, eleganckiej restauracji na Piątej Alei.

Trudno było uwierzyć, że jest kompetentnym i bezwzględnym adwokatem, najmłodszym ze wspólników kancelarii Cohen, Cohen Marvin, który nie ma zwyczaju pochylać się nad problemami swoich klientów za mniej niż pięćset dolarów za godzinę.

W wieku trzydziestu ośmiu lat zarabiała dość, by móc pozwolić sobie na ten apartament o powierzchni 1200 stóp na czterdziestym drugim piętrze Trump Tower, za kosmiczną sumę 6500 dolarów miesięcznie, plus świadczenia.

Ponadto, przez snobizm, zostawiła kilkadziesiąt tysięcy dolarów u Claude'a Dalle'a, paryskiego dekoratora, za sprawą którego jej gniazdko można było zaliczyć do najbardziej luksusowych w Trump Tower.

Spełniło się jej marzenie z dzieciństwa, które upłynęło w Calico Rock, małej dziurze w Arkansas, w starym, drewnianym, źle ogrzewanym domu, umeblowanym skąpo i po spartańsku.

Dzieciństwa, pełnego snów o drapaczach chmur, luksusie i sukcesach.

Równie twarda, co niezależna, chwyciła się każdej pracy, nigdy nie oczekując pieniędzy od mężczyzn.

Niemniej jednak jej spektakularna uroda sprawiała, że oni padali przed nią niczym muchy.

Pamela Chamberlain wzięła jednak swoje życie uczuciowe w na wias, zadowolając się nieskrępowanym życiem seksualnym z partnerami, których wybierała sama, nie chcąc od nich nic prócz seksu.

Obdarzyła Johna Tumera długim spojrzeniem, lekko zabarwionym wyrzutem.

- Nie byłeś wczoraj w formie - zauważyła.

- Co więcej, bez przerwy wierciłeś się w nocy, jakby dręczyły cię koszmary. Masz kłopoty?

- Nie - stwierdził John Tumer swoim neutralnym głosem.

- Musiałem wypić odrobinę za dużo.

Jedli kolację w chińskiej restauracji na Mott Street, w Chinatown.

John Tumer lekką ręką opróżniał kolejne szklanki Defendera, zaś droga do apartamentu Pameli Chamberlain była na tyle krótka, że nie zdołał odzyskać sił.

Zadowolili się byle jakim numerkiem w stylu starych par kochających się przed pójściem spać.

Pamela musiała poskromić swoje libido.

Poczuła się zawiedziona i wściekła, widząc, jak nadzieja na seksualną satysfakcję rozwiewa się niby dym.

Udawało się jej ostatnio utrzymywać niezłą równowagę hormonalną dzięki kilku kochankom, z usług których korzystała z zapalem, acz umiarkowanie, a John Tumer był jej faworytem.

Mało zaborczy, niezazdrosny, dobrze wyglądający i nie najgorszy w łóżku, choć niezbyt namiętny.

Pamela radziła sobie z tą wadą, puszczając wodze swojej fantazji w czasie, kiedy on po ruszał się w niej.

- Muszę iść - westchnęła.

- Wracasz do Waszyngtonu?

Była dopiero siódma, lecz Pamela przychodziła bardzo wcześnie do biura, by móc w spokoju studiować akta.

- Mam zaraz pociąg.

Muszę być w moim biurze za dwie godziny.

- OK-, darling - powiedziała z lekką rezerwą, i John Tumer odłożył grzebień.

Zbliżył się do niej, przy ciągnął ją do siebie, otaczając talię ramieniem.

- Przykro mi z powodu wczorajszego wieczoru.

Spróbuję wrócić na weekend.

Pamela Chamberlain nie odpowiedziała.

Rozwiązała, w przeciwieństwie do niego, myślała w tej chwili tylko o jednym: kochać się. Pragnęła przed długim i ciężkim dniem wymazać frustrację, którą wciąż odczuwała. Wtuliła twarz w szyję swojego kochanka, czując, jak jego ręka głaszcze jej lewe udo i nieruchomieje.

John Tumer pod czarną spódnicą wyczuł podwiązkę.

Prawie natychmiast Pamela zarejestrowała, że coś wielkiego i twardego rysuje się pod rękami, i uśmiechnęła się w duchu.

Jak wszyscy konserwatywni Amerykanie, John Turner miał głowę pełną stereotypów.

Reagował jak pies Pawłowa, pończochy oznaczały dla niego dziwkę.

Ubierając się, Pamela umyślnie zdecydowała się na pończochy i nieco dłuższą spódnicę w miejsce wyzywającego mini.

Dodawało jej to erotycznego powabu.

Pragmatyczna, spodziewała się, że owa taktyka w wyborze stroju nie pujdzie na marne.

Miała zaplanowany business lunch z atrakcyjnym prawnikiem z Chicago, który z dużym prawdopodobieństwem mógł skończyć się tak jak ostatnio, w Sherry Netherland.

John Tumer przeciągnął palcami wzdłuż podwiązki.

Jego pierwsze seksualne doświadczenie z przyjaciółką matki, która nosiła czarne, błyszczące pończochy, mocno zapisało się w jego pamięci.

Zacisnął ramię wokół talii Pamelii Chamberlain, która zrozumiała, że jej plan zaczyna przynosić efekty.

Otarła się rozkosznie o swojego kochanka i rzuciła podnieconym głosem:

- Jesteś w o wiele lepszej formie niż wczoraj wieczorem.

John Tumer nie umiał dobrze wyrażać swoich uczuć i pragnień, lecz miał coś w rodzaju szóstego, zwierzęcego zmysłu.

Jego ręka posuwała się od podwiązki w górę i znalazła nabrzmiały seks, ukryty pod majteczkami z czarnej satyny.

Nie ściągając ich, John Tumer zaczął delikatnie pieścić Pamelę.

Wiedział, że to uwielbia.

Młoda prawniczka przymknęła oczy i poczuła, że wiotczeje w jego ramionach. Po omacku wsunęła dłoń pod ręcznik otaczający lędźwie Tumera i zacisnęła pięść na jego twardniejącym członku.

Przez kilka chwil pieścili się wzajemnie, bez słowa, odczuwając coraz większą satysfakcję.

Wkrótce Pamela uczyniła jednak krok w tył.

- Chodź - powiedziała.

- Nie mam za wiele czasu.

Ręcznik zsunął się z bioder Johna Tumera za sprawą Jego tryumfującej męskości.

Pamela pociągnęła go w kierunku łóżka.

Ominęła je z uśmiechem, przecięła po kój, docierając do niewielkiego biurka w kącie living-roomu i zdecydowanym ruchem zmiotła z niego teczki z aktami, piętując się obok komputera.

Odwróciła się, oparła plecami o biurko w pozycji niepozostawiającej żadnych wątpliwości.

John Tumer zbliżył się do niej i ponownie zaczął ją pieścić, wielokrotnie prześlizgując się palcami pod satyną. Pamela oparła prawą nogę o krzesło stojące przy biurku, aby zachęcić go jeszcze bardziej.

Członek kochanka, celujący w jej brzuch, wydał się jej ogromny.

Popatrzyła w dół i powiedziała lekko załamującym się głosem:

- Pieprz mnie bez ściągania majtek, jak sekretarkę dopadniętą przez szefa.

Obiema rękami uniosła spódnicę aż po biodra, ukazując ponętne uda.

John Tumer wsunął się między nie, lewą ręką odchylił elastyczny materiał majtek, a prawą wprowadził w nią swój członek, odpowiednio powoli.

Pamela popatrzyła, jak znika w jej wnętrzu i pozwoliła pchnąć się na biurko. John Tumer, ułożywszy ją we właściwej pozycji, objął jej nogi wyciągnięte pionowo i zaczął poruszać się w niej spokojnymi pchnięciami lędźwi, za każdym razem wychodząc z niej niemal całkowicie.

Pamela jęczała bez przerwy.

Nagle jej pośladki zaczęły wykonywać coś w rodzaju tańca świętego Wita, jakby siedziała na rozpalonej płycie, po czym rzuciła ochryplym głosem:

- Już dochodzę!

W kilka sekund później John Tumer wystrzelił w nią na sieniem.

Puścił jej nogi i obcasy Pameli odzyskały kontakt z podłożem.

Młoda kobieta uniosła się, nadal z jego członkiem w sobie; jej twarz przybrała wyraz rozbawienia.

- Dziś dobrze mnie pieprzyłeś, ale muszę już iść.

John wyszedł z niej i Pamela skierowała się do łazienki, wciąż mając spódnicę zrolowaną wokół bioder.

Nawet nie zdjęła z siebie reszty stroju.

John Tumer podniósł ręcznik i znów się nim owinął.

Był bardzo wstydlivy.

Pamela pojawiła się po chwili, obdarzyła go szybkim pocałunkiem, wzięła swoją aktówkę i ruszyła ku drzwiom.

Była zaledwie 7.23.

-Zatrzaśnij, wychodząc - rzuciła. I zadzwoń do mnie.

Na podeście, czekając na windę, pomyślała, co też mogło tak bardzo zajmować Johna w ubiegły wieczór, że nawet nie zechciał się wysilić...

Rzadko mówił jej o swoich sprawach, wiedziała tylko, że po odejściu z CIA założył w Waszyngtonie małą firmę zajmującą się wywiadem gospodarczym, przede wszystkim w Azji Centralnej i na Subkontynencie indyjskim.

Właśnie dzięki temu spotkali się - klient jej kancelarii chciał otworzyć fabrykę safianu w Pakistanie.

Winda nadjechała i windziarz pozdrowił ją:

- Good morning, Mrs Chamberlain.

How are you oday?

- Pretty well, Jimmy, pretty well - odpowiedziała machinalnie Pamela Chamberlain, zastanawiając się, czy będzie się dzisiaj kochać z dwoma mężczyznami, czy też ograniczy się do miłych wrażeń, które przyniósł jej poranek.

Był to czas indiańskiego lata w Nowym Jorku i temperatura była więcej niż łaskawa.

John Tumer pojawił się na Piątej Alei w promieniach słońca, trzymając w ręku swoją aktówkę.

Mimo iż ubierał się w pośpiechu, był już spóźniony.

Niepokoił się.

Jego zegarek wskazywał 7.33, gdy dotarł do przystanku linii F metra, na rogu Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy i Piątej Alei.

Pospieszny skład zmierzający ku downtown właśnie nadjechał i Tumer zajął w nim miejsce.

Końcowy przystanek był przy Path, z przesiadką na linię Manhattan-New Jersey, przebiegającą pod Hudson.

Ukołyszany ruchami pociągu, John Tumer próbował opróżnić swój umysł, z niespokojnych myśli, jak czyni się to przed wizytą u dentysty.

Dziesięć minut później był już na ogromnych ruchomych schodach Path wiozących go z trzeciego poziomu podziemnego na partę World Trade Center.

Minął szybko Path Comer, kupując po drodze New York Timesa.

Agencja Chase Manhattai była jeszcze zamknięta, lecz w Commuters' Cafe było pełno podróżnych, korzystających z przerwy między jednym metrem a drugim.

Kolejnymi ruchomymi schodami zjechał na peron Path, kierunek New Jersey. Czekał mniej niż minutę.

W tych porannych godzinach metro kursowało co trzy minuty.

Skład zielonych wagonów wjechał niby schodami na stację, wyrzucając falę spieszących się mieszkańców sub urbiów i prawie natychmiast odjechał.

John Tumer wszedł do pierwszego wagonu, usiadł i umieścił aktówkę pomiędzy nogami. Niemal od razu blade światła tunelu, które tańczyły przebiegał pod Hudsonem, zaczęły przesuwać się za oknem pełną szybkością.

Dojazd do pierwszej stacji New Jersey zajął zaledwie dwie i pół minuty.

Wagony jadące w tym kierunku były w trzech czwartych puste. Skład zaczął zwalniać: zbliżali się do Exchange Place, pierwszej stacji po stronie New Jersey.

John Tumer szybko ruszył w górę po schodach i pospieszył poprzez puste jeszcze ulice Jersey City.

Dziesięć minut później, przebiegając przed ruszającym właśnie z przystanku biało-niebieskim tramwajem, wkroczył do niewielkiego parku nad brzegiem Hudsonu, zwanego J.

Owen Groundy Park.

U wejścia do parku wznosiła się wielka statua z brązu wyobrażająca polskiego żołnierza, z bagnietem na karabinie przerzuconym przez plecy, z głową odrzuconą do tyłu. Na cokole widniała inskrypcja: KATYŃ 1940.

W Jersey City żyła liczna społeczność polska, zaś pomnik ten został wzniesiony dla upamiętnienia masakry polskich oficerów przez Armię Czerwoną, wkrótce po inwazji na Polskę.

Nieco dalej zaczynał się park z prawdziwego zdarzenia z rzędami ławek, brukowane drewnem jak w Deauville, aż po sam brzeg Hudsonu.

John Tumer dotarł do barierki nabrzeża, usiadł na jednej z ławek i rozłożył New York Timesa kupionego przy Path Comer, nie poświęcając najmniejszej uwagi wspaniałemu widokowi.

Po drugiej stronie Hudsonu, na tle błękitnego nieba rysowała się skyline Manhattanu z dominującymi w niej sylwetkami bliźniaczych wież World Trade Center.

Mimo iż oddalone o blisko milę, usytuowane dalej, niż budynki pomiędzy brzegiem Hudsonu a West Street, zdawały się być całkiem blisko.

W pobliżu usiadł jakiś mężczyzna w kaszkiecie, o wyglądzie skromnego emeryta, grubych rysach, z białym pudłem na smyczy.

John Tumer złożył swoją gazetę: litery tańczyły mu przed oczami.

Nie potrafił się skoncentrować; to, co czytał, nie interesowało go.

Dziwne uczucie, czuł się cudzoziemcem we własnym kraju!

On, który po chodził z samego jądra Middle Westu i wyjeżdżał ze Stanów Zjednoczonych jedynie w związku ze swoją pracą, czuł urazę do tego kraju.

Amerykę uważał za swoją ojczyznę, lecz uznał, że schodzi ona na złą drogę. Drogę pychy, uprzedzeń, niesprawiedliwości, pogardy dla ludzi.

Bolało go to tym bardziej, że był głęboko uczciwy.

Gorycz ogarniała go często.

Zmuszał się każdego ranka, by wyruszyć do pracy w swoim małym biurze przy Dziewiętnastej Ulicy w Waszyngtonie, gdzie świadczył usługi jako konsultant.

Robił to nie tylko dla zaokrąglenia emerytury, ale przede wszystkim po to, by zająć się czymkolwiek.

Pieniądze nie były nigdy jego motywacją.

Wstąpił do CIA, by służyć swojemu krajowi.

Duchem patriotyzmu nasiąknął już w Peorii; jego ojciec, bohater wojny na Pacyfiku, nie opuszczał żadnego spotkania weteranów.

John Tumer długo był taki jak on, dopóki patriotyzm nie przekształcił się w niechęć.

Chciał kraju zgodnego z jego pragnieniami, takiego, który mógłby szanować.

Nienawidził biurokratów, którzy panoszyli się wszędzie, ich pewności siebie i zarozumiałości, które przyprawiały go o zgrzytanie zębów.

Spróbował się im przeciwstawić i przegrał.

Miał rację, ale tamci byli silniejsi.

Tak więc stopniowo, zaczął czić inne bożyszcza - tych, którzy byli wrogami biurokratów.

Ludzi, w gruncie rzeczy, zupełnie od niego różnych.

Przeciwników jego kraju, a nawet cywilizacji, do której należał.

Jednym z jego większych zawodów była odmowa przyznania przez INS wizy młodemu Afgańczykowi, który chciał w Stanach Zjednoczonych ukończyć studia inżynierskie.

Rodzina chłopca nie miała wiele pieniędzy John Tumer zdecydował się go sponsorować.

CIA po zwalała wjeżdżać do Stanów Zjednoczonych osobnikom naprawdę niebezpiecznym, za to protegowanym przez Biały Dom za sprawą rekomendacji „saudyjskich przyjaciół”.

Ci nie musieli się niczego obawiać.

Ślepa uległość wobec tych skorumpowanych książąt, na domiar złego fałszywych sojuszników, wprawiała Johna Tumera w zły humor.

Właśnie oni stali się dla niego wzorem.

Nawet jeśli niełatwo mu było przyznać się do tego przed sobą, a tym bardziej przed innymi.

Dzięki Bogu, miał niewielu przyjaciół.

Prócz Pameli Chamberlain, z którą pozostawał w bardzo satysfakcjonującym go związku seksualnym, spotykał się z niewidomą osobą i unikał swych dawnych kolegów, najczęściej zajętych pisaniem książek o swoich wyczynach, prawdziwych lub bałamutnych.

Spojrzał na zegarek, stary Breitling, który towarzyszył mu we wszystkich podróżach po świecie.

Polecił mu go pewien pilot z Air Force.

Teraz wskazywał 8.42.

John Turner ustawił wskazówkę sekundnika, która zaczęła poruszać się skokami, nieubłaganie.

Był przesądny i na wszelki wypadek wołał nie unosić głowy.

Wskazówka dwukrotnie okrążyła tarczę.

John Turner ze spuszczoną uparcie głową przypominał strusia.

Nieświadomie zacisnął prawą dłoń zanurzoną w kieszeni i ścisnął nogami swoją aktówkę, jakby obawiał się czegoś.

Czuł wewnętrzne rozdarcie i z jednej strony, modlił się, by wskazówka dalej posuwała się naprzód i żeby nic się nie zdarzyło, z drugiej jednak nie chciał, by okazało się, że znalazł się w tym nasłonecznionym, pustym miejscu na darmo, bez żadnego powodu, nie tego dnia, nie w tym momencie, właśnie on.

Cichy odgłos silników samolotu przerwał te rozmyślenia.

Tym razem nie mógł nie unieść głowy.

Jego puls w kilka sekund osiągnął niewiarygodną szybkość.

Na błękitnym, czystym niebie ponad Manhattanem pojawiła się srebrna plamka, ruszająca się z północy na południe.

Samolot, na tyle jeszcze odległy, że nie mógł zidentyfikować jego typu, nadlatywał na niezbyt dużej wysokości.

John Turner śledził go wzrokiem, z zaschniętym gardłem.

Kiedy maszyna przybliżyła się, mógł stwierdzić, że leci bardzo nisko, niżej niż szczyty najwyższych drapaczy hmur.

Był to dwusilnikowy, odrzutowy samolot pasażerski.

John Turner, zafascynowany, nie spuszczał z niego wzroku.

Maszyna zdawała się kierować ku bliźniaczym wieżom i przestrzeń między nią i tymi dwoma ogromnymi budynkami o stu dziesięciu piętrach kurczyła się szybko.

Wstrzymał oddech.

Dystans między samolotem a północną wieżą World Trade Center malał z zawrotną prędkością.

Rozejrzał się wokół siebie.

Mężczyzna z psem był wciąż obok.

Jakaś para zakochanych oddalała się w kierunku tramwaju.

John Tumer poczuł się nagle niezdrowej ekscytacji.

Eks-agent CIA również kontemlował pożar wieży.

Zastanawiał się, jak przeżył swoje ostatnie chwile pilot boeinga 767, Mohammed Atta - gdyż znał jego nazwisko - ten, który sam wybrał moment swojej śmierci.

Co czuł, kiedy boeing 767 nie mógł już ani o cal zboczyć ze swej końcowej trajektorii... szybkością.

I w pewnej chwili było już jasne, że może zdarzyć się tylko jedno.

Z prędkością blisko 800 kilometrów na godzinę odrzutowiec wbił się w wieżę na wysokości mniej więcej dziewięćdziesiątego piątego piętra.

Prawie bezgłośnie.

Kilka sekund później kolosalny pióropusz czarnego dymu, w którym tańczyły czerwone płomienie, wzbił się ku niebu, obwiewany przez wiatr w kierunku południowo-wschodnim.

Sto tysięcy litrów kerosenu w zbiornikach boeinga 767 zapaliło się, osiągając w punkcie wrzenia temperaturę blisko 3000 stopni.

John Tumer spojrział w dół, na swój chronometr.

Była dokładnie 8.45.

A zatem był to samolot American Airlines, lot nr 11, startujący o ósmej z Logan Airport w Bostonie do Los Angeles.

Pióropusz czarnego dymu gęstniał coraz bardziej.

Syreny strażackie, zduszone z powodu odległości, coraz liczniejsze i obłok czarnego dymu - to był znak, że wydarzyło się coś całkiem niezwykłego.

Starszy mężczyzna z psem wstał, osłupiały, podszedł do barierki, wpatrzony w to, co działo się na drugim brzegu Hudsonu.

John Tumer dołączył do niego.

Doświadczył dziwnego uczucia, mieszaniny dumy, wstydu, smutku i niedowierzania.

Mimo że wiedział, co miało się wydarzyć, nie umiał w to uwierzyć.

Mężczyzna w kaszkiecie zwrócił się ku niemu, wzburzony:

- Terrible accident. These pilots are crazy!

A lot of people are going to die!

John Tumer miał ochotę powiedzieć mu, że to nie był wypadek, lecz tego akurat zrobić nie mógł.

Wymanotał coś, jakiś komentarz i jego sąsiad znów poddał się. Zaczęli nadbiegać gapie, tłocząc się wzdłuż drewnianej barierki.

Zgromadzili się tu wszyscy, którzy pracowali w sąsiednich budynkach.

Stali zafascynowani widokiem ogromnego pióropusza czarnego dymu, wznoszącego się w kierunku nieskazitelnie błękitnemu niebu.

Ktoś w tłumie powiedział - film Towering inferno.

Płonący wieżowiec.

Helikoptery krążyły ponad pożarem, niczym owady.

Syreny wciąż wyły.

Wszyscy nowojorscy strażacy ruszyli w kierunku pożaru, z Liberty Street, najbliższej remizy, z Brooklynu, i drugiego brzegu East River.

John Tumer odwrócił się usiadł na ławce.

Gapie, skupieni na widoku pożaru, nie poświęcili mu najmniejszej uwagi.

Upłynęło około piętnastu minut od uderzenia.

Eks-agent CIA znów poczuł ucisk w gardle.

Zmuszał się, by nie patrzeć na niebo.

Westchnienie, jakie wzniosło się ponad tłumem, sprawiło, że zmienił zdanie.

Uniósł oczy.

Tym razem od południa zbliżał się samolot podobny do tego pierwszego; leciał jeszcze niżej, ponad Hudsonem zmierzał na północ.

Zanim zrnał się z południową wieżą World Trade Center, skrzył, nie tracąc wysokości,

wbił się w nią prosto, z grubsza na poziomie sześćdziesiątego piątego piętra.

Potężny krzyk wydobył się z tłumu w chwili, gdy kula ognia pomieszanego z dymem otoczyła ugodzoną wieżę.

John Tumer ujrzał deszcz odłamków opadających na ziemię.

Krzyk ustąpił miejsca skamieniałej ciszy.

Bliźniacze wieże płonęły jak świece.

Straszny wypadek! Ci piloci są szaleni!

Mnóstwo ludzi zginie.

John Tumer spojrzał w dół, na swój zegarek.

Była 9.03.

A zatem był to lot United Airlines nr 175, startująca z Bostonu do Los Angeles o 8.14.

Pilotowany przez człowieka, który zwał się Marwan al-Shehhi.

Widzowie dramatu, zszokowani, oszołomieni, obejmowali się, modlili się, płakali. A na drugim brzegu Hudsonu dymy wznosiły się ku niebu jak ponure, czarne kotary. Pilot drugiego samolotu, wchodząc w ostatni wiraż, zdołał prawie przeciąć wieżę ze stali i szkła.

Oba pożary rozszalały się na dobre, wycie syren dominowało ponad wszystkimi innymi odgłosami, odwracało uwagę od czarnych punktów małych jak owady, lecących z wyższych pięter.

Byli to ludzie, którzy rzucali się w pustkę, by nie spłonąć żywcem.

John Tumer usłyszał, jak jakaś kobieta w pobliżu wypowiedziała słowo „terrorysta”.

Miał ochotę odnaleźć ją i wytłumaczyć, że nie jest to terroryzm, lecz akt wojny. Terroryści swoim działaniem przekazują jakiś komunikat, zaś to, co działo się tutaj, było czystym aktem agresji podobnym do tego, jakiego dokonała japońska flota powietrzna, bombardując 7 grudnia 1941 roku Pearl Harbor i zadając amerykańskiej Flocie Pacyfiku kolosalne straty.

Tłum rósł z każdą sekundą.

Wszystkie biura naokoło musiały opustoszeć.

Jakiś człowiek przybiegł i wykrzyczał: - Zamknęli Path!

Wszystko tam się pali!

Coraz więcej helikopterów krążyło wokół dwóch olbrzymów, częściowo skrytych w obłokach

czarnego dymu.

Ponad dwadzieścia tysięcy osób pracowało w obu wieżowcach, nie wspominając nawet o pasażerach obydwu samolotów, którzy spłonęli żywcem w ciągu kilku sekund.

Wszyscy widzowie wyjmowali swoje komórki chcąc dowiedzieć się czegoś więcej lub po prostu rozpowszechnić niewiarygodną nowinę.

Bliźniacze wieże World Trade Center - duma Nowego Jorku - stały w płomieniach.

John Tumer wycofał się z tłumu i oddalił o kilka kroków.

On także sięgnął do kieszeni i wyjął z niej telefon komórkowy Ericssona oraz chusteczkę. Uważnie wystukał numer.

Prawie natychmiast odezwał się komunikat poczty głosowej.

Miał ledwie tyle czasu, by zaczerpnąć powietrza i rzucił szybko, z chusteczką przy ustach: - Do Szejka: Bojinka osiągnęła cel.

Bojinka osiągnęła cel - powtórzył i przerwał połączenie.

W chwili, gdy wyłączał komórkę, zauważył mężczyznę, który mu się przyglądał. Był to emeryt z białym pudlem.

Nie przejmując się tym, schował komórkę i chusteczkę do kieszeni, podniósł z ziemi swoją aktówkę i oddalił się w kierunku przystanku tramwajowego. Skoro Path była zamknięta, był zmuszony dotrzeć na Manhattan w inny sposób. Autobusem, przez Lincoln Tunnel, bar dziej na północ. Skręcił w kierunku ogrodów publicznych, ciągnących się wzdłuż nabrzeża Hudsonu, skąd statki Coast Guard zmierzały ku miejscu katastrofy. Zatrzymał się na uboczu, wyciągnął komórkę z kieszeni, otworzył ją i wyjął z niej kartę Sprint, którą kupił na Penn Station za dwadzieścia dolarów, gdy przybył z Waszyngtonu.

Komórka mogła być zidentyfikowana, zaś karta pozwalała dzwonić anonimowo. Następnie wyrzucił telefon jak najdalej w wody Hudsonu, wytarłszy go uprzednio swoją chusteczką.

Kilka chwil później podobnie postąpił z kartą.

Kiedy docierał do przystanku autobusowego, jego serce biło już w normalnym rytmie.

Jednak wiedział, że jego życie nie będzie już takie jak dawniej.

Fasada hotelu Mayflower, zajmująca całą przestrzeń między L i M Street, ginęła prawie za zasłoną ogromnych gwiazdzistych sztandarów, które smutno zwisały na deszczu.

W trzy miesiące po zamachach z 11 września Ameryka przesiąknięta była na wskroś patriotyzmem Flagi były wszędzie: w ogrodach, hallach hotelowych, na szybach i karoseriach samochodów, w klapach marynarek.

Zdrowy odruch, niemniej trochę nużący.

W Waszyngtonie ów patriotyzm objawiał się w stopniu względnie umiarkowanym, lecz w Nowym Jorku panowała prawdziwa zbiorowa histeria.

Malko, zaparkowawszy byle jak samochód, przeciął biegiem Connecticut Avenue i przeszedł wzdłuż witryny sklepu z koszulami Pinka, zajmującymi niemal cały parter budynku.

Portier otworzył przed nim drzwi ze współczującym uśmiechem.

- Lousy weather, sir, isn't? budynku, od przecznicy do przecznicy.

- Wstrętna pogoda, nieprawdaż?

Malko kichnął, rozglądając się po hallu starego hotelu Mierzył on dobre sto metrów; zajmował całą szerokość budynku, od przecznicy do przecznicy.

Oświetlony ni czym sala operacyjna przez ogromne żyrandole, uwydatnione dodatkowo przez pompatyczne złocenia i wielkie lustra, zdawał się całkiem pusty.

Od czasu zamachów Amerykanie nie podróżowali zbyt wiele...

Malko dotarł do Cafe Promenadę, lokalu w rodzaju herbaciarni, z wejściem bezpośrednio z hallu, po prawej stronie.

Siedziało tam jedynie kilka starszych kobiet, wystrojonych i plotkujących bez przesadnego ożywienia.

Zawrócił.

Fotele z czerwonego weluru w lobby bar były puste.

W końcu ujrzał szyld Town and Country, restauracji hotelowej - i skierował się w tamtą stronę.

W półmroku raczej domyślił się, niż ujrzał, że na lewo znajduje się długi bar z ciemnego mahoni, a na wprost - stoliki.

Amerykanie zawsze uwielbiali jadać w ciemnościach.

Czyjeś ramię wysunęło się z jednego z boksów: został zauważony.

Korpulentny mężczyzna sam jeden zajmował półokrągłe siedzenie w rogu.

Stała przed nim solidnie napoczęta butelka Defendera i pusta szklanka z kilkoma kostkami lodu na dnie.

Podniósł się, uściśnął dłoń Malko i uśmiechając się kącikami ust rzucił niskim i chropawym głosem: - Long time no see! Frank Capistrano, Special Advisor for National Security Białego Domu, bardziej przypominał gangstera z lat czterdziestych ze swoją gęstą, czarną czupryną, nalaną twarzą, przebiegłym spojrzeniem i masywnym sygnetem na lewej dłoni ozdobionym wielkim diamentem.

Jego ciemny garnitur o szerokich klapach, źle skrojony, dopełniał całości.

Ciężkie wory pod oczami i opadające kąciki ust nadawały jego twarzy wyraz ogromnego zmęczenia.

Dawno się nie widzieliśmy!

Capo mafioso, oczekujący trudnego przesłuchania przed Sądem Najwyższym...

George W. Bush był jednak już czwartym prezydentem Stanów Zjednoczonych, który korzystał z jego rad.

Z biura, które zajmował, usytuowanego w północno-zachodniej części Białego Domu, naprzeciwko Gabinetu Owalnego, gdzie Bill Clinton figlował z Moniką LewinskyH zawsze możliwy był bezpośredni dostęp do prezydenta.

Podszedł kelner i Capistrano rzucił w jego kierunku: - Wódka dla pana.

Stolicznaja, jeśli dobrze pamiętam.

- Przykro mi, mamy tylko Absolut - odparł kelner.

Absolut był jednym z największych sukcesów marketingowych stulecia.

Dzięki dolarom i sile przebicia, Szwedzi byli w stanie sprzedawać na całym świecie, nawet w Rosji, trunek będący zaledwie bimbrem udającym wódkę.

- A zatem bimber z cytryną - zaordynował Malko.

To mogło być jeszcze do wytrzymania.

Frank Capistrano nalał sobie pełną szklankę Defendera, zapalił papierosa zapalniczką Zippo, całkiem nową, upamiętniającą zamachy z 11 września, z amerykańską flagą wygrawerowaną delikatnie złotem.

Spojrzał przeciągle na Malko.

- Wygląda na to, że jest pan w jak najlepszej formie - zauważył z westchnieniem. - Jak dawno się znamy?

- Pięć lat - sprecyzował Malko.

- Islamabad! - podchwycił natychmiast Frank Capistrano.

- Miało to związek z tym bydlakiem ben Ladenem.

Malko przypomniał sobie pierwsze spotkanie, w biurze ambasadora Stanów Zjednoczonych w Pakistanie, gdzie znalazł się, zmordowany, po jedenastu godzinach lotu Pakistan Airlines, stanowiących przeciwieństwo cywilizacji wanej linią lotniczej.

Frank Capistrano już wtedy wyglądał na zmęczonego.

Po trosze z tych samych powodów.

Miał wrażenie, jakby na zewnątrz objawił się anioł za głady, lecący ciężko w strugach deszczu, obładowany bombami i raketami.

Od trzech miesięcy Ameryka była w stanie wojny z Osamą ben Ladenem, który został uznany za Zło absolutne od czasu zamachów z 11 września, za które Amerykanie - i słusznie - właśnie jego obciążali odpowiedzialnością.

Malko zanurzył wargi w wódce, którą kelner przed chwilą mu przyniósł.

Przynajmniej była dobrze schłodzona.

Podniósł kieliszek.

- Za lepsze dni!

Frank Capistrano uczynił tak samo ze swoją szklanką Defendera.

- Za rewanż! - powiedział, opróżniając szklankę jednym haustem.

Po czym odkaszlnął i zapytał: - Jest pan głodny?

Malko, z powodu różnicy czasu i zmęczenia, sam nie wiedział, jednak uznał, że lepszy wróbel w garści.

- Trochę - przyznał.

Amerykanin przywołał kelnera i zamówił: - Dwa steki, home potatos i dwie sałatki cezariańskie. Jeżeli macie dobre bordeaux, to proszę przynieść butelkę.

Kiedy obsługujący oddalił się, Special Advisor pochylił się w kierunku Malko, i pomimo iż sąsiednie boksy były puste, ściszył głos.

- Zdarzają się okresy, kiedy sypiam w biurze.

I sypiam co najwyżej trzy godziny na dobę. Jeżeli w ogóle sypiam...

Prezydent, Dick Cheney, Colin Powell i wszystkie te dupki dookoła, które chcą wojny z całym światem... Biały Dom stał się domem wariatów.

Secret Service do stała histerii. Każą mnie rewidować, kiedy przychodzę do mojego biura. Mnie!

- Jak dotąd - zauważył Malko dyplomatycznie - radzicie sobie nie najgorzej.

Frank Capistrano zarechotał gorzko.

- Chce pan powiedzieć, że udało się nam nie wpaść, w jeszcze większe gówno! Jednak, jeśli chodzi o śledztwo, to rezultat jest taki, o!

Złączył palec wskazujący i kciuk w kształt koła i ciągnął dalej: - Zero!

Nic! Z wyjątkiem dziewiętnastu drani, którzy zamienili się w gaz wraz ze swoimi ofiarami...

- Zatrzymaliście blisko tysiąc osób...

- Biuro samo już nie wie, co robić - rzucił lekceważąco Frank Capistrano.

- Spuścili ze smyczy „plafusów”.

Tak bardzo im wstyd, że zostali wydupczeni, że teraz aresztują każdego!

Przejdzie pan chodnikiem przed ambasadą Pakistanu w Massachusetts już pan jest podejrzany.

Większość aresztowanych przez FBI nie ma nic wspólnego z 11 września.

Wielu, zwyczajnie, ma problemy z Emmigration.

Ale oni nie pomogą nam w rozwiązaniu naszego problemu.

- To, co robicie w Afganistanie, nie jest złe - zauważył Malko.

- Udało wam się w dwa miesiące namierzyć i do paść talibów we wszystkich większych miastach. A także rozbić infrastrukturę al Kaidy.

Frank Capistrano przeciągnął dłonią po źle ogolonym policzku.

- To prawda - mruknął - ale nie udało się zniszczyć do końca tych nawiedzonych szaleńców.

Rozproszyli się tylko, jak jakaś cholerna banda kojotów. Czekają, a my nie możemy wiecznie siedzieć w Afganistanie.

Istnieje ryzyko, że powrócą, kiedy się wycofamy.

Lecz jakkolwiek jest - mniejsza z tym.

Przed 11 września prezydent Bush nie wiedział nawet, że istnieje taki kraj jak Afganistan.

- Spodziewacie się schwycić ben Ladena i mułłę Omara?

Special Advisor potrząsnął głową.

- Nic na to nie wskazuje.

Nie wiem, gdzie się podziewają.

Bazy al Kaidy zostały jednak zlikwidowane.

Pojawił się kelner, niosąc dwa steki potężnych rozmiarów.

Postawił je przed nimi, mówiąc: - JSnjoy your meal, gentlemen.

Kiedy oddalił się, Malko spojrzał uważnie na Franka Capistrano.

Coś go intrygowało. Kilkakrotnie już zetknął się ze specjalnym doradcą Białego Domu, jednym z najlepszych w Stanach Zjednoczonych ekspertów od spraw terroryzmu, zawsze przy okazji spraw najwyższej wagi.

Ich pierwsze spotkanie miało miejsce w Pakistanie, po tym, jak maszyna TWA, lot 800, rozpadła się w powietrzu na drobne kawałki w wyniku tajemniczej eksplozji. Właśnie wtedy po raz pierwszy Malko usłyszał o ben Ladenie, którego Frank Capistrano czynił odpowiedzialnym za ten zamach.

Malko, po długim i niebezpiecznym śledztwie wyjaśnił tę aferę i spotkał się z Osamą ben Ladenem niedaleko Jalalabadu, w Afganistanie.

Spotkanie to wywołało w nim sprzeczne wrażenia.

Osama ben Laden był osobnikiem niepospolitym, nieufnym i ostrożnym, lecz w bezpośrednim obcowaniu łagodnym i umiarkowanym.

Inni agenci CIA mieli z pewnością z nim kontakt w czasie wojny w Afganistanie, w okresie walki z interwencją sowiecką, jednak to on był zapewne ostatnim, który widział go po roku 1995, zanim jeszcze Ame rykanie „oficjalnie” wypowiedzieli mu wojnę, zmuszając rząd Sudanu, żeby go wydalili. Przybył wówczas do Afganistanu z własnym herculesem C-130, beechcraftem, helikopterem i mnóstwem pieniędzy...

Kilka miesięcy później, na początku 1997, CIA FBI próbowała go porwać w Peszawarze, ale bezskutecznie.

W roku następnym, dokładnie 23 lutego 1998, Osama ben Laden proklamował Trzeci Międzynarodowy Front Islamu i wezwał do dżihadu przeciwko Żydom i „krzyżowcom”.

Była to oficjalna deklaracja wojny z Izraelem i Stanami Zjednoczonymi.

Co nie przeszkodziło księciu Turki, szefowi Służb Specjalnych Arabii Saudyjskiej, oficjalnie sojusznikowi Ameryki, dostarczyć w lipcu tego samego roku talibom, protektorom ben Ladena - czterysta furgonetek toyoty... Sprawa nie przedstawiała się tak prosto.

Dziwne, lecz Frank Capistrano od samego początku ich rozmowy nie wyglądał na opanowanego szczególną obsesją ścigania wroga publicznego numer jeden Ameryki.

Jednak jego sekretarz, który skontaktował się z Malkiem czterdzieści osiem godzin wcześniej w zamku Liezen, przekazał jednoznacznie: Special Advisor chce widzieć się z nim jak najpilniej.

Cztery eleganckie kobiety usadowiły się przy sąsiednim stoliku i zaczęły paplać, popijając koktajle o egzotycznych kolorach.

Frank Capistrano zaatakował swój befsztyk, żując powoli, z wzrokiem utkwionym w pustkę. Jak krowa.

Malko obserwował czarne włosy na jego dłoniach, zastanawiając się, czy jest nimi pokryte całe jego ciało. Był jednym z kilku ludzi, dysponujących największą władzą w Stanach Zjednoczonych.

Z natury obdarzony niezwykłą wytrzymałością, zjawiał się w swoim biurze o wpół do siódmej rano, a wychodził nie wcześniej niż o dziesiątej wieczór.

Malko znał go nie tylko jako profesjonalistę; wiedział też, że Frank Capistrano był indywidualistą, samotnikiem.

Jak dżumy obawiał się skostniałych struktur waszyngtońskiej administracji. Sam zadowalał się dwiema sekretarkami, pracującymi dla niego na zmiany.

By przerwać ciszę, Malko rzucił lekkim tonem: - Przypuszczam, że ma pan dla mnie bilet do Afganistanu?

Frank Capistrano znieruchomiał z widelcem zawieszonym w powietrzu.

- Do Afganistanu? - powtórzył.

- A co tam jest do roboty dla pana?

Tym razem Malko został zaskoczony.

To i owo działo się w Afganistanie, nawet jeśli główna operacja została już zakończona. Malko znał ben Ladena, byłoby więc logiczne, że CIA wezwie go do pomocy przy jego poszukiwaniach, nawet jeśli nie wie za bardzo, jak mógłby się przydać.

Amerykanin przełknął kawałek steku, opróżnił kieliszek bordeaux i spojrzał na niego nieomal wesoło.

- Nie sądzi pan chyba, że każę panu tłuc się w środku zimy po afgańskich górach w poszukiwaniu tego łajdaka! Mamy tam trochę ludzi, którzy się tym zajmą: Afgańczycy, nasi chłopcy, kilku niezłych pracowników terenowych Agencji z paczkami dolarów w zanadrzu.

Wieloma paczkami dolarów. Czego miałby pan tam szukać?

Pochylił się w kierunku Malko i zmienił ton na konfidencjonalny.

- Mam do powiedzenia coś, co przeznaczone jest wyłącznie dla pana.

Nikt tak naprawdę dzisiaj nie wie, gdzie jest Osama ben Laden.

Wszystkie raporty, jakie otrzymujemy na jego temat są głównie warte.

Każdy Afgańczyk, w zamian za broń i kilka dolarów, gotów jest zapewniać, że widział go na własne oczy. Nie sądzę, by przebywał nadal w tych cholernych górach, w ToraBora. Po pierwsze dlatego, że miał czas, by zorganizować sobie odwrót, a także dlatego, że znam Arabów.

Nienawidzą grot i jaskiń. To są Beduini, potrzebują przestrzeni i słońca...

Na pewno spędził jakiś czas w grotach, ale teraz musi być już daleko.

Na obszarach plemiennych Pakistanu, w Kaszmirze, gdzieś indziej w Afganistanie lub w Somalii.

Kiedyś będzie zmuszony się ujawnić i wtedy się go dopadnie.

Od pana oczekuje pomocy przy rozwiązaniu problemu większej wagi o wiele pilniejszego.

Odłożył sztućce, zaś Malko zastanowił się, co też może być pilniejszego dla Amerykanów od schwytania ben Ladena, odpowiedzialnego za najbardziej krwawe zamachy wymierzone przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Frank Capistrano zapalił nowego papierosa swoją Zippo i pozwolił, by przez chwilę trwała cisza, jakby chciał podkreślić ważność tego, co ma do powiedzenia. Po czym dodał tonem jeszcze bardziej konfidencjonalnym:

- Tysiące agentów FBI i case officers CIA rozpracowuje siatkę al Kaidy.

Nie mówiąc już o komandosach w terenie.

- Tak mi się zdawało - przyznał Malko.

- Mnie nie po trzebujecie.

Frank Capistrano jednak nie nakazałby mu podróżować przez całą szerokość Oceanu Atlantyckiego tylko po to, by zwierzać się ze stanu swojego ducha. To nie było w jego stylu.

Amerykanin pochylił się w kierunku Malko.

- Naprawdę pana potrzebuję! - zapewnił.

- Do zadania, które tylko pan może wykonać. Lub, przynajmniej, jest pan jednym z tych niewielu, którzy mogą.

- Cóż zatem? - spytał Malko, zakłopotany, pozwalając stygnąć swojemu stekowi.

Frank Capistrano utkwił w nim spojrzenie swoich czarnych oczu i powiedział poważnie: - To, co chcę panu przekazać, znane jest jedynie garstce ludzi. Co więcej, nie dysponują oni wszystkimi kawałkami puzzli.

Jeśli chodzi o Agencję, tylko George Tenet jest w pełni poinformowany.

Malko, coraz bardziej zdumiony, rzucił: - O co chodzi?

Frank Capistrano dolał bordeaux do obu kieliszków i zaczął tłumaczyć dobitnie: - 11 września, o 9.11 NSA zarejestrowała połączenie między dwoma telefonami komórkowymi. Bardzo krótki komunikat: „Do Szejka: Bojinka osiągnęła cel”. Dwa razy.

- Gdzie znajdowały się telefony?

- Pierwszy w New Jersey, dokładnie w Jersey City, na wprost Manhattanu, w parku. Drugi w Madrycie, w Hiszpanii.

-Ale...

-Niech pan zaczeka!

Służby europejskie namierzyły ten sam przekaz, retransmitowany z Hiszpanii do Niemiec.

Tam były po drodze jeszcze dwie „ślepe” komórki, to znaczy nie do zidentyfikowania. Przekazniki w nie których krajach dają możliwość przekazywania informacji bez identyfikacji źródła.

- Telefony do nikogo nie należały?

- Nie wszystko odbywa się automatycznie.

Zaopatrują komórki w bardzo pojemne baterie.

Przekazują informacje jedna do drugiej bez chwili przerwy.

Ale to nie wszystko. Jeden z naszych satelitów przejął ten sam przekaz, transmitowany z Hamburga przez czwartą komórkę, do piątej, która znajdowała się na jednym z górskich szczytów pakistańskiego pogranicza plemiennego, między Pakistanem i Afganistanem.

- Baza ben Ladena?

- Raczej przekaźnik. Wniosek jest oczywisty.

Ktoś obserwował zamach na World Trade Center.

Ktoś, kto wiedział, co ma się wydarzyć i kto zameldował swojemu szefowi o wyniku operacji. W czasie rzeczywistym.

- Kiedy dowiedzieliście się o tym?

- Niestety, wiele dni po zamachu.

Trzeba było nieźle grzebać w dokumentach i nagraniach z trzech źródeł.

Wiedzieliśmy wcześniej, że al Kaida porozumiewa się w ten sposób, ale teraz mamy dowód ostateczny.

- Skąd pewność, że to al Kaida?

Frank Capistrano uśmiechnął się gorzko.

- Z powodu słowa „Bojinka”.

Operacja Bojinka została opracowana w 1996 przez Ramzi Jussefa, człowieka, który dokonał pierwszego zamachu na World Trade Center w 1993 roku, w czasie, gdy przebywał na Filipinach.

Manilia przekazała FBI pudła pełne dokumentów po arabsku, znalezionych u niego. Później, kiedy został aresztowany w Pakistanie, a potem sądzony i skazany w Nowym Jorku, dokumenty te zostały opieczątowane i tak było aż do września. Po zamachach FBI się przebudziło i w pudłach Jussefa odnaleziono projekt zamachu polegającego na porwaniu samolotów liniowych i skierowaniu ich przeciw gmachom publicznym.

Ramzi Jussef nazwał ten projekt „Bojinka”.

Niestety, nikt nie przeczytał w porę tych dokumentów.

Malko pokręcił głową i dopowiedział: - W 1994 komando GIA które porwało Airbus Air France lecący do Algieru, chciało go skierować na wieżę Eiffla.

Tyle, że terroryści nie umieli pilotować. Pomysł nie jest nowy.

Nawet gdyby FBI odczytało te dokumenty, nikt by pewnie w to nie uwierzył.

- Prawdopodobnie ma pan rację - przyznał Frank Capistrano.

- Ale byłaby przynajmniej szansa.

- A zatem - podsumował Malko - Osama ben Laden wysłał obserwatora do Nowego Jorku, by za jego pośrednictwem otrzymać relację, w czasie rzeczywistym, o klęsce bądź powodzeniu swego planu.

Jeśli znajdował się w Afganistanie, to oznacza dziewiętnaście godzin różnicy czasu w stosunku do wschodniego wybrzeża.

Musiał mieć wyjątkowy wieczór...

- W gruncie rzeczy, próbowali już tego wcześniej - odparł Frank Capistrano.

- Podczas zamachu na niszczyciel Cole w Adenie jeden z członków al Kaidy miał filmować operację. Niestety, zaspał...

- Nie odnaleźliście właściciela nowojorskiej komórki?

- spytał Malko.

- Nie. Aparat został zakupiony za gotówkę, bez rejestracji.

Właśnie to nazywamy „ślepą komórką”.

Wystarczy zainstalować kartę Sprint, do kupienia gdziekolwiek za dwadzieścia dolarów, by móc dzwonić po całym świecie.

- W jaki sposób mogliście zlokalizować ten komunikat z taką precyzją?

- To łatwe. Dzięki przekaźnikom.

Nawet kiedy aparat nie jest aktywny, to działa w nim cały czas sygnalizator, który pozwala go zlokalizować.

By to uniemożliwić, trzeba go wyłączyć, co więcej, pozbyć się baterii.

Ale ten, co posłużył się tą komórką, nie dbał o to.

Wiedział, że nie może być rozpoznany.

Malko nie rozumiał, do czego Amerykanin zmierza.

Nie trudno było wykazać, że zamachy z 11 września były drobiazgowo zaplanowane. Wszyscy to wiedzieli.

Frank Capistrano obserwował go z żartobliwym błyskiem swoich atramentowych oczu. Skończył stek, odłożył widelec i rzekł:

- Te zamachy były niewiarygodnie dobrze przygotowane.

Gdyby lot 93 United Airlines z Newark nie miał czterdziestominutowego spóźnienia, operacja Bojinka powiodłaby się w 100%.

Dwa samoloty na World Trade Center, jeden na Pentagon i jeden na Biały Dom.

- Jest pan pewny?

- Na 90% - odparł Amerykanin.

- Chyba, że celem była kwatera CIA.

Jednak nie wierzę w to. Trafienie w Biały Dom, nawet pusty, miałoby o wiele bardziej symboliczne znaczenie. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy. Tak czy inaczej, było to doskonale zaplanowane.

Czwarty zamach uniemożliwiło tylko przesunięcie w czasie.

Lot 93 właśnie startował, kiedy pozostałe samoloty uderzały w swoje cele, World Trade Center i Pentagon. Gdy terroryści opanowali samolot, niektórym z pasażerów udało porozumieć się przez komórki z rodzinami i dzięki temu dowiedzieli się, co się dzieje. Zrozumieli, że to nie jest zwykłe porwanie, że z pewnością zginą. Kilku z nich, zdecydowanych, by do tego nie dopuścić, zaatakowało kabinę pilotów, opanowaną już przez terrorystów. Ci dranie woleli rozbić samolot w Pensylwanii niż się poddać.

To byli bohaterowie, ta grupka pasażerów. Bohaterowie, do kurwy nędzy - powtórzył. - Należałoby wystawić im pomnik.

Zwykli, normalni ludzie.

Zamilkł i zapalił papierosa swoją patriotyczną Zippo, by uspokoić emocje.

- I jaki z tego wniosek? - zapytał Malko.

- Są dwa. Po pierwsze, zamachy były przygotowywane od dawna z wyjątkową uwagą. Po drugie, dwóch terrorystów, Khalid al-Midhar i Nawa al-Hazmi pilotujący samolot American Airlines, który uderzył w Pentagon, przybyli sześć miesięcy wcześniej do Los Angeles z Tajlandii. Zostali rozpoznani przez Służby indonezyjskie z Kuala Lumpur jako ludzie al Kaidy. Mohammed Atta, który pilotował lot 11 i uderzył w North Tower, przybył do Stanów w czerwcu 2000 roku. Tak, jak jego kumpel, Marwan al-Shehhi, ten, co uderzył w South Tower. Trzynastu terrorystów przyjechało do Stanów Zjednoczonych między 23 kwietnia a 29 czerwca 2001.

Ponadto wszystkie bilety na samoloty użyte w zamachu zostały zakupione, w większości przez

Internet, pomiędzy 25 a 30 sierpnia.

Bez wahania płacili najwyższe ceny. Mohammed Atta i jego wspólnicy mieli trzy miejsca w pierwszej klasie, po 2500 dolarów za bilet, tylko po to, by być jak najbliżej kabiny pilotów. Cała operacja, według wyliczeń FBI, kosztowała blisko 400 000 dolarów. Cóż, drobnostka, skoro Twin Towers warte były miliard. Wystarczyła godzina i czterdzieści cztery minuty, by legły w gruzach. Nawet Titanic tonął dwie godziny czterdzieści. Czy zdaje pan sobie sprawę, że w przypadku lotu 11 terroryści opanowali samolot już w 11 minut po starcie?

- Wszystko było doskonale zmontowane - przyznał Malko.

- You bet! - rzucił gorzko Special Advisor.

- W Sztynie Kryzysowym Białego Domu, do którego należą, od razu stwierdziliśmy, że banda wszarzy ukrywających się w grotach Afganistanu nie byłaby w stanie zorganizować tak złożonej operacji.

Do tego trzeba zawodowców, a przede wszystkim doskonałej znajomości słabych punktów Ameryki. Co z grubsza oznacza jedno - stempel Służb Specjalnych.

- Czy FBI też tak sądzi?

Frank Capistrano wzruszył ramionami.

- „Platfusy” zmontowały wielką operację śledczą, na zwaną Pentbomb1, w którą zaangażowane są tysiące agentów specjalnych.

Aresztują wszystkich Arabów, którzy im się napatoczą.

Ale nie mają najmniejszego pojęcia, czego szukają.

- Mówi pan o Służbach Specjalnych - powiedział Malko.

- Ale o jakich? Pakistańskich? Irackich?

Rysy Franka Capistrano nagle stężały.

Malko raczej domyślił się, niż usłyszał słowo, które wyszło z jego ust.

-Naszyc.

ROZDZIAŁ TRZECI

Malko, zbity z tropu, miał wrażenie, że albo nie zrozumiał, albo źle usłyszał. Lecz, widząc smutek w oczach Franka Capistrano, pojął, że Amerykanin chciał powiedzieć właśnie to, co powiedział.

- Twierdzi pan, że CIA brała udział w tych zamachach? - spytał.

- CIA jako taka - nie. Ale niektórzy agenci.

Malko zamilkł wobec tak niewiarygodnego wyznania.

Frank Capistrano odsunął od siebie talerz ze zde gustowaną miną.

- Nic tak nie odbiera mi apetytu, jak rozmowa na ten temat - westchnął.

- Ale nie ma sensu chować głowy w piasek.

Malko również nie miał ochoty najedzenie.

- Proszę powiedzieć coś więcej - zażądał.

Frank Capistrano zaciągnął się dymem z papierosa i rozpoczął niskim, chropowatym głosem:

- To jest jedna z najlepiej strzeżonych tajemnic państwowych. Tylko garstka ludzi ma dostęp do tej informacji. Pięć osób, w tym prezydent.

Znam pana od pięciu lat i mam do pana absolutne zaufanie. Tak, jakby pan był Amerykaninem. Co więcej, jest pan świetnym profesjonalistą.

To, co panu proponuję, to prawdopodobnie najtrudniejsze śledztwo w pana długiej karierze. I najbardziej sekretne.

- Dlaczego zwraca się pan akurat do mnie?

Special Advisor spojrział na niego z rozczarowaniem.

- A do kogo miałem się zwrócić? Nie mamy cienia do wodu, same podejrzenia. Za wyjątkiem George'a Teneta, dyrektora CIA, nikt w Langley nie ma nawet o tym pojęcia. Jeśli dojdzie do najmniejszego przecieku, skutki mogą być zastraszające.

- A FBI?

Frank Capistrano popatrzył na Malko ponurym wzrokiem.

- FBI! - syknął. - Gdyby domyślali się o co chodzi, rzuciliby się na to natychmiast. Oczywiście, z gracją słonia w składzie porcelany. I bez szans, by znaleźć cokolwiek. Co więcej, nie omieszkaliby

opowiadać o wszystkim swoim kumplom dziennikarzom, a to oznaczałoby koniec Agencji przynajmniej na jedno po kolenie. Obie agencje federalne prawie nigdy nie współpracowały ze sobą chętnie, z wyjątkiem niektórych przypadków. Niedawne wykrycie zdrajcy w sercu FBI wprowadziło w zachwyt CIA, liżącą jeszcze rany po aferze Aldricha Amesa.

- Niech pan zrozumie moją sytuację - podjął Amerykanin.

- Jestem strażnikiem straszliwego sekretu, który dotyczy nie tylko przeszłości, ale i przyszłości, gdyż przekonany jestem, że organizacja ben Ladena znów uderzy. Wykorzystując te same osoby, o ile nie zdemaskujemy ich wcześniej.

- Cóż, jeśli powiedziało się „a”...

- zauważył Malko.- Na jakiej podstawie podejrzewacie ludzi z CIA?

Frank Capistrano nalał kolejną porcję dwunastoletniego Defendera do swej szklanki z widmowymi resztkami kostek lodu, zamieszał lekko i kontynuował: - Już panu mówiłem. Naszym pierwszym wnioskiem po 11 września było, że za tak złożoną operacją, wymagającą w fazie wykonawczej udziału prawie dwudziestu osób, które nie mają kontaktu ze sobą - muszą stać jakieś służby specjalne. Ponadto mamy pewność, że piraci nie uczestniczyli w technicznych przygotowaniach do zamachów. Wybór samolotów, trajektorie, rozpoznanie systemów bezpieczeństwa, koordynacja... Gigantyczna robota, bo wszystko musi chodzić jak w zegarku. Można, z założenia, wyeliminować wszystkie służby, które mogłyby taką operację przygotować: brytyjskie, francuskie, niemieckie, izraelskie, rosyjskie. Saudyjczycy, Pakistańczycy, Egipcjanie - raczej nie mają takich możliwości.

- Dodatkowo - podkreślił Malko - potrzeba do tego szefa operacji i kilku współpracowników, dbających, by cały mechanizm zadziałał precyzyjnie.

- Właśnie - przytaknął wstrzemięźliwie Frank Capistrano.-Kogoś takiego, jak pan... kto przygotowuje wszystko dzień po dniu i w godzinie „W” wypowiada „go ahead”. Kiedy już otrząsnęliśmy się z szoku po 11 września, od razu spostrzeżliśmy, że istnieje ogromna przepaść między „rozkazodawcami” a owymi dziewiętnastoma kamikadze, którzy porwali cztery samoloty i którym udało się trzy z nich skierować na cele wybrane wcześniej. Ci byli tylko wykonawcami, nic ponadto. Ktoś nimi kierował, mówił, co mają robić. Kiedy dostali rozkaz przystąpienia do akcji, odesłali pieniądze, których nie wydali, do banku w Dubaju i przystąpili do ataku.

Bez wahania.

- To przez nich dotarliście wyżej?

- Nie. Biuro zrobiło jednak to i owo w przypadku tych kamikadze.

Zbadało ich kontakty w okresie przygotowywania się i osiągnęło pewność, że byli zaangażowani tylko w fazie finalnej: nauka pilotażu, porwanie samolotów, uderzenie w cel... Tyle, że ktoś operację starannie przygotował. Wybrał połączenia z zachodnim wybrzeżem tak, aby samoloty

miały zbiorniki pełne kerosenu. Loty krajowe, co oznacza słabszą kontrolę przy wejściu na pokład. Wszystkie startujące w zbliżonym czasie, z miejsca położonego w podobnej odległości od wszystkich celów. A jednocześnie, jak ustaliliśmy, żaden z kamikadze nie miał w czasie swojego pobytu w USA kontaktu ze swoją bazą za granicą.

Nie kontaktowali się także ze sobą. FBI odkryło, że ktoś dzwonił do każdego z nich wielokrotnie, ale osoby te są nie do namierzenia, bo dzwoniono z budek telefonicznych. Wszystkie te budki zlokalizowane są na wschodnim wybrzeżu: od Bostonu do Waszyngtonu, z Nowym Jorkiem i Filadelfią po drodze. Jeżeli nie prowadzi się podsłuchu, to nie można ustalić nic więcej na temat takich rozmów. Wiemy jednak, że szef operacji utrzymywał kontakt z terrorystami. No i mamy coś na prawdę konkretnego, dzięki NSA: połączenie z New Jersey, o 9.11, w dniu zamachu, dotyczące operacji Bojinka.

Kumoszki przy sąsiednim stoliku roztrajkotały się nie miłosiernie i Frank Capistrano przerwał. Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej mały magnetofon, który wręczył Malkowi.

- To właśnie ten komunikat...

Malko wziął aparat, włączył i zbliżył do ucha.

Po kilku sekundach ciszy usłyszał zduszony męski głos, wygłaszający złowieszcze słowa, powtórzone niczym echo, w kilku retransmisjach.

Wyłączył magnetofon i odłożył go na stół.

- To niewiarygodne, że udało wam się to przechwycić - powiedział.

- I dokąd was to doprowadziło?

- Dobrze pytanie - westchnął Frank Capistrano. - Specjaliści od identyfikacji głosu przesłuchali to i przeanalizowali dogłębnie. Są dokładni.

Ten, który to powiedział, jest Amerykaninem, prawdopodobnie ze Wschodu. Nie cudzoziemcem.

- Na świecie żyje dwieście sześćdziesiąt milionów Amerykanów. Mówił mi pan, że chodzi o agenta CIA. Co was doprowadziło do tego wniosku?

- Deser? - zaproponował Frank Capistrano, unikając odpowiedzi.

- Nie, dziękuję. Kawa.

Amerykanin wezwał kelnera.

- Dwie kawy i koniak. Otard, jeżeli macie.

Następnie zwrócił się do Malko ściszym głosem: - Zanim powiem panu więcej, muszę

wyłożyć pewne delikatne szczegóły tej misji, których, być może, nie będzie pan chciał zaakceptować.

Malko uśmiechnął się niedostrzegalnie.

Propozycje specjalnego doradcy Białego Domu były propozycjami nie do odrzucenia. Przynajmniej wtedy, jeśli chciało się dalej z nim pracować.

A Malko wciąż potrzebował pieniędzy na utrzymanie swojego zamku w Liezen, który z roku na rok stawał się dla niego coraz głębszą przepaścią finansową. Nie tylko z powodu kilometrów kwadratowych powierzchni mieszkalnej, ale i w związku z rujnującymi zachciankami Aleksandry, ujawniającymi się przy okazji każdej wyprawy do Paryża.

Obicia od Jean-Claude'a Jitrois, modny wystrój projektu Dolce Gabbana, meble od Claude'a Dalie!... To wszystko kosztowało fortunę.

-Przede wszystkim - powiedział - chciałbym wie dzieć jedno: dlaczego zwrócił się pan właśnie do mnie? Jest wielu ludzi z kwalifikacjami takimi jak moje, którym również może pan zaufać.

Kelner powrócił z kawą i butelką Otarda, nalał do kieliszka i oddalił się dyskretnie. Frank Capistrano potrzebował oddechu, zanim dotarł do sedna sprawy. Zaplótł swoje ogromne, włochate palce wokół kieliszka i podjął wątek, wpatrzony nieruchomo w blat stołu: - Bardzo mi pochwaliło, kiedy prezydent powierzył mi kierowanie śledztwem. To dowód najwyższego zaufania, zwłaszcza, że przez osiem lat pracowałem dla Billa Clintona.

Szybko się jednak przekonałem, że to śledztwo to dla mnie paskudna pułapka. Jak już panu tłumaczyłem, nie ma co liczyć na FBI.

Nie ma też co mówić o tym, by użyć CIA w sprawie krajowej.

To się nigdy nie sprawdza: tarcia między agencjami są zbyt silne.

Secret Service? W ogóle się do tego nie nadają.

Dlatego pomyślałem o panu, bo nie należy pan do agencji, przynajmniej w sensie administracyjnym.

- Chce pan powiedzieć, że może mnie pan zatrudnić bez zawiadomiania Langley?

- Oczywiście. Z wyjątkiem George'a Teneta.

Już o tym zresztą wie i zaaprobował mój wybór.

To brzmiało pochlebnie.

Frank Capistrano wypił odrobinę koniaku i kontynuował, rozgrzany:

- Co więcej, już pan pracował nad sprawą ben Ladena i al Kaidy. Zna pan Pakistan i Afganistan. Wie pan, jak tacy ludzie myślą i działają. Tu, w Waszyngtonie, Arabów znają tylko z kina i boją się ich jak czarnego luda. W związku z końcem zimnej wojny i tą idiotyczną wiarą w elektronikę Agencja zmieniła się w bandę gnuśnych i strachliwych urzędasów.

Rząd federalny wydawał na nią przez ostatnie pięć lat miliardy dolarów, a oni nie byli w stanie przewidzieć zamachów z 11 września.

Tylko dzięki garstce futbolistów - pasażerom lotu 93 - ocalał honor tego kraju.

Zamilkł, próbując zapanować nad rozdrażnieniem.

Malko posłał mu uspokajający uśmiech.

- OK., rozumiem. Oczekuje pan ode mnie czegoś ponad zwykły standard.

Frank Capistrano uniósł oczy nabiegłe krwią z powodu zmęczenia i alkoholu, i powiedział powoli: - Jeżeli pan go znajdzie - albo ich - to nie mogą być ani aresztowani, ani sądzeni.

-Chce pan powiedzieć, że powinni zostać zlikwidowani?

Amerykanin skłonił głowę potwierdzająco.

- Tak. Nikt nigdy o tym nie ma prawa się dowiedzieć. Żadnego sprawozdania, meldunków, nic. Powie pan tylko mnie.

I będzie pan sam.

- Czy do mnie będzie należeć również, ewentualnie, wykonanie tej ostatniej części misji?

Nie było to zgodne z jego zasadami.

- Tak byłoby najlepiej - stwierdził Frank Capistrano po krótkim wahaniu.

- Ale to już sprawa pańskiego sumienia. Tak czy inaczej Prezydent podpisał finding akceptujący konieczność fizycznej eliminacji odnośnych osobników. Jeżeli to pana szokuje, wyślemy kogoś, kto będzie wiedział tylko, że ma ich wyeliminować. I wróci pan do swojego zamku, nie brudząc rąk - dorzucił z lekkim odcieniem ironii.

- Zobaczymy - powiedział Malko. - Niczego nie obiecuję.

Zdarzało się już, że w którejś z agencji federalnych po jawiał się zdrajca. Pod koniec lat pięćdziesiątych dwóch agentów CIA przeszło na stronę pułkownika Kadafiego. Jeden z nich nigdy nie wrócił do Stanów Zjednoczonych i do dzisiaj zapewne ukrywa się w Libii.

Potem była afera Aldricha Amesa, który wydał komunistom wielu informatorów CIA w Związku Sowieckim, przez co kilku z nich zostało rozstrzelanych. A wszystko dla sporej garści

dolarów. Wreszcie, ostatnio, FBI w swoich szeregach odkrył zdrajcę, który mógł przez lata robić, co mu się żywnie spodobało. Tak więc przypuszczenie, że ben Laden infiltruje CIA, nie było wcale bezzasadne.

- Dobrze - powiedział Malko - rozumiem wasze racje i je akceptuję.
- Jest pan pewny? - nalegał Frank Capistrano.
- Potem już nie będzie można się cofnąć.

Malko przypomniał sobie Twin Towers w chwili, kiedy się zapadały, grzebiąc tysiące ludzi. Tych, którzy wyskakiwali przez okna, szczególnie pewną parę, która rzuciła się z pięćdziesiątego piętra południowej wieży, trzymając się za ręce i miała dużo czasu, by patrzeć na siebie w chwili śmierci. Tak samo, jak pasażerowie czterech porwanych samolotów, którzy po prostu znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Wszyscy zasługiwali na to, by ich pomścić. Nawet, jeśli oznaczało to dodatkowe ryzyko dla niego. Nie miał złudzeń.

W aferach tego rodzaju politycy woleli eliminować wszystkich świadków i aktorów. Również jego. Racje polityczne, racja stanu - mogły okazać się ważniejsze od wszystkich obietnic.

Frank Capistrano jakby czytał w jego myślach, bo rzucił swym ochryłym głosem: - Panu nic nie grozi.

Prezydent dał mi słowo.

- Insz 'Allah - rzucił Malko uśmiechając się nieznacznie.
- W porządku - podsumował Amerykanin.
- Teraz powiem panu, kim jest człowiek, którego podejrzewamy.

I dlaczego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Restauracja była prawie pusta. Tylko barman, zagapiony, siedział w dalszym końcu baru. W tym starym waszyngtońskim hotelu, odwiedzanym głównie przez rozpróżniane damy z towarzystwa, szukające rozrywki w alkoholu, cała ta historia wydawała się nierealna.

Frank Capistrano wyciągnął ze starej, skórzanej teczki jakiś dokument i pokazał Malkowi. Był to portret pamięciowy, bardzo dokładny, wyglądający niemal jak fotografia. Czarnowłosa mężczyzna,

zaczesy do tyłu, z wysokim czołem, zapadniętymi oczami, o rysach regularnych, choć surowych i dużych, mocno zarysowanych ustach. Raczej przystojny.

Ponad portretem, stworzonym najwyraźniej przy pomocy komputera, widniało kilka słów do datkowej charakterystyki: „Osobnik mierzy około sześciu stóp i dwóch cali, wygląda na mniej więcej pięćdziesiąt lat, szczupły”.

- Kim jest ten człowiek? - spytał Malko.

- Posłałem FBI do Jersey City - wyjaśnił krótko Amerykanin.

- „Platfusy” przeczesały ten fragment parku, skąd nadano komunikat do Madrytu. I znalazły doskonałego świadka, który już zdążył zresztą udzielić wywiadu. Emeryt, Aleksander Krawczynski, który codziennie spaceruje tam z psem około ósmej trzydzieści. Rano 11 września zauważył mężczyznę z aktówką w rękę, który dość bacznie i długo obserwował przeciwległy brzeg przed zamachem. To według jego opisu sporządzono ten portret pamięciowy.

- To wszystko?

Testis unus, testis nullus jak mawiali Rzymianie.

- Nie - wyjaśnił Frank Capistrano. - Po uderzeniu w wieżę północną ten mężczyzna pozostał na miejscu. Krawczynski go zagadnął, lecz ten nie odpowiedział. Pozostał także na miejscu po uderzeniu w wieżę południową.

Wtedy było już tam dużo ludzi, jednak jego zachowanie na tyle zaintrygowało Aleksandra Krawczynskiego, że nadal uważnie go obserwował. Wkrótce po drugim uderzeniu odszedł kawałek i telefonował z komórki.

- Mnóstwo ludzi musiało to wtedy robić - zauważył Malko.

- Oczywiście. Ale Krawczynskiego uderzyło, że tamten był na miejscu na długo przed zamachem.

- Potrafiłby go rozpoznać?

- Tak sądzi. Tak czy inaczej, ten człowiek nie był Arabem.

To typ kaukaski.

Malko wolał nie wspominać, że wielu Arabów ma niebieskie oczy, zaś Afgańczycy w ogóle nie są semitami...

- Co więcej - ciągnął Special Advisor - czas, w którym dzwonił odpowiada czasowi nadania komunikatu przechwyconego przez NSA.

- Próbowaliście odnaleźć tego człowieka?

- Tak i nie. Domyślamy się jednak, kto to może być.

Znów zanurzył rękę w teczce i wydobyl z niej duże, czarno-białe zdjęcie.

Przedstawiało mężczyznę na ulicy, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że jest fotografowany.

Frank Capistrano położył zdjęcie obok portretu pamięciowego.

- Co pan o tym myśli?

Malko spojrzal uważnie na rysunek i na fotografię.

- Już mnie pan nie potrzebuje - powiedział. - To ewidentnie jeden i ten sam człowiek.

- Też tak sądzę - przyznał ostrożnie Frank Capistrano - i tu właśnie tkwi problem.

- Dlaczego?

Amerikanin dotknął zdjęcia palcem wskazującym.

- Ten człowiek nazywa się John Tumer.

Był jednym z naszych najlepszych field officers w Wydziale Operacyjnym.

Dwadzieścia siedem lat w Agencji, na różnych stanowiskach, zawsze bez zarzutu. Kiedy odchodził, przyznano mu Distinguished Medal of Intelligence. Byłem na jego pożegnaniu wraz z ówczesnym dyrektorem Agencji.

- Przeszedł na emeryturę?

- Został zwolniony, ale nie z powodów niehonorowych.

Po prostu nie zgadzał się ze swoimi szefami w pewnych sprawach.

Zaproponowano mu zatem przejście na zasłużoną emeryturę.

- Co teraz robi?

- Mieszka tam gdzie dawniej, w Wirginii, w małej miejscinie, która nazywa się Falls Church. Dwadzieścia minut od Langley.

- Sam?

- Tak. Rozwiódł się dawno temu, a dzieci nie ma.

To ułatwiło mu karierę: był jednym z tych nielicznych, którzy godzą się na wysyłanie ich na najbardziej gówniane placówki. Jego pierwsze poważne stanowisko w Wydziale Operacyjnym to

była rezydentura w Paragwaju, w czasach, gdy nie działało się tam prawie nic. Nie przyjaźnił się z innymi pracownikami Wydziału Operacyjnego. Introwertyk, milczek.

Niemniej, rygorystycznie uczciwy, dyspozycyjny, nie wywyższał się...

I bardzo sumienny. Jego raporty były zawsze trzy razy dłuższe niż raporty kolegów. Był analitykiem w centrali, ale to go nudziło.

W 1985 miał już za sobą pobyt na Środkowym Wschodzie i nieźle sobie radził z arabskim. Wtedy to DWO, pamiętam, że był to chyba Jack Perry - zaproponował mu pracę w strefie konfliktu, w Azji Centralnej.

- Gdzie? W Tadżykistanie?

- Nie, wtedy nie mieliśmy tam stałego personelu. To był jeszcze Związek Sowiecki. Dołączył do zespołu w Pakistanie, który koordynował współpracę z ISI i mudżahedinami w Afganistanie. Jak pan wie, wraz z Arabią Saudyjską finansowaliśmy walkę Afgańczyków przeciwko Sowiecom, którzy dokonali inwazji na Afganistan w 1979 roku. John Tumer miał bazę w Peszawarze, pod przykrywką konsulatu i często bywał w Afganistanie.

Mieliśmy tam sporą bazę logistyczną, przez którą szły potężne dostawy broni dla mudżahedinów walczących z Iwanem.

- Kosztowało was to sześć miliardów dolarów - zauważył Malko.

Frank Capistrano zlekceważył te cyfrę lekkim machnięciem dłoni.

- Gra była warta świeczki. Bili Casey przekonał w 1986 roku prezydenta Reagana, by wysłać im stingery, co stanowiło punkt zwrotny wojny.

W ciągu dwóch lat mudżahedini zestrzelili siedemset sowieckich maszyn, samolotów i helikopterów. To było zwycięstwo.

- Co robił John Tumer w tamtym czasie?

- Nadzorował konwoje z bronią z Karaczi do Afganistanu.

Sprzęt wyladowywano w Karaczi, ładowano na ciężarówki i wysyłano na północ, do Ouetty, stolicy Beludżystanu pakistańskiego.

Tam ładowano go na wielbłądy i do Afganistanu szlakami, których Iwan nie nadzorował. Najbardziej aktywni mudżahedini byli islamskimi fundamentalistami, jak Gulbuddin Hekmatyar. Tyle, że w tam tych czasach nikt na to nie zważał... Anioł wymachujący sztandarem dżihadu przemknął z głośnym szumem skrzydeł. Gulbuddin Hekmatyar, protegowany służb pakistańskich, zaopatrywany w broń przez CIA, zawsze przysięgał, że pierwszą rzeczą, jaką zrobi po zdobyciu Kabulu będzie zrównanie z ziemią ambasady amerykańskiej. Dotrzymał słowa, bombardując ją ze wzgórz pod Kabulem od roku 1992.

- John Tumer miał więc kontakt z mudzahedinami? - spytał Malko.

- Bardzo regularny - potwierdził Frank Capistrano. - Prowadził surowe życie, śpiąc, jak jego szoferzy, na ziemi lub na skrzyniach z ładunkiem.

Często przez wiele tygodni nie wracał do Peszawaru. Ale nie skarżył się. Jego praca polegała na pilnowaniu, by jakaś część ładunku nie „spadła z wielbłądów”, by nie trafiła w ręce „złych” Afgańczyków. Życie było tam okrutne. Dwie lub trzy skrzynki amunicji oznaczały przetrwanie wioski przez kolejny miesiąc. Właśnie z tamtych czasów datują się pierwsze problemy z Johnem w Agencji - westchnął.

- Jakże?

Frank Capistrano jeszcze bardziej ściszył głos.

- Wysyłał wiele raportów, w których podkreślał dysproporcje między ilością broni dostarczanej ekstremistom i bardziej umiarkowanym, jak na przykład plemię Wardak, nota bene również pasztuńskie.

- A zatem? - Nie było to wysane z palca.

Ci faceci z ISI rozdarli mordy, że niby to oni są upoważnieni do decydowania, z kim należy współpracować, a jeśli nam się nie podoba, to możemy zabierać się z Pakistanu. Bili Casey położył swoje wielkie uszy po sobie i szef placówki w Peszawarze nakazał Johnowi Tumerowi, by nie mieszał się do nie swoich spraw. Jego zadaniem jest tylko pilnowanie dostaw, nic więcej.

Malko uśmiechnął się sceptycznie.

- Nie wiedzieliście, że praktycznie wszyscy oficerowie ISI, razem z ich szefem, generałem Hamidem Gulem - to zaciekli islamiści, szaleńcy Boży?

Frank Capistrano wyglądał na zaambarasowanego.

- Domyślaliśmy się tego, lecz nie to było wtedy naszą naczelną troską. Rozmawiałem o tym z Billem Caseyem, ale odparł, że ważniejsze jest pokonanie Związku Sowieckiego niż to, że paru wszarzy ze stingerami wydostanie się na swobodę. Daleko nie zajdą. Znamienna ślepotą. Czternaście lat później dotarli do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Niemniej, Bili Casey był wielkim patriotą i uczciwym człowiekiem.

- John Tumer dostarczał więc dalej broni mudzahedinom - podsumował Malko.

- Oczywiście tym „dobrym”. - O ile można tak powiedzieć - zaśmiał się gorzko Frank Capistrano. - Dano mu miesiąc urlopu, by zajął się swoimi różami w Wirginii i żeby DWO mógł mu wytłumaczyć, że jego robotą jest pilnować, by broń dotarła do odbiorców wskazanych przez ISI, a nie myśleć. Z drugiej strony, jak mi donoszono, tego co myśli to i tak nigdy nie dawał po sobie poznać. Był zdyscyplinowany, poważny, uczciwy...

Zbyt uczciwy.

- To znaczy? - rzucił Malko, nadstawiając ucha.

- Sześć miesięcy później mieliśmy z nim kolejny problem - wyjaśnił Amerykanin. - Wysłał raport, sygnalizujący, że ciężarówki wysyłane do Afganistanu z bronią nie wracają puste. Były pełne po brzegi bel haszyszu i paczek z heroiną, pochodzących z pól makowych na obszarach kontrolowanych przez mudżahedinów i wysyłaną później do Europy i do nas, przy wykorzystaniu ochrony, jaką nasze konwoje miały zapewnioną. A raczej opłaconą, bo trzeba było co dwadzieścia kilometrów dawać bakszysz. To właśnie było zadaniem Johna. Jeździł z torbą dolarów, a co mu zostało, to odwoził do Peszawaru. Cholernie uczciwy facet...

DWOP, kiedy otrzymał jego raport, przesłał go do DG, który z kolei powiedział o tym w Białym Domu, gdzie nakazano mu, by nie nadawał sprawie biegu. Byliśmy całkowicie zależni od mafii afgańskich przemytników - wszyscy to Pasztunowie - którzy chronią nasze konwoje, za co zapłatą była możliwość ich wykorzystania w powrotnej drodze przez handlarzy narkotyków. Co więcej, ci ostatni powiązani byli z oficerami ISI.

- O ile po prostu nie byli nimi - doprecyzował Malko.

- Właśnie - musiał przyznać Frank Capistrano. - Ale na wojnie jak na wojnie, sojuszników się nie wybiera. Tylko dzięki tym konwojom mogliśmy dostarczać Afgańczykom stingery, które zmieniły bieg wojny.

- A później co się działo?

Frank Capistrano westchnął ciężko.

- Ten szalenciec Tumer przekazał swój raport do DEA! Nie muszę panu mówić, co to spowodowało. W DEA zaszumiało, zaczęli grozić nam aresztowaniem, ujawnieniem afery w prasie... Niech pan pomyśli: Agencja federalna wspiera przemyt heroiny do Stanów Zjednoczonych! To mogło wywołać megaskandal. Wszystko oparło się aż o mnie i o prezydenta. Dyrektor Agencji chciał po prostu wywalić Johna! Ale ktoś pomyślał, że w swoim poczuciu słuszności gotów odwołać się do prasy. I wtedy wykonano klasyczny ruch: boczny tor. Rozgrywkę z DEA jakoś zażegnano, a John Tumer dostał nową robotę: oficera łącznikowego przy protegowanym księcia Turki, szefa saudyjskich służb specjalnych. Zwał się Osama ben Laden...

Znowu pojawił się anioł z flagą dżihadu.

Frank Capistrano kontynuował: - Generał Gul od miesięcy domagał się, by Turki wysłał do Afganistanu któregoś z książąt saudyjskich, ażeby dodał ducha walczącym tam Saudyjczykom. Ci jednak wolą pieprzyć się z dziwkami i popijać szkocką, a nie odbijać sobie tyłki na grzbietach mułów w afgańskich górach. Turki znalazł jednak kogoś, kto był prawie księciem: Saudyjczyka z bardzo dobrej rodziny, bardzo bogatego i bardzo religijnego.

- W ten sposób - stwierdził Malko - John Tumer poznał Osamę ben Ladena.

- Otóż to - przyznał Frank Capistrano. - Mamy nawet zdjęcia, proszę popatrzeć. To zostało wykonane w afgańskiej prowincji Paktia, w bazie Massada, gdzie gromadzili się ochotnicy arabscy.

Ponownie wyjął z teczki zdjęcie, tym razem kolorowe, na którym widniało dwóch uśmiechniętych mężczyzn.

Jednym był brunet z obfitą czupryną, o głębokim spojrzeniu i łagodnym wyglądem. Drugim był Osama ben Laden, doskonale rozpoznawalny ze swoją krótką brodą i gęstym wąsem, w mundurze polowym i w ciężkim hełmie amerykańskim. John Tumer był po cywilnemu.

- Zdjęcie zrobiono w 1988 roku - skomentował Frank Capistrano.

- W tamtych czasach Osama ben Laden krążył pomiędzy frontem i Peszawarem, montując organizację wspierającą mudżahedinów, Maktab al-Khidimat, której biura rekrutacyjne znajdowały się w miasteczku uniwersyteckim pod Peszawarem. Często też podróżował za granicę, by zbierać fundusze i składać sprawozdania swojemu „sponsorowi”, księciu Turki.

- To był złoty wiek - zauważył Malko.

Frank Capistrano westchnął.

- W gruncie rzeczy tak. Później John złapał jakąś francję i musiał wracać do kraju. Trzy miesiące spędził w szpitalu, dostał jeszcze trzy miesiące urlopu i posadzono go za biurkiem w Wydziale Operacyjnym, żeby się trochę podreperował. Wszyscy już zapomnieli o epizodzie z DEA.

Reszta to już historia. W 1989 roku Sowieci się wycofują i my też likwidujemy nasze sprawy, zabieramy naszych ludzi i zostawiamy Pakistańczykom ich mudżahedinów. W tym momencie znów zwrócono się do Johna Tumera. Kiedy Wydział Techniczny podsumował swoje rachunki, okazało się, że Afgańczycy powinni jeszcze mieć około 250 stingerów.

Należało podjąć próbę ich odzyskania. Nie było to wcale takie oczywiste: Afganistan był w ogniu i krwi. Ruscy się wycofywali, w Kabulu trzymał się jeszcze Nadżibullah, ich kukła, ale szczelnie otoczony przez mudżahedinów ze wszystkich frakcji...

- Gdzie był wtedy Osama ben Laden?

- Wrócił do Arabii Saudyjskiej, zde gustowany kłótniami mudżahedinów.

On jest z tych czystych.

- A zatem John Tumer wrócił do Afganistanu. Co tam robił?

- Natychmiast zaczął się znowu zachowywać jak harcerzyk - rzucił lekceważąco Frank Capistrano. - Po trzech miesiącach pobytu sporządził alarmujący raport, głoszący, że nie powinniśmy porzucać naszych przyjaciół mudżahedinów i powinniśmy opiekować się nimi dalej. Niedawno czytałem ponownie ten raport. Głosi, że my prowadziliśmy wojnę ze Związkiem Sowieckim i zwyciężyliśmy w niej, ale mudżahedini, tacy jak ben Laden, Hekmatyar, a nawet Gul - prowadzili

wojnę religijną, a ta walka jest dla nich jedynie wstępem do bardziej generalnego konfliktu.

- Prorocze! - rzucił Malko.

Frank Capistrano wzruszył ramionami, nie kryjąc znudzenia.

- Możliwe. Ale wie pan przecież, na czym polega polityka.

Wygraliśmy wojnę i trzeba było zająć się innymi rzeczami.

Mieliśmy konflikt w Iraku i w Waszyngtonie nikt już nie interesował się Afganistanem. Uważaliśmy, że wszyscy ci mudżahedini spokojnie wrócą do swoich wiosek. Raport Johna Tamera padł ofiarą „hierarchii prio rytetów”. Zrozumiał wreszcie, że w Agencji odsunięto go na boczny tor.

Że wszystko, czego się od niego oczekuje - to odzyskanie stingerów.

Stulił pysk, tak jak wcześniej i wziął się do roboty.

Zaczął negocjować z afgańskimi warlordami różnych opcji zwrot tych przeklętych stingerów. Ta sprawa tym bardziej leżała nam na sercu, że wie le spośród nich pojawiło się w Iranie. A nie ma broni przeciw cywilnym samolotom...

- Za ile byliście gotowi je odkupić?

- Milion dolarów sztuka.

- I zostały zwrócone?

Specjalny doradca Białego Domu skrzywił się.

- Nie. Miała miejsce bardzo nieprzyjemna historia. Po miesiącu negocjacji, często za pośrednictwem agentów; ISI, John zdołał ustalić tentative deal: dwadzieścia stingerów za piętnaście milionów dolarów. To drogo, zwłaszcza że nie byliśmy pewni, czy są sprawne, ale z Białego Domu przyszedł rozkaz: kupować. Przekazano pieniądze Johnowi Tumerowi, który odleciał z nimi helikopterem. Miał spotkać się w Logar z jednym z dowódców pasztuńskich. Towarzyszył mu pułkownik ISI. I tu właśnie poszło źle. Zostali zaatakowani przez jakąś niezidentyfikowaną bandę.

Pułkownik ISI zginął, tak samo część eskorty; John Tumer zdołał uciec.

- A piętnaście milionów dolarów?

- Wyparowały. Więcej o nich nie słyszano. John Turner wrócił do Peszawaru praktycznie na piechotę, skołowany i załamany, i wysłał długi raport, mówiący, że prawdopodobnie został wystawiony przez ludzi z ISI, co było więcej niż prawdopodobne.

- To szaleństwo wysyłać pojedynczego człowieka z piętnastoma milionami do takiego kraju jak Afganistan, gdzie gardło mogą ci poderznąć już za pięć dolarów - za uważył Malko.

- To był jedyny sposób...

- Co stało się później?

- Paskudna historia - wyznał Frank Capistrano.

- John Tumer wkrótce po powrocie do Waszyngtonu został wezwany przed komisję dyscyplinarną. Zarzucali mu, że nie pilnował dostatecznie tych piętnastu milionów. Taka była wersja oficjalna. W rzeczywistości DWA, który czekał na taką okazję od czasu tamtej historii z DEA, zasugerował offthe record, że John wszystko zorganizował, aby zagarnąć kasę.

dzieląc się z tamtymi typami z ISI.

- Uwierzył pan w to?

Frank Capistrano drgnął gwałtownie.

- Ależ ja o tym wówczas nic nie wiedziałem! To była wewnętrzna rozgrywka Agencji. Ich własne porachunki. Wszystko wyczytałem teraz w aktach. Zbyt późno.

- Oskarżono go?

- Oczywiście nieoficjalnie. - Ale został uznany winnym „zaniedbania” i zwolniono go. Ze wszystkimi honorami...

Honorable discharge.

- Zaakceptował to?

- Tak. Nie skarżył się. Nie powiedział ani słowa, jak zwykle. Powiedział tylko - mam protokół, że CIA popełniła historyczny błąd, pozostawiając samym sobie ludzi, którymi się posługiwała. Co więcej, dobrze wyszkolonych, uzbrojonych i zmotywowanych... Oczywiście nikt się tym nie przejął. A John przeszedł na emeryturę, zainkasował ładną odprawę i oddał odznakę. Amerykanin zamilkł.

Malko rzucił okiem na fotografie rozłożone przed nim.

Historia Johna Tumera była zasmucająco banalna.

Agenci terenowi mieli zawsze odmienne i bardziej realistyczne poglądy na sprawy niż biurokraci. Podniósł wzrok i spojrzał na Franka Capistrano.

- A pan - spytał - co pan o tym myśli?

Ukradł te pie niądze?

Amerykanin zdumiał się.

- Oczywiście, że nie! To jest typ niezdolny ukraść dziesięć centów!

Jest patologicznie uczciwy. Lecz ci, którzy go oskarżali, nie uwierzyli w to.

Woleli się go zwyczajnie pozbyć.

Un ange woleta a travers de piece, un poignard plante entre le dewc ailes.

Ludzie są tacy przewidywalni...

Malko zaczął rozumieć podejrzenia Franka Capistrano.

Wrzód nabrzmiał i pękł, zaś trucizna w większości przelała się w serce Johna Tumera. On, który zawsze służył wiernie swojemu krajowi, został wyrzucony za błąd, którego nie popełnił...

- Czym się teraz zajmuje? - spytał Malko.

- Przez rok nie robił nic. Jego nieliczni przyjaciele alarmowali Agencję, że jest w ciężkiej depresji. Potem wziął się w garść... Założył, do spółki z pewnym specjalistą od komunikacji, niewielką firmę konsultingową skoncentrowaną na sprawach Pakistanu. Miał tam przyjaciół i łatwo zdobył klientów Pakistańczyków chcących inwestować u nas i naszych, zainteresowanych tymym rynkiem. Nieźle sobie radził z organizowaniem kontaktów między politykami i biznesmenami z regionu. Krótko mówiąc, wraz z emeryturą starcza mu na wygodne życie. Zwłaszcza, że nie szasta pieniędzmi.

- A co robił 11 września?

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Nikt z Agencji nie rozmawiał z nim już od dawna. Czasem spotka jakiegoś dawnego kolegę na lotnisku...

Ze względu na pracę często lata do Pakistanu.

- A gdzie jest teraz?

Frank Capistrano zajrzał do swojego Breitlinga, świadka jego burzliwego życia i odpowiedział:

- W tej chwili powinien być w Langley. Od sześciu godzin.

Malko rzucił mu pytające spojrzenie, nie mogąc oprzeć się przekonaniu, że umknął mu jakiś fragment historii.

- Sądziłem, że został zwolniony w 1997 roku.

- Owszem! Ale w międzyczasie był 11 września. Kiedy kurz opadł, obecny dyrektor Agencji, George Tenet, spostrzegł, jak szczupłymi siłami dysponuje i zaangażował ponownie pewną liczbę agentów odesłanych na emeryturę, ale wciąż mających spore doświadczenie. Stało się to niedawno,

jakieś dwa miesiące temu. To był dobry pomysł i Biały Dom dał mu zielone światło. Agencja przyjęła dziesięciu agentów-seniorów na czas nieokreślony, tworząc specjalną komórkę antyterrorystyczną. Nie pytał mnie pan jeszcze, jak doszedłem do powiązania między sporządzonym przez FBI portretem pamięciowym człowieka telefonującego z New Jersey a Johnem Tumerem... Kiedy otrzymałem ten portret, nie myślałem o nikim szczególnym. Ale George Tenet angażował starą gwardię i przysłał mi do akceptacji akta tych, którzy zostali wybrani. To był szok, kiedy zobaczyłem zdjęcie załączone do CV Johna Tumera. A po przeczytaniu jego życiorysu byłem jeszcze bardziej wstrząśnięty.

- George Tenet nic o nim nie wiedział?

- Kandydatury zostały wybrane przez komputer, bez przeglądania akt.

Jakby chcąc usprawiedliwić dyrektora CIA, Frank Capistrano jednym haustem opróżnił swój kieliszek wypełniony Otardem X0.

Malko był jak sparaliżowany.

Gdyby George Tenet nie zechciał wzmocnić swojego personelu, nikt nie odkryłby związku między portretem pamięciowym podejrzanego, a Johnem Tumerem.

- Czemu zdecydowaliście się powołać Johna Tumera?

- zdziwił się. - By mieć go pod nadzorem?

Frank Capistrano zdumiał się.

- A kto by miał ten nadzór sprawować? FBI? Niemożliwe.

Dostrzegłem jednak dwie korzyści. Po pierwsze, mamy go pod ręką.

Po drugie, to pozwoliło na przeprowadzenie przez służby wewnętrzne CIA małego śledztwa na jego temat, tak, jak w przypadku wszystkich innych kandydatów.

- I co to dało?

- Nic. Kryształ. Żadnych problemów finansowych, żadnych nałogów, niewielu przyjaciół. Każdego dnia jeździ z Falls Church do swojego biura, przy Dziewiętnastej Ulicy w północno-zachodniej części Waszyngtonu, wee kendy spędza w domu, trochę podróżuje w interesach. Regularnie bywa w Pakistanie. Znamienne - pasjonuje go Internet. To jego jedyny nałóg.

- Jak zareagował, kiedy zaproponowano mu powrót do Agencji?

- Po prostu powiedział „tak”. Beznamiętnie. Bez stawiania pytań.

Restauracja opustoszała.

Frank Capistrano poprosił o rachunek, by nie niecierpliwić kelnera.

Malko, zakłopotany, próbował oceniać w duchu szansę tej ultradelikatnej misji.

- Czy John Tumer jest religijny?

- Z akt wynika, że jest baptystą, ale niepraktykującym.

- Nigdy nie zdradzał się ze skłonnościami do islamu?

Frank Capistrano potrząsnął głową przecząco.

- Nic o tym nie wiem.

- Frank - powiedział Malko - poza tym, że macie por tret pamięciowy, są jeszcze jakieś inne powody, by podejrzewać Tumera?

Mówił mi pan, że nie jest łasy na pieniądze.

- Niech pan sobie przypomni Burgessa i McLeana, zdrajców z brytyjskiej MI 6. Byli przekonani marksistami, choć ich pochodzenie i wychowanie stawiało ich praktycznie poza podejrzeniami. Myślę, że tutaj jest pies po grzebany. Nie widzę żadnego możliwego motywu zdrady.

Malko dostrzegł jeden: gorycz, wrogość wobec systemu, chęć zemsty.

Prawdopodobnie również podziw dla ludzi oddanych ideałom, nawet jeśli są szaleńcami, jak Osama ben Laden. Wielu uciekinierów z Sowietów w czasach zimnej wojny zdradzało, gdyż czuli się traktowani niesprawiedliwie przez hierarchię lub źle opłacani... Z powodu rozczarowania i frustracji.

Spojrzał na swój zegarek Brietling Crosswind.

Siedzieli w restauracji już od dwóch godzin.

- Frank - zauważył - mimo swoich problemów z hierarchią John Tumer wydaje mi się typem modelowego obywatela. Sumienny, uczciwy... Dokładnie taki, jaki powinien być pracownik Agencji. Z drugiej strony, jeżeli jest winny, to się pilnuje i jest dość sprytny, by nie prowokować podejrzeń. Jeżeli dodać do tego, że nie możemy posłużyć się legalnymi środkami, by go dopaść, śledztwo, które mi pan proponuje wydaje się prawie niemożliwe.

Frank Capistrano wyglądał na zmieszanego.

- Odmawia pan?

- Nie - sprostował Malko - ale musicie przystać na moje warunki.

Jeśli chodzi o mnie, widzę tylko jeden sposób działania. A jestem pewien, że to pana wkurzy.

- Proszę bardzo, niech pan przedstawi swój pomysł rzucił Special Advisor of White Hali.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Malko uśmiechnął się z rezerwą.

- Najpierw, jeśli można, chciałbym poznać wasz. Sądząc z tego, do czego zechciał mnie pan dopuścić, John Tumer dzień w dzień pracuje w Langley i prowadzi nadzwyczaj spokojne życie. Przypuszczam, że nie warto podsłuchiwać jego rozmów telefonicznych, choć, w razie czego, FBI mogłoby to zrobić. Jednak jest zbyt ostrożny, by można się dowiedzieć w ten sposób czegokolwiek. Sprawdzenie jego komputera przyniesie zapewne ten sam efekt. Czego więc pan ode mnie oczekuje?

- Rozumie pan bez wątpienia, że z powodu braku odpowiednich ludzi nie można w sprawie Johna Tumera prowadzić klasycznego śledztwa: podsłuchu, kontroli komputera, rozmów z sąsiadami.

Angażowanie FBI w ogóle nie wchodzi w grę. Nie ma zresztą żadnych poważnych powodów usprawiedliwiających śledztwo. Żyjemy w państwie prawa. Czy pamięta pan, jak odmówiono FBI prawa do skontrolowania komputera Zachariasa Moussaoui, mimo że był podejrzanym? Myślę póki co o zastosowaniu ograniczonych środków. Dyskretna obserwacja, jaką pan by prowadził. Tumer mieszka w Falls Church, kwadrans od Langley. Wieczorami prawdopodobnie wychodzi.

Może telefonować z budki, spotykać się z ludźmi... Albo opróżniać „skrzynki kontaktowe”. Co więcej, czuje się bezpieczny, bo został ponownie zaangażowany przez Agencję. Tydzień obserwacji lub dwa powinny coś dać.

- Nie obawia się pan, że mnie namierzy? - Malko miał obiekcje.

- To zawodowiec. A jeśli jest winny, to się pil nuje.

- Istnieje takie ryzyko - przyznał Frank Capistrano.

- Aby je zmniejszyć, zastosowałem dwa sposoby. Po pierwsze, wynająłem pięć samochodów różnych typów. Wszystkie są zaparkowane w garażu podziemnym hotelu Willard, a klucze są u portiera na pana nazwisko.

- Ach tak. Sądzę, że...

Special Adyisor powstrzymał go gestem.

- Dopuszcilem do sprawy moją asystentkę, Laurę Putnam. To dawna pracownica Agencji i mam całkowite zaufanie do niej. Laura wynajęła pokój w Willardzie i jest do pana dyspozycji. Może pan

brać ją ze sobą, może też pan działać sam. Niebagatelne, że zna północną Wirginię jak własną kieszeń. Szczególnie Falls Church. Może być również, bez zwracania uwagi, łącznikiem między mną a panem. Często bywa w Białym Domu.

Poza tym...

Frank Capistrano zawiesił głos.

- Cóż takiego? - nalegał Malko.

- She is a very pretty woman.

Frank Capistrano bez wątpienia był sprytnym lisem, umiejętnie posługującym się kijem i marchewką.

Malko zaczął się zastanawiać, jak ta marchewka wygląda.

- To ważne - przyznał Malko. - Ale nie wystarczy.

Obserwacja tego rodzaju może się ciągnąć tygodniami bez żadnego rezultatu.

Mam lepszy pomysł. Mówił pan, że George Tenet jest w pełni poinformowany... To bardzo ładna kobieta.

- Tak.

- Doskonale. Powinien rozpuścić plotkę, że macie zdrajcę w Agencji, ale nie potraficie go zidentyfikować.

Frank Capistrano zerwał się na równe nogi.

- Nie sądzi pan chyba! Należy zachować absolutny sekret!

- Oczywiście. Ale jeśli John Turner jest zdrajcą, to może zareaguje jakoś i naprowadzi nas na ślad. A plotka i tak nie wyjdzie z Agencji. Trzeba tylko, by informacja dotarła do Tumera. A o to jestem spokojny. Tego rodzaju słuchy rozprzestrzeniają się z szybkością światła.

- A jeśli dojdzie to do FBI?

Malko posłał mu rozbrajający uśmiech.

- Wszyscy w Langley będą sądzić, że plotka nie ma podstaw...

Zamilkł, zaś Frank Capistrano, wzburzony, sięgnął po papierosa i przypalił go swoją zapalniczką Zippo, nie wyjmując jej nawet ze skórzanego etui.

Przez kilka chwil milczał, po czym rzucił:

- Muszę na to dostać zielone światło od prezydenta. To, co pan proponuje, stoi w sprzeczności ze strategią, ja ką z nim ustaliłem.

- Rozumiem - zgodził się Malko.

- Kiedy może pan go spytać?

- Natychmiast. Weisnę się między dwa spotkania.

- Zgoda. Kiedy pan otrzyma odpowiedź, proszę mnie powiadomić.

Dobrze by było, gdyby to mogło stać się na wet jeszcze dzisiaj.

- Wykluczając jakieś większe problemy, to wydaje się możliwe - powiedział Frank Capistrano.

- A jeśli odmówi? - Zgadzam się postępować tak, jak zaplanowaliście, ale uważam, że to do niczego nie doprowadzi.

- OK - rzucił Special Advisor. - Jeśli będę miał zielone światło, wezwę George'a Teneta dziś wieczór lub jutro rano. Być może jednak będzie trzeba kilku dni, by sprawa dojrzała.

- Mamy wtorek - zauważył Malko. - Od dziś do końca tygodnia plotka powinna dotrzeć do uszu Johna Tunera. Póki co mogę zapoznać się z terenem.

- Laura Putnam jest w pokoju 421 w Willardzie - powiedział Frank Capistrano. - Może pan z nią rozmawiać jak ze mną. Jej ojciec jest moim kumplem z dzieciństwa,; a ona zrobiła świetną karierę w Agencji.

- Dlaczego stamtąd odeszła?

- Miała dość przebywania za granicą, więc zaproponowałem jej robotę w Białym Domu.

Wymienili długie spojrzenie i Special Advisor wstał pierwszy, wyciągając dłoń do Malko.

- Mam nadzieję, że pana pomysł jest naprawdę dobry - westchnął. - Jeżeli nie, to ryzykuję, że George W. Bush będzie moim ostatnim prezydentem.

Pomimo boazerii i sztychów ze scenami myśliwskimi na ścianach, bar Rabin Hood w hotelu Willard zdawał się być równie wesoły, co zakład pogrzebowy. Dwaj pijacy przy kolistej ladzie zajęci byli opowiadaniem barmanowi kawałów z kilometrową brodą; obok nich jakaś kobieta, elegancka, lecz z dawno przekroczoną datą używalności, kontemplowała w lustrze swoje zwiędłe rysy, popijając Martini.

Zaledwie Malko zdążył zainstalować się przy małym stoliku i zamówić wódkę, do baru wkroczyła krótko ostrzyżona blondynka, sytuująca się po właściwej stronie trzydziestki.

Szybkim spojrzeniem omiotła pomieszczenie i bez wahania skierowała się do jego stolika.

Malko powstał natychmiast.

- Nie kazałam na siebie zbyt długo czekać? - spytała niespokojnie.

Malko dzwonił do jej pokoju pięć minut temu. Uśmiechnął się uspokajająco.

- Ależ skąd!

Dwaj pijacy zamilkli, gapiąc się błyszczącym wzrokiem na przybyłą. Ze swoimi niebieskimi oczyma z figlarnym błyskiem, w czarnym swetrze i w krótkiej spódniczce ze skóry w dobrym gatunku, Laura Putnam przypominała raczej młodą dziennikarkę niż szpiega.

Zdegustowana elegantka przy barze opróżniła jednym haustem swój kieliszek Martini i wyszła.

Laura Putnam, zaledwie usiadła, od razu wyciągnęła z torebki paczkę papierosów Mariboro Light i zapalniczkę Zippo Swarovski, którą Malko wziął jej z ręki, by móc podać ogień.

- Napije się pani czegoś? - zapytał.

Laura Putnam wybuchnęła śmiechem.

- Jak pan zgadł? Bardzo lubię szkocką. To pociecha samotnych kobiet, lepsza niż gimnastyka. Znow wybuchnęła śmiechem i rzuciła do barmana, który właśnie podszedł:

- Podwójnego, pięcioletniego Defendera proszę. Z kil koma kostkami lodu.

I migdały.

Kiedy barman oddalił się, kolejny raz się roześmiała, otaksowała Malko bezczelnie i powiedziała półgłosem:

- To zabawne, spotkać supermana...

- Och, proszę przestać - zaprotestował Malko, zażenowany.

Laura Putnam pochyliła się ponad stołem.

- Ależ tak, nawet pan nie wie, co mi Frank o panu naopowiadał! Podobno potrafi pan udusić człowieka sznurowadłem. Pouic!

- Ależ skąd, chodzi chyba o kogoś innego - zaprotestował Malko. - Frank za dużo gada.

Żywiołowość i dobry humor asystentki Franka Capistrano podniosły go na duchu.

- Frank milczy jak grób - odparła młoda kobieta.

- Tacy jak ja. Koniec żartów. Będziemy razem pracować nad sprawą Johna Tumera. - Zna go pani?

- Musiałam go spotkać, kiedy byłam w Agencji, ale kompletnie tego nie pamiętam. Niemniej - dodała z komicznym grymasem - na fotografiach prezentuje się bardzo dobrze. Przystojny facet. Co pan zamierza?

- Przejdźmy się do Falls Church - zaproponował Malko.

- Żaden kłopot. Znam drogę. Miałam tam chłopaka, kiedyś, w innym życiu.

Laura jeździła czarnym fordem coupe. Jego wnętrze pełne było gazet, dokumentów, rozmaitych paczek.

- Straszny robię pieprznik! - wyznała, ruszając z miejsca.

Prowadziła ostro. Jej spódnica zmarszczyła się, odsłaniając prawie całe uda. Dojechali do M Street, gdzie skręcili na zachód i przejechali przez Georgetown. Młoda kobieta paplała bez ustanku, przerywając potok wymowy wybuchami śmiechu. Wyraźnie była zachwycona, że może być razem z Malkiem. Minęli Francis-Scott Bridge i wyjechali na autostradę numer 66 prowadzącą na Dulles Airport. Kilka mil dalej Laura zwolniła przed tablicą z napisem „Exit 69”.

- Proszę - rzuciła - 69. Już.

Równocześnie spojrzała figlarnie na Malko, który cały czas milczał.

- Tutaj zaczyna się Falls Church - zaanonsowała, kiedy wjechali w szeroką ulicę wzdłuż której ciągnęły się wystawy sklepów.

- Pełno tu szpiegów. Bogaci mieszkają w Mac Lean, bliżej LangleY.

a biedni osiedlają się tutaj.

Przejechali przez centra osiedla, podobnego do tysiąca innych, z wyjątkiem tablicy głoszącej, że zostało założone w 1699 roku.

Z pewnością jedno ze starszych w Stanach Zjednoczonych.

Całe szczęście, że Laura знаła je wcześniej.

Po kilku zakrętach wiechali w spokojną aleję wysadzaną drzewami.

- Zbliżamy się - powiedziała Laura Putoam.

Zatrzymała się przed numerem 3426.

Drewniany dom, pomalowany szarą, ziszczającą się farbą, ze źle utrzymanym kortem tenisowym w ogrodzie.

Żadnego znaku życia.

- Oto gniazdo bestii - zaanonsowała ponownie.

- Nigdy nie widziałam sąsiadów. Pewnie się gdzieś włóczą za dnia.

John Tumer ma pomarańczowe volvo w matuzalemowym wieku i zawsze parkuje na jezdni. I tak nikt nie ukradnie takiej kupy złomu. Będzie pan umiał trafić tu samemu?

- Myślę, że tak.

- OK. Nie ociągajmy się, niedługo wraca z Pracy.

Było wpół do szóstej. Zapadał zmrok.

Odjechali, znów autostradą nr 66 i zatrzymali się przy M Street, jedynej ulicy Waszyngtonu, gdzie o tej porze było jeszcze trochę życia.

Brutalnie mówiąc, Malko był głodny.

Lunch z Frankiem Capistrano stawał się bardzo daleki.

-Może coś zjemy? - zasugerował.

- Świetny pomysł - zgodziła się Laura. - Nie jadłam lunchu.

Znaleźli w miarę przyzwoitą włoską restaurację i Laura zamówiła od razu butanti.

Przy deserze Malko spytał:

- Co pani sądzi o tej historii?

Laura spojrzała na niego swoimi wesołymi oczyma,

- Mój szef nie wymaga ode mnie myślenia...

Roześmiała się, a potem, poważniejąc, ciągnęła: - Sama nie wiem. Czuję wstręt, zdumienie... Jak myślę o tych wszystkich niewinnych ofiarach. Jak ktoś z naszych mógł wziąć udział w czymś takim?!

Wzruszyła ramionami.

- Oczywiście w Wydziale Operacyjnym jest niemało łobuzów i krętaczy. John Tumer to samotnik i nie za wiele gada.

Nikt nie wie, co ma w głowie. I nagle te jego oskarżenia. Musiało to ich ruszyć. Niemniej jednak, jeżeli to on, to trzeba go rozgnieść jak glistę.

Jej niebieskie oczy już się nie uśmiechały.

Skończyli jeść, nie wspominając więcej o sprawie Tumera i wsiedli ponownie do czarnego forda.

Rozstali się w hallu hotelu Willard.

- Będzie pan mnie jutro potrzebował? - spytała Laura.

- Nie, nie sędzę - odparł Malko.

Roześmiała się żywiołowo.

- Super! Wyśpię się do późna!

Seeyou later!

Malko niczym koń dorożkarski zwolnił odruchowo przy tablicy zapowiadającej zjazd nr 69 z autostrady nr 66.

Skręcił ku Falls Church. Samochody z przeciwnego kierunku jechały niemal zderzak w zderzak. Do Waszyngtonu zmierzali wszyscy pracujący tam wirginijczycy. Nie mógł już wytrzymać z nudów. Od dziesięciu dni odbywał tę samą rutynową podróż, czasami sam, czasem w towarzystwie Laury Putnam.

Rano śledzili Johna Turnera w drodze z domu do Langley, by ponownie przejąć go przy wyjściu z Agencji i towarzyszyć mu z powrotem.

Czasem zatrzymywał się po drodze przy supermarkecie lub za jeźdżał do wypożyczalni video. Ani razu nie oddalił się od Potomaku.

Jego życie zdawało się być przygnębiająco nudne. Pomiędzy jazdą poranną a wieczorną Malko nie miał kompletnie nic do roboty, co zaczynało go wpędzać w neurastenię. Weekend nie przyniósł wiele więcej.

John Tumer, wyjątkowo, pracował w sobotę w centrum antyterrorystycznym w Langley, a potem zatrzymał się tylko na chwilę, by wziąć nowe kasety wideo. W niedzielę w ogóle nie wychodził z domu.

Malko zwolnił i skręcił w Virginia Street, której odgałęzieniem była Riley Street, gdzie pod numerem 3426 mieszkał John Tumer.

Zatrzymał się przed samym skrzyżowaniem i z daleka obserwował miejsce. Dostrzegł po przez zarośla ścianę szczytową domu i fragment jezdni przed budynkiem, gdzie było zaparkowane pomarańczowe stare volvo. Spojrzał na fosforyzujące wskazówki swojego Crosswinda. Dochodziła siódma trzydzieści. Za chwilę powinien pojawić się John Tumer, niczym kukułka wyskakująca z zegara.

Rzeczywiście, mniej więcej po minucie ujrzał dym z rury wydechowej volvo. Samochód

drgnął i zniknął sprzed oczu Malka.

Ten odczekał chwilę, zawrócił i po przez Victoria Street dotarł do Great Fali Road, wiodącej na północ. Skręcił w lewo i przyspieszył.

Trzy minuty później zauważył tył volvo, które toczyło się statecznie z dozwoloną prędkością 55 mil na godzinę. Gęsty poranny ruch ułatwiał śledzenie. Każdego ranka Malko używał innego samochodu, jednego z pięciu, jakie zostawił mu do dyspozycji Frank Capistrano.

Dziś miał biały wóz marki Chrysler Neon.

Oddzielony od samochodu Tumera dwoma innymi, dostosował prędkość jazdy do jego prędkości.

Po kwadransie agent CIA dotarł do skrzyżowania z Chain Bridge Road i skręcił w prawo. Potem znów w prawo, w Dolb, Madison Parkway.

Jak każdego ranka. Jeszcze mila i Malko ujrzał tablicę z napisem: George Bush Center of Intelligence.

John Tumer zwolnił, zjeżdżając na środek szosy, włączył lewy kierunkowskaz i skręcił w drogę dojazdową, prowadzącą na wewnętrzny parking CIA.

Malko pojechał dalej. Miał przerwę aż do wieczora.

Przyspieszył, by jak najszybciej dotrzeć do Waszyngtonu, ogolić się i wziąć prysznic. Był przekonany, że to, co robi, jest idiotyczne i bezcelowe.

Jednakże rozpuszczenie plotki o zdrajcy w łonie CIA nie przyniosło jak dotąd rezultatu. Kiedy dokonał już toalety, zagłębił się w Washington Post.

Drobny szczegół na pierwszej stronie przyciągnął jego uwagę: imieniny Laury. Zadzwoił do recepcji z prośbą o przesłanie kwiatów do jej pokoju z krótkim bilecikiem od niego.

Pół godziny później zadzwonił telefon.

Była to Laura Putnam, rozplywająca się ze szczęścia.

- Jest pan prawdziwym gentlemanem - rzuciła. - Frank mnie ostrzegwał. Już dawno nikt nie ofiarował mi kwiatów na imieniny.

Pędzę zaraz pana ucałować. Nic nowego?

- Nic - przyznał Malko. - Myślę, że dzisiaj powiniem tam być późnym wieczorem, na wypadek, gdyby wychodził.

Już tego próbowałem, ale bez powodzenia.

- Mogę wybrać się z panem? - zaproponowała natychmiast Laura.

Też mam dość bezczynności.

- Z chęcią - zgodził się Malko. - Spotkamy się o piątej, na dole.

- No i proszę - westchnęła Laura Putnam, widząc, jak gasną tylne światła volvo, które właśnie zaparkowało na podjeździe.

John Tumer wrócił przed chwilą z Langley. Była prawie siódma.

- Przyjedziemy tu później - zasugerował Malko.

- Chodźmy na kolację do Old Ebbit - zaproponowała młoda kobieta.

Był to duży, zawsze pełen ludzi pub, jedno z sympatyczniejszych miejsc w Waszyngtonie.

Znaleźli stolik w głębi, przy Oyster s Bar.

W mgnieniu oka Laura po chłonęła dwanaście ostryg i większą część butelki kalifornijskiego Chardonnay.

Malko pomyślał, że w długiej, czarnej spódnicy i w obcisłej bluzce wygląda jak hippiska z lat siedemdziesiątych.

- Pan prawie nie pije - zauważyła.

- Prowadzę. Nie mam ochoty trafić do więzienia.

- Frank pana stamtąd wyciągnie - zapewniła Laura.

Było jeszcze dość wcześnie, kiedy skończyli.

Laura Pyutnam zamówiła koniak do kawy.

Dłońmi o pomalowanych na krwistoczerwony kolor paznokciach otoczyła kieliszek, ogrzewając złoścącego się wewnątrz Otarda X0.

Jak zwykle, nie zamilkła przy tym ani na chwilę.

Padało, kiedy wyszli, a noc była niewiarygodnie ciemna.

Kiedy dotarli do Falls Church, Malko musiał zwolnić: widoczność nie przekraczała kilku metrów.

Laura spała na swoim siedzeniu z głową odchyloną do tyłu.

Minął róg Riley Street i zatrzymał się, obserwując dom Johna Tumera.

W oknach paliło się światło i volvo było na miejscu.

Malko sięgnął po noktowizor, wyregulował i odłożył obok.

Nie było przynajmniej ryzyka, że w tak ciemną noc John Turner dostrzeże ich samochód.

Laura obudziła się i zapytała z lekka niewyraźnie: - Już jesteśmy?

Chyba się przespałam.

- Nieważne - odparł Malko. - Nic się nie dzieje.

Jeśli będzie tak do drugiej, to wracamy do domu.

- Dobrze, szefie!- Laura zasalutowała komicznie. Wyciągnęła się na swoim siedzeniu i wydawało się, że ponownie usnęła.

Malko włączył niezbyt głośno radio i postanowił pomyśleć o czymś przyjemnym. Kilka minut później poczuł, jak ciało Laury przechyliło się w jego kierunku. Jej głowa znalazła się na jego prawym udzie.

Malko myślał, że śpi, ale poczuł jej dłoń sunącą wzdłuż uda aż do jego podbrzusza.

Wstrzymał oddech, myśląc, że Laura czyni tak nieświadomie.

Jednak jej dłoń zaczęła poruszać się bardzo powoli i bardzo precyzyjnie.

Dłoń asystentki Franka Capistrano zacisnęła się z wyczuciem, a potem zaczęła rozpinać suwak jego spodni.

Gorące palce wślizgnęły się w otwór i objęły twardejczy członek.

Trwało to tylko przez chwilę.

Młoda kobieta, jakby obawiając się, że za chwilę wszystko może się skończyć, pochyliła się ku niemu i objęła członek wargami, wsuwając go w usta aż po samo gardło.

- Laura!

Miał wrażenie, że odczuwa wyjątkowo silne i bardzo gwałtowne wyładowanie elektryczne.

Pomyślał jeszcze, że nie powinien tracić z oczu okien Johna Turnera, te jednak błyskawicznie przemieniły się w tańczące przed oczami żółtawe plamy. Fellatio było godne mistrzyni.

Laura najwyraźniej zamierzała doprowadzić je do finału...

Skulona, pochylała się ponad Malkiem i poruszała głową w tył i w przód, powoli, lecz miarowo, nadzwyczaj skutecznie. Ta oznaka troski sprawiła, że poczuł potrzebę odwzajemnienia.

Wolną ręką musnął jej udo rysujące się pod długą spódnicą. Adrenalina natychmiast zakipiła w jego żyłach.

Stateczna asystentka specjalnego doradcy Białego Domu nosiła pończochy! Tego było już za wiele dla podnieconego Malka.

Czując przemożny wstrząs w najgłębszych partiach swoich łądźwi, nie mógł już po wstrzymać mimowolnego krzyku, gdy Laura bez mrugnięcia powiek łykała jego nasienie. Uniosła głowę i spojrzała na niego z figlarnym błyskiem w oczach.

- To było w podzięcie za kwiaty, ale jeśli ma pan ochotę, to zawsze może się pan zrewanżować.

Malko nie byłby dżentelmenem, odrzucając tak uprzejmie sformułowaną ofertę. Światło w oknach domu Johna Tumera zgasło już dawno.

Malko klęczał na podłodze samochodu między udami Laury wyciągniętej na tylnym siedzeniu samochodu. Jednym obcasem zaczepiała o przednie lustro, drugim uderzała rytmicznie w tył fotela kierowcy. Jej długa spódnica zrolowana była wokół bioder. Była to pozycja raczej akrobatyczna i niewygodna, lecz najwidoczniej jej odpowiadała. Jej biodra poruszały się coraz szybciej, rękami przyciągała Malko, jakby chcąc jak najmocniej wcisnąć go w siebie. Aż wreszcie w gwałtownych spazmach wydała z siebie zduszony krzyk.

- My Gad! - westchnęła. - To mnie odmładza.

Tak właśnie straciłam dziewictwo.

Musieli wyjść na zewnątrz, w lodowate zimno, by zająć z powrotem miejsca z przodu. Malko spojrział na zegarek. Fosforyzujące wskazówki Breitlinga pokazywały pierwszą dziesięć. Dom Johna Tumera tonął w ciemnościach.

- Jedziemy - zdecydował Malko.

Chwila rekreacji była słodka, lecz w kwestii śledztwa wciąż dreptali w miejscu. Było to równie frustrujące, jak polowanie na ben Ladena w Afganistanie przy użyciu eskadr B-52.

Kiedy zmierzali do Waszyngtonu, Malko zwrócił się do Laury:

- Powiedz, proszę Frankowi, że chciałbym się z nim jutro spotkać.

- Co się dzieje - spytał Frank Capistrano, kiedy ujrzał Malko oczekującego go w Jockey Clubie, bardzo wytwornej restauracji hotelu Ritz-Carlton, gdzie zaaranżowała ich spotkanie Laura.

- Coś nowego?

- Nie, wcale - odparł Malko. - Bo i nie wiem skąd?

John Turner w ogóle nie żyje. Z Agencji do domu i z powrotem.

Nie warto go śledzić. Operacja Plotka ruszyła?

Frank Capistrano hałaśliwie połknął jedną z ostryg, które przyniesiono im przed chwilą i ostrożnie położył pustą muszlę na brzegu talerza.

- O niczym innym nie mówi się w Langley - stwierdził.

- Doszło to już nawet do FBI, Bóg wie w jaki sposób i George Tenet musiał wszystko dementować u Muellera.

- Czy nie byłby to dobry pretekst, by zaatakować frontalnie Johna Tumera?

Na przykład sprawdzając jego komputer?

- Należałoby tak postąpić z co najmniej dwunastoma innymi „podejrzanymi” - zaproponował Amerykanin.

- Zdecyduję się na to jedynie w razie najwyższej konieczności. Proszę pana jeszcze o tydzień zwłoki i kontynuowanie tej idiotycznej roboty. Mam nadzieję, że Laura w jakiś sposób pana wspiera?

- Robi, co może - powiedział Malko wstrzemięźliwie.

Frank Capistrano zabrał się do kolejnych ostryg z przepaszającym uśmiechem.

- Jadłem śniadanie o wpół do szóstej...

Mój szósty zmysł mi podpowiada, że to właśnie John Tumer dzwonił do Osamy ben Ladena, by zdać mu sprawozdanie, w czasie rzeczywistym, z sukcesu jego akcji. I że dzięki niemu al Kaida mogła zainstalować się w Stanach Zjednoczonych. I teraz trzeba jej ukreślić łeb.

- Mówi się, że ben Laden nie żyje - zauważył Malko.

- Nawet jeśli zmienił się w pył w którejś z afgańskich grot, to i tak jego przyjaciele będą kontynuować walkę. Będzie podniesiony do godności męczennika, będzie „Maadi”, imamem ukrytym, którego należy pomścić.

Liczę zatem na pana. W przypadku porażki będę musiał za stosować wobec Johna Tumera bardziej radykalne środki. Ale to może nic nie dać.

Nic nie powie, jeżeli nie zostanie złapany na gorącym uczynku.

- OK - - powiedział Malko. - Jeszcze jeden tydzień.

W grudniu noc w Wirginii zapada wcześniej.

Malko, stojąc na światłach awaryjnych na poboczu Doily Madison Parkway, obserwował

wjazd do budynku CIA, którym, jak każdego wieczora, ruszali w kierunku swoich domów pracownicy Agencji. Pojazdy jechały na zachód - do Mac Lean albo Falls Church, lub na wschód, do Waszyngtonu. John Tumer zawsze jechał na zachód.

Malko zatem stał zawsze przodem na wschód, aby nie przyciągać jego uwagi. Tym razem przeżył zaskoczenie: John Tumer, który opuszczał zazwyczaj budynek jako jeden z ostatnich, pojawił się jako jeden z pierwszych. Druga niespodzianka: pomarańczowe volvo skręciło w prawo, na wschód. Dzięki temu Malko nie musiał za wracać.

Dogonił volvo przy skrzyżowaniu z Kirby Road i po zostawał w pewnym oddaleniu. Wkrótce potem John Tumer skręcił w prawo, by dotrzeć do George Washington Parkway, która wiodła wzdłuż Potomaku na wschód.

Najprawdopodobniej zmierzał do Waszyngtonu. John Tumer przekroczył Potomak przez Francis Scott Key Bridge. Na światłach skręcił w M Street, wciąż zmierzając na wschód. Nieco gęstszy ruch pozwalał Malkowi śledzić go bez kłopotów. Amerykanin jechał M Street aż do Siódmej Ulicy, po czym skręcił w lewo, na północ. Potem z kolei w prawo, w Independence Avenue, potem w Louisiana Avenue. Najwyraźniej zamierzał wyjechać z miasta. Malko zauważył w końcu jedną z największych budowli Waszyngtonu: Union Station.

John Tumer zawrócił i wjechał na podjazd olbrzymiego parkingu przy stacji. Zamierzał zostawić więc samochód i dalej jechać pociągiem.

Malko nie chciał ryzykować. Zostawił swojego chryslera przy krawężniku, w strefie zakazu parkowania i wszedł do budynku dworca. John Tumer pojawił się kilka chwil później z czarną walizką w ręku. Ruszył spokojnym krokiem w kierunku jednego z trzech ogromnych hallów i udał się do kasy.

Dokąd jechał? Pociągi Amtraku odjeżdżały stąd we wszystkich kierunkach.

Malko spojrział na rozkład jazdy. W ciągu najbliższych trzydziestu minut wchodziło w grę co najmniej dwanaście. Kątem oka obserwował Johna Turnera, który kupił bilet i ruszał właśnie w kierunku wyjścia na perony.

Malko miał tylko jeden problem: nie wiedział, dokąd Tumer się udaje...

Przeszedł, śledząc go, dwa następne halle pełne butików i sklepów.

John Tumer zmierzał do wyjścia na peron 16. Z umieszczonej ponad nim tablicy wynikało, że z tego peronu o godzinie 17.00 odjedzie ekspres X2210 do Pennsylvania Station w Nowym Jorku.

Malko miał jeszcze dziesięć minut. Rzucił się do kas.

Na szczęście nie było kolejki. Kupił bilet powrotny i wrócił na peron 16.

Miał dość czasu by znaleźć miejsce, zanim pociąg ruszył. Jediną rzeczą, jaka pozostała, było odnalezienie Johna Tumera w pociągu. Na tej trasie było siedem przystanków między Waszyngtonem

a Nowym Jorkiem. Malko zastanawiał się, czy ta podróż ma związek z operacją Plotka.

Miał nadzieję, że wkrótce się tego dowie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

John Tumer spoglądał beznamiętnie na perony dworca w Baltimore tonące w ciemnościach. Amtrak zatrzymywał się między Waszyngtonem a Nowym Jorkiem siedem razy, ale i tak było to szybsze niż samolot, tym bardziej, że po 11 września „prom powietrzny” między National Airport w Waszyngtonie i La Guardia w Nowym Jorku został zlikwidowany i można było korzystać tylko z Dulles Airport, czterdzieści pięć minut od Białego Domu. John Tumer pogрузił się w rozmyślaniach. Zastanawiał się, kiedy tak naprawdę się zmienił. Było to jak przypominanie sobie pierwszych symptomów ciężkiej choroby. Zawsze odczuwał wielki szacunek i podziw dla Osamy ben Ladena, już w czasach, gdy spotkał go po raz pierwszy w górach Paktiar podczas wojny afgańsko-sowieckiej. Gdy wyjeżdżał na spotkanie z nim, Pakistańczycy poinformowali go krótko, że jest to Saudyjczyk, bardzo bogaty, bardzo religijny i odważny. To, co uderzyło Johna Tumera, to kontrast w stosunku do innych znanych mu Saudyjczyków, którzy byli kłamliwi, pyszałkowaci, podli, obrzydliwi do głębi, zawsze trzymający z mocniejszym. Osama ben Laden nie pił alkoholu, modlił się bez ostentacji, życiem ryzykował bez hałaśliwej brawury. Przemawiał spokojnym głosem, pochylając się często ku swojemu rozmówcy, by dolać mu herbaty. Był trochę nie zgrabny i niezbyt gadatliwy, podobnie jak John Tumer. Po tym spotkaniu nie widzieli się przez sześć lat. Pewnego razu w roku 1996, kiedy John Tumer spełniał swoją misję poszukiwania stingerów, jakiś człowiek zostawił mu wiadomość w jego hotelu w Peszawarze. Ktoś, kogo znał z czasów wojny afgańsko-sowieckiej, pragnął go zobaczyć. Żadnego nazwiska.

Na zewnątrz oczekiwała kremowa toyota. Zaintrygowany, przyjął zaproszenie i poprzez obszary plemienne na pograniczu wyruszył w drogę pikapem w towarzystwie gromady uzbrojonych mężczyzn. Został zawieszony na farmę w okolicach Jalalabadu. Tam, wychudły, z posiwiałą brodą, Osama ben Laden przyjął go tak, jakby rozstali się wczoraj. Długo rozmawiali, popijając tradycyjną afgańską herbatę. Saudyjczyk wytłumaczył mu, dlaczego Amerykanie go rozczarowali. Opuścili Afganistan z dnia na dzień i za chowywali się, według niego, wyjątkowo stronniczo w przypadku Izraela. John Tumer nie wspominał o własnych nieszczęściach. Również czuł rozczarowanie swoim krajem, lecz nie ośmieliłby się ujawniać tego wobec cudzoziemca. Odnalazł ben Ladena starszym, dojrzałym, ale i bardziej fanatycznym. Mówił o konieczności wprowadzenia na świecie panowania prawdziwego, pokojowego islamu, o konieczności karania złych muzułmanów, hipokrytów, jak ich nazywał. Pomiędzy nimi umieszczał i własnych władców, winnych w jego oczach tego, że w Arabii Saudyjskiej, na świętej ziemi islamu, stacjonowały wojska amerykańskie. John Tumer odnosił się do tego raczej sceptycznie, ale rozumiał jego intencje. Osama ben Laden przypominał mu tych komunistów, którzy faktycznie pragnęli lepszego świata. Niestety, jak powiadają Niemcy, diabeł tkwi w szczegółach. Rozstali się dość życzliwie, dwaj starzy towarzysze broni. Nie widzieli się przez

dwa lata. W międzyczasie John Tumer odszedł z CIA, nie z własnej woli...

Amtrak zwolnił i głęboki głos z głośników zaanonsował: „Filadelfia, dwie minuty postoju”. Wagon był prawie pusty.

Amerykanie nadal nie mieli zwyczaju podróżować pociągiem.

Malko liczył stacje. Kiedy pociąg się zatrzymywał, wychodził na peron, by sprawdzić, czy John Tumer nie wysiada. Przez komórkę poinformował Laurę Putnam o nowej sytuacji i poprosił, by zawiadomiła Franka Capistrano. Chciała do niego natychmiast dołączyć, lecz było by to przedwcześnie. Pociąg przybywał do Nowego Jorku o 9.55, w porze kolacji.

John Tumer miał ze sobą torbę, a więc zamierzał zapewne spędzić w Nowym Jorku noc. Malko nie miał nawet szczoteczki do zębów.

I miał jeszcze jeden problem do rozwiązania: sprawdzić, w którym wagonie podróżuje Amerykanin. Pociąg liczył ich piętnaście, a Malko był w ostatnim. Jeżeli John Tumer znajdował się w którymś z pierwszych, Malko ryzykował, że Amerykanin zdąży wysiąść, zanim go odnajdzie. W Newark, które było ostatnią stacją przed Nowym Jorkiem, wyszedł na peron i przeszedł wzdłuż pociągu, i Niestety, postój trwał zbyt krótko i nie zdołał dotrzeć do czoła składu. Wskoczył w biegu do czwartego wagonu. I znalazł się kilka metrów od Johna Tumera! Ten patrzył na peron. Malko przeszedł obok niego i usadowił się dwa wagony dalej. Teraz już nie mógł go zgubić.

John Tumer z trudem opanował odruch, by się odwrócić.

Zauważył w oknie odbicie mężczyzny, który szedł przez wagon w kierunku przodu pociągu. W gruncie rzeczy nic niezwykłego. Lecz po trzydziestu latach pracy w wywiadzie miał zwyczaj zwracać uwagę na wszelkie, choć odrobinę nietypowe szczegóły. Coś było nie w porządku od jakichś dziesięciu dni. To wtedy przy automacie do kawy w centrum antyterrorystycznym jedna z sekretarek zwierzyła mu się szeptem, że mają w Agencji nową aferę Aldricha Amesa. Zdrajca, kret. Tym razem jednak na żołdzie islamistów. John Tumer nie poczuł się zagrożony. Zadał kilka pytań i po powrocie do pokoju przekazał nowinę koledze. Ten zdawał się niezbyt przekonany.

- Jest ponad trzydziestu case officers, którzy mieli kontakt z tymi typami - zauważył. - Wielu odeszło z Agencji. To bez sensu.

Zresztą, nie wyobrażam sobie takiego łajdaka, który byłby gotów współpracować z tymi szaleńcami. Chyba, że za nie wiem jaką kasę.

Co prawda, ten śmierdziel ben Laden jest miliarderem...

- Ja również sobie nie wyobrażam - powtórzył jak echo John Tumer.

Ben Laden nie ofiarował mu nigdy niczego poza herbatą. Nigdy nie rozmawiali o pieniądzach. Niemniej, kiedy spotkali się po raz kolejny, John Tumer czuł gorycz i bardzo mocno upadł na duchu. Stracił pracę, którą uwielbiał i wbrew sobie prowadził mały interes konsultingowy, by całkiem nie zgnusnąć. Właśnie to spowodowało go do Pakistanu. Nie miał pojęcia, jak ben Laden dowiedział się

o tym. Prawdopodobnie poprzez ISI. Znow skontaktował się z nim w kilka dni po jego przylocie do Islamabadu. Było to we wrześniu 1998.

Cała prasa oskarżała o zorganizowanie zamachów przeciwko ambasadom Stanów Zjednoczonych w Nairobi i w Dar EsSalaam. Odcięty od CIA, John Tumer nie odrzucał bynajmniej tych podejrzeń. Pomimo to zdecydował się przyjąć zaproszenie Saudyjczyka. Przez ciekawość. Tym razem spotkanie miało miejsce w pobliżu Tora-Bora, pod namiotem, na wprost schronu wydrążonego w masywie górskim. Ben Laden był spokojny, uprzejmy i uważający. Zadawał wiele pytań, o Amerykę, politykę, jego życie...

Ich rozmowa toczyła się przez większą część nocy. Na koniec Saudyjczyk wyjaśnił Johnowi Tumerowi, o co walczy. Dlaczego kilka miesięcy wcześniej proklamował Trzeci Islamski Front na rzecz dżihadu przeciwko Żydom i „krzyżowcom”. I długo wykazywał wady swoich wrogów: Ameryki i Izraela. John Tumer był tym przerażony, lecz postanowił nic nie robić.

A potem coś jakby przestawiło się w jego umyśle. Mówiąc wprost, odbierał na tych samych falach, co Osama ben Laden. Teraz, siedząc w pociągu, który przez noc zmierzał do Nowego Jorku, wciąż pamiętał to zdanie, które odmieniło jego życie: - Rozumiem pana.

Osama ben Laden mówił to z niedostrzegalnym prawie uśmiechem, ale cała jego postać jakby promieniowała radością. Powiedział jednak tylko spokojnym i łagodnym głosem: - Powinien się pan do nas przyłączyć.

John Tumer milczał, rozmyślając o wszystkich nie sprawiedliwościach, jakie spotkały go w trakcie jego kariery w CIA, tylko dlatego, że był uczciwy. I o arogancji biurokratów, którzy, z dala od wypadków, manipulowali ludźmi niczym figurkami szachowymi. Ben Laden długo nie przerywał tych rozmyślań, aż wreszcie postanowił:

- Jest pan zmęczony. Proszę iść spać.

John Tumer spał źle, dręczony przez jakiś nieokreślony niepokój. Spotkali się ponownie o świcie, przy tradycyjnej herbacie z miętą, owocach i podpłomykach. Słońce właśnie wschodziło. Krajobraz był niewyobrażalnie spokojny i piękny. Saudyjczyk, odłożywszy filiżankę z herbatą, powiedział do Johna Tumera: - Myślę o pewnym wielkim projekcie. Chciałbym z panem o tym porozmawiać. Kolejny mur runął.

John Tumer mógł powiedzieć „nie”, ale nie rzekł nic, Osama ben Laden szczegółowo przedstawił mu ten projekt. Kiedy skończył, ekspert CIA nie mógł opanować zaskoczenia. Nie zareagował jednak jak patriota, ale jak zawodowiec, neutralnie, jakby chodziło o całkiem abstrakcyjną ideę.

- To się nie uda. Zbyt skomplikowane, żeby zadziałało - zauważył.

- Może się udać - odparł ben Laden. - Pod warunkiem, że będzie się miało odpowiednich ludzi. Więcej już o tym nie mówili.

Rozstali się godzinę później i żaden nie podjął tematu. Jadąc w kierunku granicy pakistańskiej, John Tumer zdał sobie sprawę, że znalazł się na rozstajnych drogach. Normalnie powinien był po swoim powrocie przygotować raport, informujący o planowanych zamachach. I zdradzić ben Ladena. Nie zrobił tego, utożsamiając się z utopijną, nierealną ideą. Czas mijał. John Tumer wiele razy wracał do Pakistanu. Znow spotkał się z ben Ladenem, tym razem w Jalalabadzie, w jakimś bardzo skromnym domu.

Rozmawiali o wszystkim i o niczym, aż nagle, pod koniec rozmowy, ben Laden szepnął: - Robimy postępy.

Sześć miesięcy później, na początku 2000 roku, odebrał telefon w swoim biurze: jakiś Pakistańczyk, którego nazwisko nic mu nie mówiło, chciał się z nim spotkać. Okazało się, że był to jeden z adiutantów ben Ladena, Egipcjanin, którego nazwiska nie znał. Zjedli lunch w Afo Jo, pubie na rogu Connecticut i L Street. Przy kawie Egipcjanin powiedział:

- Nasz projekt jest już bardzo zaawansowany. Szejk potrzebuje człowieka, który będzie wszystko koordynował. Wie, że może panu zaufać.

Nie dając mu nawet czasu na odpowiedź, zaczął tłumaczyć - z dużą precyzją i bez emfazy - na czym będzie polegało zadanie Johna Tumera. Tak, jakby chodziło o grę.

Rozstając się z Johnem Tumerem, dał mu numer telefonu.

- Kiedy pierwsza faza będzie skończona, proszę za dzwonić i powiedzieć, że ma pan wiadomość dla Szejka. Skontaktuje się z panem.

Wieczorem tego dnia John Tumer sporo czasu spędził w barze. Musiał pomyśleć, wahając się między pragnieniem rewanzu a skrupułami. Uznał, że jeśli projekt ben Ladena się uda, Ameryka wyjdzie z tego silniejsza, a wszyscy, którzy źle go traktowali, otrzymają surową lekcję. Tak jak wszyscy, którzy prześladowali odmiennie myślących... W ogóle nie miał poczucia winy. Brał udział w tylu tajnych operacjach, że ludzkie życie stało się dla niego wartością względną. Umarli nie mieli dla niego znaczenia, skoro nawet nie znał ich imion. Ostatecznie purytańska i religijna Ameryka została zbudowana na trupach Indian, zabitych w imię słusznej sprawy.

Znow odezwały się głośniki, przerywając jego rozmyślenia: - Uwaga!

Pociąg wjedzie wkrótce na Pennsylvania Station.

Jego podróż do Nowego Jorku miała jeden cel: obronę. Musiał rozwiązać kilka problemów. Plotka, jaka obiegła CIA zaalarmowała go, lecz niezbyt zaniepokoiła.

Na listę podejrzanych mogło trafić wiele osób. Zawsze jednak warto było spodziewać się najgorszego: jeśli był podejrzany, powinien wyeliminować potencjalne ryzyko - wychodząc mu naprzeciw.

Kiedy opuszczał peron, nie umiał jeszcze powiedzieć, czy mężczyzna, który przeszedł obok niego w pociągu, będzie miał w tym jakiś udział.

Malko odczekał, aż ujrzy, jak wysoka sylwetka Johna Tumera pojawi się na peronie i dopiero wtedy sam wmieszał się w tłum pasażerów. Kiedy dotarł do ruchomych schodów, John Tumer był już prawie u ich szczytu.

Pennsylvania Station znajdowała się pod Madison Square Garden, w podziemiu. Malko dostrzegł Johna Tumera po nownie w wielkim podziemnym hallu, jak zmierzał w kierunku postoju taksówek przy Trzydziestej trzeciej Ulicy. Nie było tam jednak ani jednej taksówki i zaczęła tworzyć się kolejka. John Tumer ruszył Siódmą Aleją, a Malko podążał za nim, trzymając się w stosownej odległości. Szli w kierunku wschodnim, aż do Piątej Alei. John Tumer skręcił tam na północ, przyspieszając kroku. Dokąd zmierza? - zadał sobie pytanie Malko.

Nagle ujrzał, jak wchodzi do hallu Trump Tower, jednego z najelegantszych budynków w Nowym Jorku. Na czwartym piętrze atrium pełno było luksusowych butików; w podziemiu mieściła się kawiarnia, w której mógł umówić się na spotkanie. Malko ruszył jego śladem do hallu i jego puls gwałtownie przyspieszył: John Tumer stał przy windach obsługujących piętra, na których znajdowały się apartamenty. Najdroższe w Nowym Jorku! Było już za późno, żeby zawrócić.

Malko przeszedł za plecami eks-agenta CIA i znieruchomiał, wpatrzony w wystawę architekta wewnątrz, na której wyeksponowano czarną, skórzaną kanapę, będącą jedną z ostatnich kreacji Jacquesa-Jacquesa Dallo, na której brakowało jakiejś olśniewającej blondynki do kompletu. Kątem oka dostrzegł, że John Tumer znika w jednej z kabin. Ruchomymi schodami dotarł na poziom wind dokładnie w chwili, gdy wyświetlacz nad kabiną nr 3 pokazał liczbę 42. Piętro, na którym wysiadł John Tumer.

Co teraz? Na każdym piętrze było po kilkadziesiąt apartamentów.

Malko postanowił przypilnować głównego wejścia. Była szansa, że John Tumer zechce wyjść do miasta na kolację.

Pamela Chamberlain wyglądała zachwycająco. Umalowana, z włosami upiętymi wysoko, w czarnym, głęboko wciętych kostiumie, opiętym ciasno w talii, pachnąca perfumami aż po końce paznokci, w czarnych pończochach, na niebotycznych szpilkach...

Dała Johnowi Tumerowi ledwie tyle czasu, by odłożył teczkę i przytuliła się do niego, unikając jednak pocałunku, by nie zrujnować makijażu.

Godzina pieśczęt jeszcze nie nadeszła.

- Dawno cię nie widziałam - westchnęła, ocierając się brzuchem o jego krocze w jednoznaczny sposób. Uczucia nie odgrywały większej roli w jej życiu, ale potrzebowała seksu, a John Tumer, dyskretny i nieabsorbujący, był nader odpowiednim kochankiem. Ścisnął swoją potężną dłoń jej pośladek, by dać do zrozumienia, że pojmuje sygnał.

Jednakże, choć gotów był odpowiedzieć natychmiast i zaraz, Pamela gwałtownie odsunęła się od niego.

- Idziemy na kolację. Umieram z głodu, miałam wyjątkowo wyczerpujący dzień. Czterogodzinne spotkanie z wyjątkowymi hienami. Pokażę ci nową kafejkę, bardzo modną ostatnio, przy Coumbus-Hudson Hotel Cafeteria.

Bardzo lubiła modne miejsca.

Jej śmiałe zachowanie pozwalało jej nawet tam znajdować nieraz klientów, którzy ani podejrzewali, że ta seksbomba przypominająca lalkę Barbie to prawdziwy potwór o zębach ze stali.

Na Piątej Alei taksówka znalazła się natychmiast.

- 359 West 59 - powiedziała Pamela do kierowcy.

Ze względu na jednokierunkowy ruch musieli wysiąść przy Ósmej Alei i stamtąd przejść kawałek piechotą do hotelu Hudson.

Odnowiony przez Philippe'a Starka, stał się celem snobistycznych pielgrzymek. Wizyta zaczynała się odjazdy ruchomymi schodami przez hall przypominający katedrę, w którym przesiadywało mnóstwo rozkosznych kociaków oraz beautiful people wszelkiej maści. Dalej był bar w formie biblioteki, o ścianach wysokości sześciu metrów. Sala restauracyjna w głębi była jeszcze bardziej niebotyczna. Kuchnia, wystawiona na spojrzenia klientów, umieszczona była w centrum sali. Za wyjątkiem kilku mniejszych stolików przy ścianach, cała jej przestrzeń za stawiona była ogromnymi stołami, przy których mogło za siąść do dwudziestu ludzi. Na szczęście Johnowi i Pamelii trafił się sam koniec takiego stołu. Ledwie usiedli, Pamela, rozbawiona, rzuciła mu inkwizytorskie spojrzenie.

- Mam nadzieję, że mnie nie zdradziłeś?

Nie dbała o to, czy był jej wierny w sensie emocjonalnym; panicznie jednak obawiała się AIDS, a nie znosiła używania prezerwatyw, które po części psuły jej przyjemność. Uwielbiała gorący seks.

- Nie - odparł beznamiętnie John Tumer.

Była to prawda. Jeśli nie liczyć Pamelii, temperatura jego życia seksualnego bliska była zera absolutnego.

Młoda kobieta zbliżyła pachnącą perfumami twarz do jego ucha i wymruczała:

- Zostaniesz więc nagrodzony. Tylko dla ciebie zrobiłam się na bóstwo.

Równocześnie wsunęła dłoń pod stół i lekko pogładziła Johna Tumera pomiędzy nogami.

Malko spostrzegł, że John Tumer opuszcza Trump Tower w towarzystwie niezwykle pięknej kobiety. Na rogu Pięćdziesiątej piątej Ulicy zapaliło się zielone światło i samochody ruszyły w kierunku południowym z pełną szybkością. Nie było żadnej szansy, by przejść na drugą stronę nie ryzykując przejechania. Malko z wściekłością patrzył, jak John Tumer wsiada ze swoją towarzyszką

do taksówki i odjeżdża na zachód. Zniknął z pola widzenia, nim Malko zdołał znaleźć następną wolną taksówkę.

Malko zawrócił i wszedł ponownie do Trump Tower. Postanowił zidentyfikować kobietę, z którą spotkał się John Tumer. Z całą pewnością tu mieszkała. Prawdopodobnie była jego kochanką, gdyż, wychodząc, zostawił u niej torbę. Nie miała zapewne nic wspólnego z al Kaidą, ale stanowiła tajemniczy element życia Johna Tumera, należało więc go wyświetlić. Element z pewnością nieznanany CIA.

Zatrzymał się przy windach i nacisnął guzik.

Po chwili drzwi się rozsunęły i windziarka we wspaniałej czerwonej liberii przywitała go czarującym uśmiechem.

- Good evening, sir, what floor are you going to?

- Tylko pani jest tu dziś wieczorem? - spytał Malko.

- Yes, sir, od szóstej.

Była to zatem winda, z której korzystali John Tumer i jego towarzyszką. Malko wyjął z kieszeni plik studolarówek i jeden banknot wyciągnął w kierunku windziarki.

- Potrzebuję informacji.

Spojrzała na banknot i uśmiechnęła się z zażenowaniem.

- Jeśli tylko jestem w stanie pomóc...

- Widziałem, jak niedawno z tej windy wychodziła absolutnie przepiękna kobieta w towarzystwie swojego przyjaciela. Mieszka na czterdziestym drugim piętrze. Kto to jest?

Windziarka zaczerwieniła się, zakłopotana.

- Proszę pana, to informacja poufna.

Nie mogę...

Malko do pierwszego banknotu dołożył drugi, lecz windziarka heroicznie potrząsnęła głową.

- Naprawdę nie mogę...

Widząc, że Malko wciąż trzyma w wyciągniętej ręce banknoty, zawahała się.

- Jeżeli jest pan gentlemanem, to mogłabym panu dać pewną wskazówkę - powiedziała. - Ta pani prawie każdego wieczora przed kolacją wpada na drinka do baru Opia na rogu 57-mej i Madison.

Malko wcisnął jej oba banknoty w dłoń.

- Dziękuję.

Wyszedł z budynku, skręcił na południe, minął jedną przecznicę i wszedł do San Regis.

- Dobry wieczór - zwrócił się do recepcjonisty. - Mój bagaż został zagubiony przez American Airiines. Dostanę pokój?

Uznał, że nie powinien wyjeżdżać z Nowego Jorku, dopóki nie zidentyfikuje kochanki Johna Tumera.

Dzień dobry, na które piętro pan jedzie?

Pamela Chamberlain nieźle popijała, jak zawsze w sytuacji, gdy miała zamiar się kochać. Dwa Defenderazy bez wody na początek, później czerwone wino. W win dzie, kiedy windziarka odwróciła się plecami, przycisnęła dłoń do brzucha Johna Tumera i wymruczała:

- Strasznie chcę już poczuć w sobie twój gruby ogonek...

Alkohol podniecał ją i skłaniał do świntuszenia, a to nie pozostawiało Johna Tumera obojętnym.

Ledwie weszli do apartamentu, przycisnął ją do ściany, wsunął dłoń pod spódnicę i zaczął pieścić delikatnie poprzez materiał majtek. Czując, jak krew uderza jej do głowy, prawniczka jęknęła z rozkoszy, gdy John Tumer uniósł wyżej spódnicę, by mogła rozsunąć nogi. Fantazja, że jakiś całkiem nieznanymi mężczyzna bierze ją w pośpiechu, na stojąco, zawsze na nią działała. Zaczęła dyszeć coraz szybciej. John Turner rozpiął jej żakiet, odsłaniając stanik z czarnej koronki i pełną dłonią zaczął ugniatać jej piersi. Pamela rozkosznie westchnęła.

- Tak, tak! Potraktuj mnie jak dziwkę!

Choć drżeli przed nią klienci i współpracownicy, w miłości uwielbiała być traktowana jak przedmiot. Drżącą dłonią rozpięła spodnie Johna i ścisnęła jego członek. Nie mogli się już opanować, każde we władzy własnych fantazmatów. John Tumer zsunął z bioder Pameli czarny, koronkowy trójkąt, po czym, powodowany gwałtownym impulsem, oderwał ją od ściany i pchnął na fotel naprzeciwko wielkiego lustra przy wejściu. Zmusił ją, by uklękła na nim, niczym pobożna dewotka na klęczniku i, stojąc z tyłu, wdarł się w nią jednym pchnięciem. Pamela Chamberlain zarumieniła się z rozkoszy, czując, jak jej kochanek przenika ją mocnymi pchnięciami.

- Rób mi tak! - rozkazała. - Trzymaj mnie!

John Tumer, trzymając ją za biodra, wdierał się w nią regularnymi ruchami, jakby wykonywał gimnastyczne ćwiczenie. Pamela obracała biodrami, wspierając się dłońmi o oparcie fotela. Rozgorączkowana, wystawiła ku niemu pośladki w sposób tak jednoznaczny, że poczuł, iż ta uwertura za chwilę się skończy.

- Zaraz dojdę - wysapał.

- Tak, już! - krzyknęła Pamela, obracając twarz do lustra.

Widok wielkiego członka, zanurzającego się w jej pochwę i wyłaniającego się z niej sprawił, że jej orgazm był jak burza z piorunami. Przyłgnęła do oparcia, czując wciąż w sobie członek Johna Tumera. Ten, ze spodniami wokół kostek, nie zrzucił nawet marynarki. Czowała się, jak by została zgwałcona. Właśnie to lubiła najbardziej.

Zataczając się, przeszła do łazienki, podczas gdy on naciągnął spodnie i zdjął wreszcie marynarkę. Jak zwykle zdumiewała go gwałtowność i fantazja Pameli. Prawie nigdy nie kochała się z nim w łóżku.

Kiedy wyszła z łazienki przebrana w chiński szlafrok, westchnęła tylko:

- Zamordowałeś mnie! Taki jesteś twardy...

- Poczytam trochę - odparł. - Nie chce mi się spać.

- OK. Ja się kładę.

Połknęła kombinację Prozacu i valium, jak co wieczór.

Wymienili zdawkowe pocałunki i zanurzyła się w odmětach satynowej pościeli, szczęśliwa i odprężona.

John Tumer przeszedł do salonu, wziął książkę i usiadł w fotelu. Nie mógł jednak skoncentrować się na lekturze. Litery latały mu przed oczami.

Pół godziny później zajrzał do sypialni. Pamela była pogrążona we śnie.

Usiadł przy komputerze Pameli i uruchomił go.

Prawdziwym powodem jego podróży do Nowego Jorku była konieczność wysłania kilku e-maili. Z podpisem „Zuluman Tango Tango”...

O wpół do pierwszej skończył. Wyjął z teczki twardy dysk, identyczny z tym, jaki był w komputerze Pameli i zastąpił nim używany dotychczas. Wziął prysznic i położył się do łóżka. Leżał w ciemności z otwartymi oczyma, wsłuchując się w regularny oddech Pameli i zastanawiając się, czy o czymś nie zapomniał. Ich ciała prawie się nie stykały. Po trzech godzinach udało mu się wreszcie zasnąć. Był spokojny, jakby nic się nie zdarzyło. Już od dawna nie przeżywał gwałtowniejszych emocji, jakby jego wrażliwość przytępiły bolesne doświadczenia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Opią przypominała metro w godzinach szczytu. Wokół kontuaru tłoczyło się mnóstwo ludzi ze szklankami w rękach, ale tylko nieliczni mieli szczęście znaleźć miejsce siedzące. Codziennie o wpół do szóstej napływali tu z okolicznych biur, by zapomnieć o stresach dnia. Pijąc zbyt dużo i mówiąc za głośno. Sala na pierwszym piętrze miała okna na Pięćdziesiątą siódmą Ulicę, a restauracja w głębi - na Madison Avenue. Wszędzie było mnóstwo samotnych mężczyzn i kobiet. Niewiele par, najczęściej zresztą takich, które łączyły się tylko na jeden wieczór. Mekka narkomanów i kobiet po lujących na okazję.

Malko siedział przy kontuarze ze szklaneczką Stolicznej, uważnie obserwując wejście. Zastanawiał się, czy windziarka nie nabiła go przypadkiem w butelkę. Przed jego oczyma przepływał strumień ludzi, z których wielu się znało, wymieniało pozdrowienia, padało sobie w ramiona. Nagle ujrzał w tłumie wysoką blondynkę w krótkim futrze i ze skórzaną teczką w dłoni. Niedawną towarzyszkę Johna Tumera. Weszła do baru, rzuciła futro szatniarce, teczkę postawiła na podłodze i krzyknęła do barmana:; - Norman! Nalej mi jednego!

Malko przyjrzał się jej uważnie. Była zachwycająca, z energicznym zarysem szczęki i długimi nogami, które ledwie okrywała spódnica pomarańczowego kostiumu. Kiedy spojrzenie jej szarych oczu naturalną koleją rzeczy spoczęło na nim, był bowiem jej najbliższym sąsiadem - wyczytał w nich twardą stanowczość, kontrastującą z erotyczną aurą, jaka od niej emanowała.

Norman podał jej kieliszek szampana.

Malko skorzystał z okazji i pozdrowił ją, unosząc szklaneczkę z wódką i posyłając jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów.

- To a very pretty woman!

Żadna kobieta nie pozostaje niewrażliwa na komplement. Nieznajoma również pozdrowiła go swoim kieliszkiem szampana.

- Dziękuję - powiedziała lekko załamującym się głosem. - Jest pan uroczy.

- Boli panią gardło? - spytał.

Zaśmiała się sucho.

- Tak. Przemawiałam przez trzy godziny. Mam dość.

- Jest pani adwokatem?

-Tak.

Pochyliła się i wyjęła z teczki wizytówkę.

Pamela Chamberlain, - Wygrała pani?

Wzruszyła ramionami.

- Dowiemy się za trzy tygodnie. Interesuje się pan prawem?

- Nie - odparł Malko. - Panią.

Spojrzała na niego ciekawie, po czym rzuciła:

- To pan wypytywał windziarkę w piątek?

Tym razem Malko był zaskoczony.

- Skąd pani wie?

- Windziarka mnie lubi i opisała mi pana dokładnie.

Sądzę więc, że pana obecność tutaj nie jest przypadkowa.

- Nie jest - przyznał Malko. - Jak tylko zobaczyłem panią wychodzącą z windy, od razu zapragnąłem dowiedzieć się o pani czegoś więcej.

- Nie zauważyłam pana. Gdzie pan był?

- Przed witryną Armaniego. Wraciałem do San Regis.

- A co robi pan w Nowym Jorku, panie...

Tym razem Malko sięgnął po wizytówkę.

Przyjrzała się jej uważnie i popatrzyła na niego z rozbawionym uśmiechem.

- Książę Malko Linge. Wygląda jak wymyślone.

A więc co pan robi w Nowym Jorku?

- Pracuję dla OPEC. Miałem kilka spotkań w ONZ.

Ropa naftowa, rozumie pani...

Zauważył, że jej kieliszek jest pusty.

- I właśnie widzę, że pani brakuje paliwa. Zatankować?

- Why not? - zgodziła się ze śmiechem - The night is young.

Gdy przyniesiono butelkę Taittinger Comte de Champagne Blanc de Blancs 1995, nadstawiła

kieliszek. Wypili i rozpięła żakiet, gestem niewymuszonym, lecz zarazem prowokującym, ukazując obcisłą bluzkę.

Rozmawiali, po pijając wciąż. Po następnej butelce Malko sporo już o niej wiedział. O dzieciństwie w podłej miejscinie w Arkansas, ojej ambicji, sukcesach zawodowych i dość jałowym życiu.

- Zaczynam już myśleć nie tylko o karierze - stwierdziła.

- Urzeczywistniłam jedno z moich marzeń: mieszkać przy Piątej Alei, w cudownym apartamencie. Kosztuje ponad sześć tysięcy za miesiąc, ale kiedy tam wracam, prawie dostaję orgazmu!

- Mam nadzieję, że nie tylko to przyprawia panią o orgazm.

Pamela zaśmiała się z rezerwą, ale i z nutką podniecenia.

- Bardzo pan ciekawski...

Czując, że Taittiger wystarczająco przyczynił się do przełamania lodów, Malko zaryzykował:

- Wtedy, w windzie, była pani ze swoim partnerem?

- Nie! To kolega. Mieszka w Waszyngtonie i od czasu do czasu bywa w Nowym Jorku. OK, muszę już iść. Dziękuję za znakomitego szampana.

Schyliła się, by podnieść teczkę z podłogi i Malko na tychmiast zaproponował: - Mogę zaprosić panią na kolację?

Pamela Chamberlain westchnęła głęboko.

- Dziś wieczór nie. Jestem śmiertelnie zmęczona, a pan mnie po prostu dobił. Długo pan tu pozostanie?

- Niezbyt. I mam obowiązki. Może zatem jutro?

Gorąco spojrzała w jego złocące się oczy.

- Jeśli obieca pan być grzeczny... No problem!

Skoro pan zna już drogę, to proszę zabrać mnie z domu.

- Le Cirque. Czy to pani odpowiada?

Posłała mu promienne spojrzenie.

- Czemu nie miałyby odpowiadać? Do jutra.

Pamela Chamberlain pewnym krokiem zagłębiła się w tłum i zniknęła.

Malko czuł zakłopotanie. Pamela Chamberlain była ostatnią osobą, jakiej spodziewałby się w towarzystwie Johna Tumera. Kłamała, mówiąc, że jest tylko kolegą, ale mogło to służyć jedynie ochronie prywatności. Nie widział jej w kontekście ani Kaidy, jednak wszystko było możliwe. Tak czy inaczej, dowiedział się czegoś nowego o eks-agencie CIA. Frank Capistrano z pewnością będzie zadowolony. Lecz Malko zastanawiał się, jak komuś takiemu, jak John Tumer udało się uwieść kobietę podobną do Pameli Chamberlain. Uregulował rachunek i trapiiony niewesołymi myślami ruszył w kierunku hotelu San Regis.

Aleksander Krawczynski wyszedł z domu ze swoim białym pudłem dokładnie o ósmej. Spacer zaczął od kiosku z gazetami, w samym sercu Jersey City, gdzie nabył New York Post, który kupował niezmiennie od lat czterdziestu. Następnie ruszył ku J. Owen Grundy Park, pustemu z powodu zimy. Zakutany w ciepłą kurtkę, w granatowej czapce z daszkiem, zasiadł, tak jak co dzień, na swojej ławce i patrzył na przepływające Hudsonem statki. Później przeniósł spojrzenie na Manhattan i potrząsnął głową. Wciąż nie mógł się przyzwyczać do zniknięcia bliźniaczych wież World Trade Center. Jakies dwa miesiące temu zaniepokoiła go na moment wizyta dwóch agentów FBI, sprowokowana jego wywiadem dla New York Timesa. Teraz jednak nie myślał o tym, przekonany, że tamten człowiek, którego widział, jak telefonuje, nie miał jednak nic wspólnego z zamachami. To był Amerykanin, a Amerykanie nie robią rzeczy w tym rodzaju. Pudeł zaszczekał. Czas już było wracać. Aleksander Krawczynski wstał z ławki i zawrócił do swojego mieszkania przy Montgomery Street w pobliżu przystanku tramwajowego. Lodowaty wiatr omiatał puste ulice. Kiedy otworzył drzwi swojego mieszkania, poczuł za plecami czyjąś obecność i odwrócił się. Stał twarzą w twarz z wielkim drabem w zielonkawej czapce. Wyłupiaste oczy, czarne włosy ściągnięte opaską, wielki, kartoflowaty nos... Wyglądał na włóczęgę.

- Pan jest Aleksander Krawczynski? - spytał.

- Tak. A o co chodzi? - odparł emeryt, zdziwiony, że typ go zna.

- Jestem dziennikarzem - przedstawił się nieznajomy. - podobno widział pan coś interesującego 11 września...

Krawczynski pomyślał, że jego rozmówca nie wygląda za bardzo na dziennikarza i spytał nieufnie: - Z jakiej gazety?

- New York Post. Czy mógłbym z panem porozmawiać?

Jego ulubiona gazeta.

Aleksander Krawczynski bez za stanowienia otworzył drzwi i wszedł do swojego dwupokojowego mieszkania. Nieznajomy następował mu na pięty.

Dopiero wewnątrz emeryt się zreflektował.

- Ma pan jakąś legitymację? - zapytał.

- Tak, oczywiście.

Przybysz sięgnął do kieszeni swojej parki.

Nie wyjął jednak legitymacji. W jego dłoni ukazał się sprężynowy nóż, który otworzył jednym ruchem i przyłożył ostrze do gardła Krawczyńskiego.

- Jeśli krzykniesz, poderżnę ci gardło - zagroził przy tłumionym głosie.

Krawczyński poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

- Nie rób mi nic złego - wyjął. - Dam ci wszystkie moje pieniądze, mam przy sobie jakieś czterdzieści dolarów. A potem sobie pójdiesz, dobrze?

Nic nie powiem policji!

- A wsadź sobie swoje pieniądze! - odpowiedział fałszywy dziennikarz.

- Gdzie jest łazienka?

- Tam - wymamrotał emeryt.

- Chcesz z niej skorzystać? - Prowadź.

Wciąż trzymając ostrze przy jego gardle, pchnął Krawczyńskiego w poprzek pokoju.

Znaleźli się w mikroskopijnej łazience, której większą część zajmowała odrapana wanna.

- W porządku, rozbieraj się - nakazał nieznajomy.

Aleksander Krawczyński spojrzał na niego ogłupiały.

- Po co?

- Kąpiesz się w ubraniu?

Nieznajomy odkręcił oba kurki. Woda zaczęła wypełniać wannę.

Emeryt ani drgnął, był jak przygwożdżony.

- Nie jesteś chyba degeneratem - pisnął.

- Nie jestem pedałem! - Ściągaj ciuchy - powtórzył tamten - albo cię zaszlachtuję.

Nie podniósł głosu, ale emeryt doznał lodowatej trwogi.

Zaczął niezgrabnie zdejmować ubranie, rzucając rzeczy na podłogę. Kiedy został już tylko w kalesonach, przerwał i spytał płacziwie:

- Tak wystarczy?

- Ściągaj wszystko - rzucił nieznajomy.

Zawahał się, ale uznał, że ten dziwny gość nie zrobi mu nic złego. Najwyraźniej to świr, ale przede wszystkim chce go zobaczyć nago, co jest przecież lepsze od podcięcia gardła. Tylko dlaczego właśnie jemu to się przydarzyło? Przemógł się i rozebrał do końca.

- Włóż do wanny.

Krawczyński nie zareagował, więc napastnik złapał go za ramiona i popchnął. Emeryt wszedł do wody.

- Jesteś zadowolony?

- Siadaj.

Aleksander Krawczyński posłuchał kolejny raz. Nie widział innego wyjścia.

Zaledwie usiadł, poczuł ciężkie łapy na ramionach i jego głowa zniknęła pod wodą. Nie zdążył nawet otworzyć ust, by krzyknąć. Zachłysnął się, zaczął się dusić i szarpać, by móc zaczerpnąć powietrza. Ciężkie łapska przygważdżały go jednak do dna wanny, nie dając najmniejszej szansy na przeżycie. Jego agonia nie trwała długo. Tylko dwie minuty.

Morderca, ledwie poczuł, że już nie stawia oporu, puścił go i przyjrzał mu się uważnie. Aleksander Krawczyński leżał w wodzie z otwartymi oczami i spokojną twarzą, wyglądał, jak gdyby spał. Jakby zasnął i utonął przypadkiem. Morderca spokojnie wytarł ręce i wyszedł z łazienki, nie gasząc światła. Pięć minut później zmierzał do tramwaju, kryjąc twarz pod grubym kapturem.

John Tumer jeszcze za dnia i od poniedziałkowego ranka, od siódmej trzydzieści był już na posterunku. Od kiedy podjął niezbędne środki ostrożności, poczuł się spokojniejszy. Plotka o zdrajcy w najlepsze krążyła po Agencji.

Zaczęto już nawet szeptem wymieniać nazwiska.

Niektóre z nich przyprawiały go o pusty śmiech. Czuł, że przynależy już do innego świata, niekoniecznie lepszego, ale takiego, który sam wybrał.

Nie mógł już się cofnąć, niezależnie od tego, co miała przynieść przyszłość. Nie był jednak samobójcą i chciał dotrwać do końca meczu.

John Tumer skończył porównywać listy potencjalnych terrorystów przekazane przez sudański Muhabharat, służby jemeńskie i Saudyjczyków, ułożył wszystkie dokumenty w teczkę, przygotowując się do spotkania z Dirkiem Krongardem, numerem dwa w Wydziale Operacyjnym. Przez cały dzień wykonywał tę nużącą pracę, zastanawiając się, po co Agencja zatrudniła na nowo tylu pracowników z doświadczeniem, skoro używa ich do bezsensownego przekładania papierków. Mógł zaświadczyć, że FBI nie miało praktycznie żadnego dowodu przeciwko 80% zatrzymanych po 11 września ani

żadnego sposobu, żeby powiązać z al Kaidą takich, jak Zacarias Moussaoui, co do którego istniało uzasadnione podejrzenie, że należy do jakiejś grupy terrorystycznej.

- Zejdziemy do kantyny, kiedy wrócisz?
- zapytał jego sąsiad z pokoju, weteran z Afryki.
- Nie ma sprawy - odparł.

Przypiął swój identyfikator do marynarki i wyszedł na korytarz.

Znów była piękna pogoda i cała Wirginia pławiła się w słońcu.

John Tumer wrócił do domu w niedzielę, Kantor Al Rashid Currency Exchange wciśnięty pomiędzy afgańską restauracją i automatyczną pralnię, nie wiele większy od szafy - znajdował się w sercu Małego Pakistanu, dzielnicy Brooklynu, leżącej między Covery Island Avenue i Newkirk Avenue. Wszystkie szyldy w tej części miasta były w urdu lub po arabsku. W korytarzu, podzielonym wzdłuż na dwie części, po jednej stronie ustawiono ławki dla klientów, po drugiej kontuar, za którym gnieździło się trzech pracowników. Na chodniku stał siwobrody ochroniarz uzbrojony w strzelbę. Gulbuddin al-Rashid pod przykrywką ledwie prosperującego kantoru wymiany walut kierował w rzeczywistości prowadzeniem hawali dla al Kaidy. Hawala to parbankowe transakcje wymiany pieniędzy na zasadzie kompensacji, oparte wyłącznie na bazie zaufania. Brat Gulbuddina, Amin prowadził podobne biuro w Peszawarze, w Pakistanie, gdzie hawala teoretycznie jest nielegalna. Dwaj inni jego kuzyni działali w Dubaju i w Bahrajnie. Ta praktyka była stara jak świat, a wymagała jedynie wzajemnego zaufania.

Pozostałe biura siatki też należały do członków rodziny, co zapobiegało nadużyciom. Nawet jeśli zdarzały się problemy, co prawie nie miało miejsca, nieubłagana zemsta dotykała natychmiast winnego. System ten tradycyjnie używany był przez kupców, jednakże odkąd rozwinął się islamski terroryzm, służył też do dokonywania niedających się wytropić transferów bez jakichkolwiek śladów na piśmie, bez udziału banków, Można było powierzyć kasjerowi w Peszawarze sto tysięcy dolarów do odebrania w dowolnym mieście przez odbiorcę posługującego się nieraz jedynie imieniem lub hasłem. Kantor w Peszawarze awizował transakcje e-mailem lub przez telefon, a klient na drugim końcu świata mógł podjąć sumę w dowolny sposób i wybranego dnia. W czasie wojny z Sowiecami w Afganistanie CIA często używała hawali do dyskretnego przekazywania mudżaheddinom wsparcia finansowego. Również ben Ladenowi. Miliardy dolarów przepływały przez brudne, ciasne kantory wymiany w Peszawarze, wzbogacając ich właścicieli. Jakiś człowiek wszedł do pomieszczenia, pustego z po wodu wczesnej pory. Nie wyglądał na krezusa w starej parce i wytartych dżinsach. Tłuste włosy, bardzo gęste i bardzo czarne, ściągnięte były opaską. Miał wyłupiaste oczy, pełne policzki i nos jak kartofel.

Zwrócił się po angielsku do jedyne go pracownika:

- Muszę się widzieć z Gulbuddinem al-Rashidem, po kój z nim.

Szef, przesiadujący na górze, prawie nigdy nie schodził do kantoru, jedynie w przypadku

najważniejszych klientów.

- Kto pyta?

- Zuluman Tango Tango.

Pracownik, nawykły do haseł, nawet nie mrugnął, słysząc tak dziwne nazwisko. Powiedział parę słów do telefonu i otworzył drzwiczki, wpuszczając gościa za barierkę. Następnie uchylił drzwi wychodzące na ciasne schody.

- Proszę tędy - powiedział.

Sufit pierwszego piętra był tak nisko, że gość musiał się pochylić by wejść do środka. Gulbuddin al-Rashid, jo wialny i zażywny Pakistańczyk uśmiechnął się szeroko pod ogromnym wąsem.

- Salaam alejkum, bracie! Niech łaska boska będzie z tobą.

-Alejkum salaam! - odpowiedział gość.

- Przychodzę od Zulumana Tango Tango.

- Nic dla niego nie mam.

- Zaraz będzie. Czy mógłbyś wysłać e-mail do Dubaju?

Gulbuddin al-Rashid usiadł przy komputerze i pochylił się nad klawiaturą. Gość natomiast wyciągnął dłoń z prawej kieszeni swojej parki. Trzymał w niej mały rewolwer z ogromnym tłumikiem. Przytknął go do lewej skroni Gulbuddina al-Rashida i nacisnął spust. Głowa Pakistańczyka gwałtownie odskoczyła w bok, a on sam legł na klawiaturze nieruchomo, jak rażony pio runem. Morderca schował broń do kieszeni parki i zszedł na dół. Pracownik siedzący za kontuarem ledwie rzucił okiem na niego, kiedy wychodził. Dyskrecja była w cenie w takich miejscach. Mężczyzna, który nazwał siebie Zu luman Tango Tango wielkimi krokami przemierzył Newkirk Avenue i w pięć minut później schodził do metra, gubiąc się w tłumie Pakistańczyków udających się na Manhattan.

Tym razem windziarka w Trump Tower przywitała Malka olśniewającym uśmiechem, któremu towarzyszyło dźwięczne: Good evening, sir.

Nie pytając nacisnęła guzik z numerem czterdzieści dwa.

Pamela otworzyła drzwi ledwie zadzwonił, owiana obłokiem perfum.

Wyciągnęła spontanicznie ku niemu usta i wymienili zdawkowe pocałunki.

- Szampana? - zaproponowała.

Butelka Taittingera Comtes de Champagne chłodziła się w kubelku z lodem, Malko jednak nie mógł oderwać oczu od gospodyni, wyjątkowo pociągającej w kostiumie z czarnej alpaki. Atramentowe pończochy ze szwem mówiły więcej niż jakakolwiek deklaracja wyrażona słowami.

Pamela Chamberlain stanowiła typ szczególny: businesswoman i dziwka.

Malko odkorkował butelkę i wypili.

- To zachwycające! - powiedział, spoglądając na salon, w którym królowała skórzana kanapa będąca bliźniaczą siostrą tej z witryny na parterze.

-Dziękuję - powiedziała Pamela Chamberlain. - Uwielbiam się urządzać.

Proszę zobaczyć sypialnię.

Stało tam antyczne, żelazne łóżko nakryte kapą z wełny guanako.

- Wszystko pochodzi od paryskiego dekoratora Claude'a Dalie'a - wytłumaczyła Pamela Chamberlain, prowadząc go z powrotem do salonu.

- Ma sklep na dole.

Skończyli butelkę Taittingera. Malko podał Pameli płaszcz.

W windzie ujął jej dłoń i ucałował.

- Jest pani niespełnialnym snem żonatego mężczyzny.

Pamela uniosła brwi.

- Jest pan żonaty?

- Nie - wyjaśnił ze śmiechem.

- Ale tak mówią o Brigitte Bardot.

Jeszcze w taksówce sprawił, że mruczała z zadowolenia...

W Le Cirque dostali dobry stolik i jej dobry nastrój pogłębił się. Z zauważalną satysfakcją pozdrowiła kilkoro znajomych przy sąsiednich stolikach. Malko pomyślał, że gdyby miał zostać jej kochankiem, śledztwo w sprawie Johna Tumera naprawdę by mogło posunąć się do przodu. Niespodziewanie, przy creme briilee, Pamela popatrzyła na niego z zastanowieniem.

- Intryguje mnie pan.

- Dlaczego?

- Nie wygląda pan na urzędnika międzynarodowej instytucji.

Naprawdę pan nim jest?

Była sprytniejsza niż wskazywał na to jej wygląd wampa.

- Zajmuję się tym trochę dla zabicia czasu, pomiędzy jednym przyjęciem a drugim albo polowaniem - powiedział.

- Kiedy mam ochotę wyrwać się z mojego zamku.

Otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę ma pan zamek?

- Niestety! - westchnął.

- Ale nie jest wart pani za chwycającego apartamentu.

Ta uwaga wprowadziła go w głęboką zadumę.

Na szczęście pojawił się maitre d'hôtel z butelką koniaku Otard XO.

- On the house! - powiedziała.

W Le Cirque umiano żyć. Pamela popijała koniak jak wodę, rzucając na Malka ukradkowe spojrzenia. Z tych drobnych sygnałów wywnioskował, że w myślach już za prowadziła go do łóżka. Nie wypadało zawieść damy, uregulował więc monstualny rachunek i wyszli, rozglądając się za taksówką. Już na chodniku Pamela nagle po całowała go głęboko. Tym razem jej język wślizgnął się między jego wargi.

- Dziękuję za wspaniałą kolację - wyszeptała.

Położył dłoń na jej biodrze i poczuł wypukłość pasa do podwiązek.

Pamela Chamberlain sumiennie przygotowała się do obrzędu. W taksówce, kiedy jego dłoń gładziła delikatny nylon pończochy na udzie, wysoko, coraz wyżej - nie opierała się. To było zdecydowanie przyjemniejsze niż warowanie w Falls Church. W hallu Trump Tower, zanim jeszcze nadjechała winda, objął ją w talii, a ona całym ciężarem osunęła się w jego ramiona. Jej żakiet rozchylił się i Malko ujrzał, jak jedna z piersi niemal wysunęła się z uścisku koronkowego stanika. Malko nie mógł się oprzeć i musnął ustami sutek. Pamela Chamberlain drgnęła, spojrzała na niego rozplwającymi się z rozkoszy oczyma.

- Malko - zaprotestowała zduszonym głosem.

- Nie dręcz mnie...

Lecz w tej samej chwili przywarła do niego biodrami. Najwyraźniej lubiła być dręczona... Malko dostrzegł nagle za nimi jakąś sylwetkę.

Była to wysoka kobieta o raczej niemiłym wyglądzie, w płaszczu nieprzemakalnym, zdecydowanie za lekkim jak na panujący na dworze chłód. Trzymała ręce w kieszeniach. Włosy miała związane z tyłu, oczy prawie wychodzące z orbit, napięte rysy twarzy...

Utkwiła spojrzenie w Pameli Chamberlain. Ta instynktownie odsunęła się od Malka. Nieznajoma zrobiła krok do przodu i zapytała:

- Pamela Chamberlain?

Prawniczka spojrzała na nią z rozdrażnieniem.

- A kto pyta?

Kiedy kobieta nie odpowiedziała, Pamela rzuciła suchym głosem:

- Jeżeli ma pani sprawę, to może przyjść pani do mojego biura, Pięćdziesiąta siódma Wschodnia, Ulica 375.

W tym momencie kilka rzeczy zdarzyło się naraz.

Otworzyły się drzwi windy i pojawiła się windziarka, odwracając uwagę Pameli Chamberlain. Nieznajoma wyjęła rękę z kieszeni, trzymała w niej sztylet o zakrzywionym ostrzu. Machnęła nim dwa razy, raz na odlew, a potem w przeciwnym kierunku. Dwie strugi krwi trysnęły z gardła Pameli Chamberlain. Wsparła się o ścianę, próbując za tamować palcami krew buchającą z podciętego gardła. W tej samej chwili napastniczka obróciła się na pięcie i zaczęła uciekać w kierunku wyjścia na Piątą Aleję.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Malko poczuł, jak jego puls gwałtownie przyspiesza do 150 uderzeń na minutę. Całe zdarzenie było tak nagłe i brutalne, że przez chwilę nie wiedział, co robić. Pamela Chamberlain, blada jak śmierć, próbowała palcami po wstrzymać uchodzące z niej życie, patrzyła w przestrzeń szklanym wzrokiem. Krew plamiła jej żakiet, spódnicę, nogi, podłogę wokół niej. Windziarka gapiła się na tę scenę odrętwiała.

- Dzwon na 911! - krzyknął do niej Malko.

Z doświadczenia wiedział, że dla Pameli nie ma już ratunku.

Rzucił się do hallu biegiem, a tam rozejrzał dookoła. Dojrzał sylwetkę morderczyni, uciekającej Piątą Aleją i popędził za nią. Na chodnikach nie było zbyt wielu ludzi o tej porze. Od 11

września nowojorczyki nie przebywali tak tłumnie wieczorami na ulicach. Morderczyni, słysząc kroki za sobą, odwróciła się i błysnęła zakrzywionym sztyletem, którym przed chwilą poderżnęła gardło Pamelii Chamberlain. Malko nie dał się zaskoczyć. Już w biegu zrzucił swój wełniany płaszcz z wełny wigonia i owinął go wokół ramienia.

Poczuł, jak ostrze tnie gruby materiał i ujrzał oczy błyszczące nienawiścią. Odwinął płaszcz z ramienia i za rzucił go na głowę kobiety. Oślepiąca momentalnie morderczyni jeszcze kilka razy machnęła ostrzem w powietrzu. Malko zrobił krok do przodu i spróbował objąć ją w pól. Czując, że może zostać unieruchomiona, kobieta rzuciła się w tył. Dokładnie w chwili, kiedy wzdłuż krawężnika nadjechał autobus. Rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu, a potem miękkie plaśnięcie. Ogromny autobus przetoczył się przed nosem Malka, porywając za sobą kobietę. Przeleciała kilka metrów w powietrzu, upadła na bruk i znieruchomiała przy studzińce ściekowej. Kierowca nie miał najmniejszej szansy, by uniknąć wypadku.

Mając oczy zasłonięte płaszczem Malka, kobieta rzuciła się wprost pod koła. Malko pochylił się nad ciałem. Podniósł płaszcz.

Prawa dłoń nieznajomej wciąż zaciskała się na rękojeści sztyletu.

Nadbiegł policjant. Malko wyjął z kieszeni komórkę i zadzwonił do Franka Capistrano. Zanim odpowiedział, policjant zaczął go przesłuchiwać.

- Co się stało? - spytał. - Mówią, że wepchnął ją pan pod autobus.

- Przed chwilą w Trump Tower zabiła prawniczkę Pamelę Chamberlain, która była tam ze mną - wyjaśnił Malko. - Narzuciłem na nią mój płaszcz, by ją obezwładnić i wtedy sama wpadła pod koła.

- Co się dzieje? - w komórce rozległ się głos Franka Capistrano.

- Przyjaciółka naszego klienta została zamordowana. Na moich oczach. Niech się pan skontaktuje z NYPD, że bym nie miał kłopotów.

Powrócił do Trump Tower w towarzystwie policjanta. Nadjechała karetka i dwóch sanitariuszy zabrało Pamelę Chamberlain. Martwą.

Frank Capistrano nie wyglądał najlepiej. Byle jak ogolony, z mrocznym spojrzeniem i opadłymi ramionami wszedł do swojego małego biura w Białym Domu i rzucił się na fotel.

- Niech pan opowiada - zażądał, zapalając papierosa swoją patriotyczną zapalniczką Zippo.

Malko właśnie przyleciał z Nowego Jorku helikopterem zamówionym przez specjalnego doradcę. Aż do drugiej w nocy pracował z FBI, zajmując się zabójstwem Pamelii Chamberlain na bezpośredni rozkaz Białego Domu. Morderczyni została zidentyfikowana: April Fawrup, trzydzieści cztery lata, pochodząca z Kalifornii. W Nowym Jorku mieszkała od sześciu miesięcy.

Nie było żadnego wytłumaczenia jej postępków.

Malko zrelacjonował to, co wiedział, czyli niewiele.

Pamela Chamberlain nie zdążyła mu nic powiedzieć, nic także nie było wiadomo o April Fawrup, poza tym, że do konała zbrodni z premedytacją.

- Dowiedział się pan czegokolwiek o tej kobiecie? - spytał Malko.

- No chyba! - rzucił Special Advisor, biorąc ze stołu teczkę z aktami.

- Wyciągnąłem informacje ze wszystkich agencji federalnych. Langley przysłało mi przed chwilą interesujące rzeczy.

- Mają coś o niej?

- Tak. I jest to bardzo ekscytujące. Drop-out z Berkeley. Od piętnastu lat pracowała jako koordynatorka w różnych organizacjach pozarządowych. Najpierw w Afryce, potem w Pakistanie i w Afganistanie. Wszędzie objawiała skłonności do islamu. W Peszawarze żyła z saudyjskim studentem szkoły koranicznej al-Haqqania, znanej z fundamentalizmu. Nosila tam kwef! Placówka w Islamabadzie doradzała, by skłonić ją do powrotu do kraju. Na próżno. Pakistańczycy nie posłuchali prośby o jej deportację. Przeszła na islam i zmieniła nazwisko na Oum Hafsa. A potem, pewnego dnia, zniknęła z Peszawaru i ludzie z ISI przekazali nam, że przyłączyła się wraz ze swoim facetem do talibów. Odtąd o niej nie słyszano, aż do wczorajszego wieczora.

Anioł przydziany w zieleń islamu pojawił się na moment pomiędzy nimi.

Było to więcej niż wstrząsające: prawniczka pozostająca w związku z człowiekiem podejrzanym o zdradę zostaje zamordowana, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Jednego Malko był pewien: to Pamela była celem, nie on.

April Fawrup zaledwie na niego spojrzała i myślała zapewne, że jest po prostu jej przyjacielem, którego sparaliżuje widok krwi.

Przeklinał teraz pomysł użycia płaszcza. Żywa April Fawrup mogłaby wyjawić, za czyją sprawą i dlaczego za mordowała Pamelę Chamberlain.

- Narzędzie zbrodni pochodzi z Afganistanu - dodał Frank Capistrano. - Sztylet używany do uboju rytualnego przez Pasztunów z okolic Kandaharu.

- Co robimy? - zapytał Malko, łyknąwszy nieco zimnej kawy.

Frank Capistrano odłożył na stół akta April Fawrup.

- Myślę, że nie mamy zbyt wielkiego wyboru. Muszę przekazać tę sprawę FBI. To fatalnie dla Agencji. Jestem więcej niż przekonany, że John Tumer należy do ścisłego kierownictwa al Kaidy w tym kraju. Pewnie tak samo należy do tajemnie nawróconych. Oczekuję sygnału z FBI przed jego przesłuchaniem. Prosiłem ich, by odnaleźli świadka z New Jersey, Aleksandra Krawczynskiego,

tego, który widział mężczyznę, najprawdopodobniej Tamera, telefonującego z komórki. Skonfrontujemy go z Tumerem. Jeżeli oficjalnie go rozpozna - będziemy mieli drania w garści.

- To jakaś szansa - przyznał Malko.
- Ale to będzie razem publiczny skandal.
- Taki jest rozkaz prezydenta - westchnął Frank Capistrano.
- Myślę, że to idiotyzm, ale tak chce prezydent.

Zadzwonił telefon.

Frank Capistrano odebrał, przez chwilę słuchał, po czym szepnął zakrywając ręką mikrofon:.

- Tom Pickart, Deputy Director FBI z Nowego Jorku.

Po kilku sekundach rozmowy Malko dostrzegł, że rysy specjalnego doradcy stężały. Wymamrotał coś nieartykułowanego, rzucił parę słów bez związku i zwrócił się do Malka.

- Aleksander Krawczynski został znaleziony martwy, utopiony w swojej wannie - oznajmił. - Wypadek lub za wał serca, nie wiadomo co.

Malko nie wierzył w zbiegi okoliczności.

- To było morderstwo - powiedział.

- Również się tego obawiam - westchnął Frank Capistrano. - Ale to nie wszystko. Pakistańczyk od dawna śledzony przez FBI, Gulbuddin al-Rashid, który prowadził kantor wymiany na Brooklynie dostał trzy kulki w głowę dziś rano.

- Kto go zabił?

- Jakiś młody facet, typ orientalny. Według pracownika kantoru znał hasło, które dawało dostęp do biura szefa na pierwszym piętrze. FBI od dawna podejrzewało go, że dokonuje metodą hawala transferów dla al Kaidy.

- To również nie jest z pewnością wynikiem zbiegu okoliczności - zauważył Malko. - Nawet jeśli nie widać bezpośredniego powiązania z Johnem Tumerem. Tak czy inaczej, wasz plan wziął w łeb: bez świadków nie mamy najmniejszej szansy, by go dopaść.

- Niestety, obawiam się, że nie ma pan racji. Śledztwo FBI wykaże z pewnością jakiś rodzaj powiązania między Pamelą Chamberlain. To może ich doprowadzić do tego, że się zaczną nim interesować.

- Z tego, co się o niej dowiedziałem - zauważył Malko - można wywnioskować że utrzymywała z nim „zwyczajne” stosunki. To znaczy, była jego kochanką. Jednak, jeśli została zabita, to oznacza,

że wiedziała coś, co mogło mu zagrażać. Tylko co?

- Myślę, że John Tumer zareaguje - powiedział Frank Capistrano.

- O tym morderstwie pisały wszystkie gazety. Jeśli nic nie zrobi, to będzie zastanawiające. To dowód, że ma coś do ukrycia.

- Nie łudźmy się. Jeśli John Tumer naprawdę jest tym, kim sądzimy, że jest, to na pewno będzie dość sprytny, by nie popełnić tak dużego błędu.

A propos, co ze mną? Nie ma sensu śledzić dalej Tumera.

To do niczego nie prowadzi.

- To prawda - przyznał Special Advisor. - Dajmy sobie dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Zapraszam pana jutro na lunch do Embassy Room w Willardzie. O dwunastej trzydzieści.

DDO przyjął Johna Tumera serdecznie, przekonany, że ma coś nowego w sprawie al Kaidy. Analityk natychmiast wyprowadził go z błędu.

- Sir - powiedział z szacunkiem. - Chciałem się z panem widzieć w sprawie osobistej.

- Naprawdę? - spytał Barry Egleston.

- Dowiedziałem się z gazet, że w Nowym Jorku została zamordowana kobieta, którą znałem.

- Bardzo mi przykro - odparł natychmiast DDO.

- Czy to ktoś bliski?

- Byłem z nią w związku - oświadczył John Tumer. - Spotykaliśmy się od czasu do czasu przez ostatnie dwa lata.

W grubszych zarysach opowiedział mu o tym związku i o tym, jak poznał Pamelę. DDO słuchał uważnie i w końcu stwierdził:

- Well, kiedy pan ją spotkał, nie pracował pan jeszcze dla Agencji.

Nie miał pan z nią innych związków oprócz osobistych?

- Nie. Ale FBI może znaleźć moje nazwisko w jej papierach.

Często do siebie dzwoniliśmy.

Barry Egleston zlekceważył FBI z uśmiechem.

- Bez znaczenia! Ale sporządzą notatkę na ten temat i prześlą ją do Wydziału Bezpieczeństwa. Na wypadek, gdyby „plafusy” chciały u nas węszyć.

- Spędziłem z nią część ostatniego weekendu - uzupełnił John Tumer.

- Ale nie wie pan niczego, co mogłoby naprowadzić na ślad mordercy?

- Nie. Zasztyletowała ją jakaś kobieta. Prawdopodobnie niezadowolona klientka. Nazwisko nic mi nie mówi, bo Pamela nie opowiadała mi o swoich sprawach.

- OK. Niech pan nic w tej sprawie nie robi.

Moje kondolencje.

- Myślę, że powinienem pojechać na jej pogrzeb - za uważał nieśmiało John Tumer. - To zajmie cały dzień.

- Oczywiście - zgodził się Barry Egleston. - To cios dla pana. Jest mi przykro, naprawdę przykro.

Wstał i mocno uściśnął dłoń Johna Tumera.

Kiedy został sam, przez chronioną linię zadzwonił do George'a Teneta i zdał mu sprawę z tego, o czym się do wiedział.

Nie miał absolutnie nic do zarzucenia Johnowi Tumerowi, ale zawsze było niepokojące, kiedy pracownik CIA zamieszany był, nawet nieznacznie, w morderstwo. Byle tylko gazety nie odkryły jego roli w życiu Pameli Chamberlain. Po 11 września CIA i tak miała złą prasę.

Nakazał sekretarce, by na bieżąco informowała go o przebiegu tej sprawy.

Frank Capistrano był dosłownie wściekły, kiedy Malko spotkał go w restauracji hotelu Willard, ponurej niczym cementarna krypta i prawie pustej.

- Czy wie pan, co ten drań zrobił? - wybuchnął.

-Nie.

Doradca Białego Domu opisał mu zachowanie Johna Tumera, tak, jak to mu przekazał George Tenet.

- To nie stanowi dowodu - przyznał Malko - ale jeśli to on, to nieźle to rozgrywa. Znalazło się coś na Pamelę Chamberlain?

- Czysta jak kryształ - rzucił Frank Capistrano, zamawiając podwójnego Defendera. - Zarówno w sprawach zawodowych, jak i osobistych.

Miała sporo kochanków, a John Tumer był jednym z nich.

- Byłoby inaczej - powiedział Malko - gdyby żyła.

- FBI przekaże mi wszystko, co ustalą na temat April Fawrup. Prosiłem Roberta Muellera, by mnie informował. Nie mówiąc mu zresztą, dlaczego.

Niech sobie myśli, że Pamela była jedną z „eks” Billa Clintona.

- Jest coś interesującego? - Trzeba sprawdzić jej notes z adresami, ale to zabierze trochę czasu. Niektóre nazwiska z pewnością są zaszyfrowane.

- Żadnych powiązań z Pamelą Chamberlain?

- Żadnych. Sprawdzili jej gabinet.

Nie była jej klientką i nigdy się tam nie pojawiła.

- A co do pieniędzy?

- Fawrup miała rachunek w agencji Citibanku na Brooklynie.

Sprawdzają, czy nie było na nim jakichś podejrzanych ruchów.

Żadna z tych informacji nie podnosiła na duchu.

Malko zamówił prime ribs i butelkę bordeaux, i zauważył:

- Mamy impas. Nie wiem, co teraz mógłbym robić.

- Wspierać mnie moralnie - rzucił Frank Capistrano. - Prezydent nigdy nie odpuści. Jak nie ma ben Ladena ani mułły Omara, to musi mieć coś w zastępstwie. Ledwie zdołałem go przekonać, że nie będzie niczym dobrym psuć wizerunek Agencji, nie mając pewności, że uda się udowodnić zdradę. John Tumer jest Amerykaninem i nie można go sądzić przed trybunałem wojskowym. Podpada pod sąd cywilny. Bez dowodów i mając przeciw sobie kilku prawników najlepszych w kraju. Zapłacą za jego obronę i za to, by móc wydobyć na światło brudne sekreciki Agencji...

- Mamy więc - podsumował Malko, kiedy przyniesiono prime ribs - trzy trupy, w tym dwa bezpośrednio związane z Johnem Tumerem.

Oraz trupa morderczyni.

Willard był o rzut beretem od Białego Domu.

Kwadrans później Malko wkroczył do biura specjalnego do radcy. Ten pokazał mu fotokopie licznych wyciągów bankowych.

- To właśnie to - powiedział. - Z rachunkiem April Fawrup nie działo się nic podejrzanego. Tylko jeden drobiazg może zastanawiać. Każdego miesiąca przesyłała dwadzieścia dolarów do Tirany, do Albanii. Dla jakiejś siostry Moniki. To nie może być żadne finansowanie siatki.

- Do Tirany! - Malko drgnął.

To w Tiranie trzy lata wcześniej brał udział w likwidacji siatki Osamy ben Ladena.

- Wie pan, kim jest ta siostra Monika? - spytał.

- Nie. Ale to tylko dwadzieścia dolarów, nie ma sobie czym zawracać głowy.

- Chciałbym jednak to sprawdzić. Należy powiadomić placówkę w Tiranie.

Niech się czegoś o niej dowiedzą.

- OK - zgodził się Special Advisor bez entuzjazmu. - Zaraz się tym zajmę. Jeżeli wszystko dobrze pójdzie, jutro będzie odpowiedź.

Następne dwadzieścia cztery godziny Malko spędził w ponurych wnętrzach Willarda. Brakowało mu Laury Putnam, którą Frank Capistrano odwołał do innych zajęć.

Dźwięk telefonu sprawił, że prawie podskoczył.

Sekretarka zapowiedziała, że Frank Capistrano chce z nim mówić.

- Jestem w moim biurze - oświadczył - i mam kilka nowych informacji.

Niestety, to wszystko nie jest zbyt ciekawe.

- Nieważne, przyjeżdżam - powiedział Malko.

Malko właśnie opuścił Biały Dom głównym wejściem i szedł wokół ogrodzenia okalającego trawnik, kiedy ujrzał agenta Secret Service biegnącego za nim i wymachującego rękami. Natychmiast się zatrzymał, w tych niespokojnych czasach nie opłacało się żartować sobie z uzbrojonych funkcjonariuszy. Tamten dogonił go i zdyszany powiedział:

- Proszę wybaczyć, ale pan Capistrano prosi, żeby pan wrócił.

Malko zdziwiony poszedł za nim, zastanawiając się, o czym mógł zapomnieć.

Frank Capistrano odezwał się natychmiast, gdy wszedł do jego gabinetu:

- Zadzwoiłem do Tirany i miałem szczęście.

- Pan?

- Tak, ja. Trafiłem na numer dwa, Marjorie Felder.

Nieglupia dziewczyna. Zapytałem ją o siostrę Monikę i...

- I co?

- Bingo!

- Bingo? To znaczy?

- Wszyscy wiedzą w Tiranie, kim jest siostra Monika. To naprawdę zakonnica. Wie pan, czym się zajmuje?

-Nie.

- Pomaga więźniom siedzącym w więzieniu w Tiranie.

Przez gabinet przeleciał anioł śpiewający: Alleluja!

Tirana była bazą UCK z Kosowa. Gniazdem islamistów. Komu miałyby April Fawrup wysyłać pieniądze, jeżeli nie przyjacielowi z Pakistanu lub Afganistanu. Zwłaszcza, że sama nigdy nie postawiła stopy w Albanii. Tak czy inaczej, była to jakaś szansa, by dotrzeć do Johna Tumera i należało ją wykorzystać.

- Przypuszczam, że teraz mam udać się do Tirany - stwierdził Malko.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Podpity urzędnik, siedzący w ciasnym boksie kontroli paszportowej na lotnisku w Tiranie, zachłannie spojrział na dziesięć dolarów wręczone mu przez Malko. Była to przyjęta w Albanii taksa wjazdowa.

Lotnisko nie poprawiło się ani trochę w ciągu ostatnich trzech lat.

Zniszczone, nieogrzewane budynki, formalności sprowadzone do minimum, policjanci w niebieskich mundurach pilnujący porządku... Na zewnątrz wylewał się strumień nędznie wyglądających pasażerów, obciążonych tobołkami, złodziejasków, podejrzanych typów w skórzanych kurtkach. Malko właśnie za mierział zrezygnować z szukania taksówki, kiedy ujrzał w tłumie drobną, elegancko ubraną blondynkę o energicznej twarzy.

- Pan jest Malko Linge? - zapytała.

-Tak.

- Jestem Marjorie Felder - przedstawiła się.

- Pracuję z Grahamem Oakleyem.

Graham Oakley był szefem placówki CIA w Tiranie. Rzecz jasna, nie wiedział nic o prawdziwym celu śledztwa, jakie prowadzić miał Malko.

A ten, zwłaszcza po śmierci najlepszego „stingera” CIA w Albanii, Ylli potrzebował silnego wsparcia na miejscu, i Blondynka zaprowadziła go do ogromnego wozu terenowego z przyciemnianymi szybami. Głowa Mand rie Felder zaledwie wystawała ponad obramowanie okna i Malko zauważył, że auto wyposażone jest w specjalne pedały. Inaczej musiałyby prowadzić na stojąco. Ruszyła gwałtownie, wciskając się w tłum ludzi i pojazdów z przeciągłym wyciem klaksonu. Pola które mijali, uisane były dziesiątkami betonowych małych bunkrów, przypominających szare żółwie. Były to pozostałości po czasach szalonego, komunistycznego dyktatora, Envera Hodży, który utrzymywał Albanię w izolacji przez ćwierć wieku. Bunkrów tych powstało ponad 700000 i można je było ujrzeć wszędzie, nierazf w najbardziej niewiarygodnych miejscach. Albańczycy, z natury pomysłowi, kompletnie nie wiedzieli, co z nimi począc.

- To pana pierwsza wizyta w Albanii?

- spytała Marjorie Felder.

- Nie - odparł Malko, niemal nie przygryzając sobie przy okazji języka, gdyż dżip wpadł w ogromną wyrwę w drodze.

Drogi także się nie poprawiły. Minęli most kolejowy, wyglądający jak po bombardowaniu. To, czym zmierzali w kierunku Tirany, tylko w największym przybliżeniu było autostradą.

- Zarezerwowaliśmy dla pana pokój w Rognerze - po wiedziała Marjorie Felder.

Była to perła albańskiego hotelarstwa.

Stał przy bulwarze Deshomóret-E-Kombit, zwanym Polami Elizejskimi Tirany. Dotarli tam pół godziny później, objechawszy na około Plac Skanderberga. Bulwar był rzeczywiście szeroki, ale i tak zakorkowany. Całe kontenery kradzionych we Włoszech samochodów napłynęły w ostatnich latach do Albanii.

-Jedźmy od razu do ambasady - zaproponował Malko.

-Mister Oakley oczekuje pana.

Ambasada amerykańska nie była już w stanie oblężenia, jak podczas poprzedniego pobytu Malka w Albanii. Bez trudu więc trafili do gabinetu szefa placówki CIA. Był to siwy, dobroduszny mężczyzna z wąsami.

Przyjął Malka uprzejmie.

- Wiedziałem, że pan przyjeżdża, ale nie było mnie akurat na miejscu - usprawiedliwił się. - Czy Marjorie dobrze się panem zajęła?.

Marjorie właśnie zdejmowała czarny, skórzany płaszcz. Ubrana była w różowy sweterek i

spódnicę rozciętą z boku oraz wysokie botki.

Jej talię opinał szeroki pas z błyszczącej skóry.

Zachwycający obiekt seksualny, pomyślał Malko, zastanawiając się, czy nie popada w pedofilię. Asystentka Grahama Oakleya była wzrostu małej dziewczynki. Usiadła na krześle i skrzyżowała ręce na kolanach.

Swój mały wzrost musiała kompensować żelaznym charakterem.

- George Tenet przekazał mi, że pana misja jest nie zwykle ważna - powiedział Graham Oakley.

- Czy odnaleźliście siostrę Monikę? Czy to naprawdę zakonnica?

Amerykanin uśmiechnął się.

- Oczywiście. Jest bardzo znana w Tiranie, gdzie mieszka od dwudziestu lat. Pomaga więźniom, którzy nie mają rodzin, tym z najdłuższymi wyrokami.

- Ach tak... - Malko był nieco zawiedziony, że zakonnica naprawdę okazała się zakonnica. - Można się z nią spotkać?

- Tak sądzę, ale nawet nie wiem, gdzie mieszka. Trzeba spytać konsula Francji, który ją dobrze zna. Marjorie już go uprzedziła. Czemu interesuje się pan tą dzielną kobietą?

- Odnaleźliśmy jej nazwisko w papierach pewnej islamskiej samobójczyni - wyjaśnił Malko. - Rozpracowujemy sieć finansowych powiązań terrorystów.

Szef placówki uśmiechnął się.

- To kompletna pomyłka! Siostra jest katoliczką i nie skrzywdziłaby muchy! No, ale skoro pan tu już jest...

Marjorie Felder sprawdziła godzinę z nieukrywaniem zniecierpliwieniem.

- Monsieur Robert czeka na nas.

A punktualny jest jak szwajcarski zegarek.

Marjorie Felder ruszyła spod ambasady swoim ogromnym dżipem z furią kierowcy Formuły I. Za moment zatrzymała się przed ambasadą Francji. Z wyjątkiem amerykańskiej, wszystkie ambasady mieściły się przy jednej ulicy, w samym centrum Tirany. Za panowania komunistów ułatwiało to nadzór, tym bardziej, że ulica była wtedy zamknięta dla zwykłych śmiertelników. Obecnie przed ambasadami ustawiały się długie kolejki oczekujących na wizy dokądkolwiek. Albania praktycznie nie funkcjonowała jako kraj, nie wytwarzała niczego, oprócz złego wrażenia, jej mieszkańcy utrzymywali się albo z przemytu, albo dzięki pieniądzom przesyłanym przez diasporę.

Marjori Felder wkroczyła do biura konsulatu, postukując energicznie obcasami swoich botków. Wyglądała jak generał SS odwiedzający siedzibę podludzi.

- Mamy spotkanie z konsulem - powiedziała do sekretarki tonem wykluczającym jakąkolwiek odpowiedź.

Jacques Robert mierzył blisko metr dziewięćdziesiąt, trzymał się prosto, jakby połknął kij, a w przyciasnym garniturze wyglądał smutno i żałośnie niczym pies wygnany na deszcz. Uprzedzająco grzeczny, poprosił swoich gości, by usiedli, rozdał im swoje wizytówki i uważnie przyjrzał się tej, którą wręczył mu Malko. Sprawiał wrażenie zde gustowanego, jakby uważał, że szpieg nie powinien być księciem i najlepiej, gdyby nosił nazwisko Finkelstein.

- Wiem, po co pan przyjechał - powiedział wreszcie.

- Niestety, nie mogę zaaranżować spotkania z siostrą Moniką.

Marjorie Felder nieomalże zerwała się ze swojego krzesła, a konsul komicznie zasłonił się rękami, jak gdyby sądził, że zamierza skoczyć mu do gardła.

- Wiem, miss Felder - przyznał - obiecałem. Ale dzwoniłem do Paryża i kazali mi trzymać się od tej sprawy z daleka. Albańczycy są strasznie podejrzliwi.

Widząc wściekłe spojrzenie Marjorie i chcąc uniknąć awantury, Malko zapytał: - Nie ma innego sposobu?

Konsul niezręcznie zatarł dłonie, gapiąc się równocześnie na opięte czarnym nylonem kolana Marjorie.

Malko pomyślał, że jest w nim jednak coś ludzkiego.

- Trzeba się zwrócić do Ouai d'Orsay o zielone światło. To są, nieprawdaz, informacje poufne? Wystarczy tydzień i otrzymamy odpowiedź.

Marjorie Felder warknęła ze złością niczym bullterier szykujący się do ataku, zaś Malko w tym samym momencie zwrócił się do konsula z najbardziej światowym ze swoich uśmiechów:

- Kto jest obecnie waszym ambasadorem! w Albanii?

Konsul wyglądał, jakby chciał schować się za podwójną gardą.

- Jego Ekscelencja Jacques de Neufville.

- Czy nie był przypadkiem pierwszym radcą w dniu cztery lata temu?

Na szczęście jego fantastyczna pamięć nigdy go nie zawodziła.

Konsul nieco się rozluźnił.

- Tak. Tak sędzę, - Miałem okazję przyjmować go w moim zamku w Liezen dwa lub trzy razy. Czarujący człowiek.

Może go pan powiadomić o naszej obecności?

Konsul najwyraźniej nie wiedział, czy ma rozplynać się z zachwytu, czy stężeć ze strachu. Jego grdyka latała w górę i w dół. Z szaleństwem w oczach popatrywał na Marjorie Felder. Wreszcie wydusił z siebie: - Jeśli pan zna Jego Ekszelencję ambasadora, to zdaje mi się, że jesteśmy w stanie panu pomóc. Ściszył głos. - Przekażę państwu adres siostry Moniki. Oczywiście nikt o tym nie może wiedzieć...

Przybrał patetyczną pozę, jakby komunikował aktualny adres Osamy ben Ladena. Nabazgrał adres na kartce i wręczył ją namaszczonym gestem.

Zgięty w pół, towarzyszył im do wyjścia.

Kiedy zostali sami, Marjorie Felder zapytała:

- Naprawdę zna pan ambasadora?

- Nie - przyznał Malko. - Ale w porę przypomniałem sobie jego nazwisko.

A jeśli go kiedyś spotkamy, to nie sędzę, żeby zaprzeczył, że miał okazję polować w moich dobrach. Nikt nie rezygnuje z prestiżu.

Marjorie nie skomentowała tej wypowiedzi, ale widać było, że jej szacunek do Malka wzrósł wyraźnie.

- Wiem, gdzie to jest - powiedziała, rzuciwszy okiem na adres.

- Jedziemy?

- Pewnie. Czy to daleko?

Nie bardzo, przy trasie na lotnisko.

W razie czego za pytamy - Mówi pani po albańsku?

- Moja matka była Albanką. Dlatego tu jestem.

Stary, drewniany dom, stojący pośrodku zapuszczonego ogrodu, sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz się rozpaść. Okiennice były przymknięte, ale przy ścianie stał rower. Malko pchnął mikroskopijną furtkę, która, niewiele brakowało, a została mu w rękach. Kiedy szli przez ogród, w drzwiach domu pojawiła się siwowłosa kobieta w długim habicie. Jej żywe spojrzenie z ciekawością spoczęło na przybyszach. Malko zdobył się na jeden ze swoich najbardziej czarujących uśmiechów i spytał po francusku:

- Czy siostra Monika?

- Tak - odparła. - Czy my się znamy?

Mieszkają państwo w Tiranie?

- Ja owszem - powiedziała Marjorie. - Pracuję w ambasadzie amerykańskiej. Podała jej wizytówkę.

Zakonnica rzuciła na nią szybko okiem i zapytała:

- Jak mnie znaleźliście?

- Jest siostra bardzo znana w Tiranie - wyjaśniła Marjorie.

- Pytaliśmy sąsiadów. Mówię po albańsku.

- Co mogę dla was zrobić? - spytała siostra Monika, wpuszczając ich do pokoju po sam sufit wypełnionego segregatorami na akta. - Albo co wy możecie zrobić dla mnie. Potrzebuję mnóstwa rzeczy dla moich więźniów.

- Właśnie w tej sprawie - wtrącił Malko - przyszliśmy do siostry.

- Kim jesteście?

- Prowadzę śledztwo w sprawie siatki terrorystów w imieniu rządu Stanów Zjednoczonych.

Zakonnica lekko zadrżała. - Jesteście z FBI?

-Nie.

- To zresztą nie ma znaczenia.

Jak mogę wam pomóc Jeżeli mogę, w co wątpię.

- Czy zna siostra kobietę o nazwisku April Fawi Amerykankę.

- Nie - odparła zakonnica z lekkim wahaniem.

- To dziwne - zauważył Malko - bo ta April Fav wysyłała siostrze co miesiąc dwadzieścia dolarów. Znaleźliśmy u niej, w Nowym Jorku, przekazy bankowe.

Siostra Monika potrząsnęła głową.

- Niemożliwe. Nikogo takiego nie znam.

- Czy otrzymywała siostra każdego miesiąca jakieś pieniądze z Nowego Jorku?

- To możliwe. Wiele osób posyła mi pieniądze dla moich więźniów. Ale to poufne. Moje sumienie nie pozwala mi mówić na ten temat. Proszę spytać tamtą osobę.

Malko pospieszył z interwencją, widząc że twarz Marjońe Felder pociemniała. Koniecznie musiał wiedzieć, do kogo przychodziły te pieniądze i nie chciał sobie niczym zrazić tej twardej zakonnicy.

-April Fawrup - wyjaśnił - była kryminalistką. Na moich oczach poderżnęła gardło pewnej kobiecie i sama zginęła przypadkowo podczas ucieczki. Dlatego chciałbym, by siostra ze mną współpracowała.

Siostra Monika przez kilka chwil milczała, po czym zbliżyła się do małego biurka zavalonego papierami, wyjęła z kieszeni habitu okulary z pękniętym szkłem i zaczęła przepatrywać go strona po stronie.

Marjorie Felder i Malko przyglądali się temu w śmiertelnej ciszy.

- Rzeczywiście, otrzymywałam od pewnego czasu co miesiąc przekazem dwadzieścia dolarów - stwierdziła wreszcie zakonnica. - Były jednak przysyłane przez jakąś Oum Hafsa.

- To jedna i ta sama osoba. Przeszła na islam, ale jest Amerykanką.

Pracownica różnych organizacji pozarządowych, która wielokrotnie przebywała w Afganistanie.

Siostra Monika kiwnęła głową.

- Teraz rozumiem. Te przekazy były przeznaczone dla jednego z więźniów, którym się zajmuję. Około trzydziestu lat, bez żadnej rodziny w Albanii. Narodowości francuskiej, też konwertyta, ale wcześniej był katolikiem. Przebywa w więzieniu o zaostrozonym rygorze nr 302 przy ulicy Minę Peza, w Tiranie.

- Jak się nazywa?

- Michel Abu Rifah. Przynajmniej takie nazwisko mi podał, chociaż ma, być może, również inne. Jest pan za dowolony?

- Częściowo - przyznał Malko. - Za co siedzi?

- Za morderstwo, w 1998 roku. Zabił serią z kałasznikowa jednego ze swych albańskich przyjaciół i miejscowy sąd skazał go na dwadzieścia lat.

- Dlaczego zabił?

- Niech go sam pan spyta - rzuciła sucho zakonnica. Nie jestem sądem ani policją, staram się tylko pomagać ludziom, moralnie i materialnie.

- Jak trafił do Albanii?

- Sądzę, że z Afganistanu, gdzie przeszedł szkolenie wojskowe. Przybył walczyć w szeregach UCK o wolność Kosowa.

Wszystkie elementy układanki trafiły wreszcie na swoje miejsca.

Malko mógł być pewny, że nie przyjechał na darmo do Albanii.

Trafił na ślad al Kaidy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Siostra Monika zamknęła swój notes i obrzuciła Malka nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Proszę. Teraz muszę odbyć moje wizyty. I tak powiedziałam już zbyt dużo. Praktycznie wyrzucała ich za drzwi.

Wyszli razem. Wsiadła na rower i odjechała.

Malko ruszył w kierunku samochodu.

- Czy szefem SHIK nadal jest Fatos Kłosi?

- spytał.

- Tak sądzą.

- A zatem powinni współpracować. Ten Michel Abu Rifah z pewnością był przesłuchiwany po aresztowaniu. Być może powiedział coś interesującego.

- Mister Oakley mógłby zorganizować spotkanie z nim - powiedziała Marjorie Felder. - Ale nie zdarza mu się bywać w biurze po trzeciej.

Malko spojrzał na swojego Breitlinga. Umierał z głodu.

- Gdzie możemy coś zjeść?

- Niedaleko jest całkiem niezła restauracja.

Restauracja Ledit, raczej droga, okupowana przez biznesmenów, znajdowała się na pierwszym piętrze.

Przed wejściem stało kilku ochroniarzy z nonszalancko przewieszonymi przez ramię kałasznikowami. Marjorie Fel der zamówiła Defendera bez wody sodowej, jak mężczyzna. Malko pomyślał, że jej różowy sweterek skrywa na prawdę świetną zawartość. Filigranowe cacko o żelaznym charakterze...

- Jest pani tutaj z własnego wyboru - spytał, za mówiwszy lokalną specjalność, na wpół surowe mięso przyrządzane na gorących kamieniach.

- Tak, chciałam się przekonać, jaka jest Albania. I mam tutaj rodzinę. Ale chciałabym już wrócić do pracy w Centrali. Tutaj jest prawdziwy Trzeci Świat!

- Zdarzają się jeszcze jakieś kłopoty polityczne?

- Nie, panuje spokój. UCK już stąd zniknęła, za wyjątkiem tego biedaka w więzieniu. A propos, czemu się pan nim interesuje?

- To tajemnica państwowa - uśmiechnął się Malko.

- Ale wydaje mi się, że nie przyjechałem na darmo.

Przyniesiono mięso. Z lokalnym winem było nawet strawne.

Kiedy nieco później Marjorie wstała, by udać się do toalety, Malko nie mógł się powstrzymać by nie spojrzeć za nią z uznaniem, doceniając idealny zarys pośladków pod długą spódnicą. Zanim wróciła, zdążył uregulować rachunek. Wstał.

- Teraz do ambasady - powiedział.

Graham Oakley był najwyraźniej w wyjątkowo dobrym humorze po obiedzie, gdyż ani chwili nie wahał się spełnić prośbę Malka.

- Mam bardzo dobry kontakt z Patosem Kłosi - odparł natychmiast.

- Zaraz do niego zadzwonię.

Pięć minut później szef SHIK był na linii. Rozmowa trwała bardzo krótko.

- Fatos Kłosi oczekuje pana - oświadczył szef placówki.

- Marjorie może być pana kierowcą, jeżeli pan sobie życzy.

- Z przyjemnością - powiedział Malko.

Kwadrans później skręcili w ślepy zaułek pomiędzy dwoma rzędami nędznie wyglądających domów, zakończony murem zwieńczonym drutem kolczastym. Była to siedziba SHIK. Szeroka, stalowa brama strzeżona była przez gniazda karabinów maszynowych.

Marjorie wysiadła i poszła zameldować o ich przyjeździe na wartowni.

Po chwili stalowe skrzydła się rozsunęły i wjechali na plac o rozmiarach boiska futbolowego. Zatrzymali się przed białym, trzypiętrowym budynkiem. W chwili, kiedy wkraczali do hallu, na ich spotkanie wyszła młoda kobieta w spodniach.

- Dyrektor generalny oczekuje państwa - oświadczyła.

Po monumentalnych schodach wspięli się na pierwsze piętro. Wnętrze nie zmieniło się od czasów komunistycznych. Wysokie korytarze, nagie ściany, blade oświetlenie... Zaledwie weszli do gabinetu dyrektora, ten wstał na ich widok z wyciągniętą ręką.

- Jakże się cieszę, że znów pana widzę - powiedział.

W przyciemnianych okularach, koszuli bez krawata i pomiętych spodniach wyglądał bardziej na profesora uniwersytetu niż na tajnego agenta. Jego gabinet urządzone był nader surowo: białe ściany, neonowe lampy, stare, mahoniowe biurko, telewizor stojący na wielkiej czarnej skrzyni przy wejściu. Żadnych zdjęć. Jedynymi ozdobami były: wielka rycerska zbroja i flaga narodowa. Dyrektor wskazał gościom dwa fotele kryte czarną skórą.

Na stoliku obok leżała zielona teczka z aktami.

- Odszukałem akta człowieka, o którego wam chodzi - powiedział Fatos Kłosi. - Niestety, niewiele można tam znaleźć. Wasz człowiek był oczywiście przesłuchiwany po zabójstwie i co do jego związków z UCK, wszystko jest jasne. Przybył z Afganistanu, by bić się w Kosowie.

- Czy był związany z ben Ladenem?

- Oczywiście. Przyjechał z Afganistanu, przeszedł tam szkolenie wojskowe...

- Czemu zabił tamtego człowieka? Co się zdarzyło?

- Prawdę mówiąc, nic nie wiemy - wyznał szef SHIK.

- Chłopak, którego zabił, był uważany za jego przyjaciela. Był jego pośrednikiem przy zakupie broni. Albo się pokłócili, albo był to wypadek.

- Wypadek? - zdziwił się Malko.

- Został przecież skazany na dwadzieścia lat!

Patos Kłosi uśmiechnął się nieznacznie.

- W tamtych czasach albańskie sądy miały ciężką rękę dla sympatyków UCK. Chcieliśmy się ich stąd pozbyć.

Anioł przemknął przez pomieszczenie, przerażony.

Człowiek zostaje skazany na dwadzieścia lat praktycznie za nic...

Lepiej było o tym nie myśleć.

- Co powiedział na przesłuchaniu? - spytał Malko.

Fatos Kłosi otworzył teczkę i zaczął wertować akta.

Że został zwerbowany w Londynie przez niejakiego Abu Hamzę, członka siatki al Kaidy. To fundamentalista, który stracił obie ręce przy wybuchu bomby, którą przy gotowywał. Z Londynu wysłano naszego klienta do Afganistanu.

- Mówił, co tam robił?

- Tak. Nauczył się nieco po chińsku, bo przebywał w towarzystwie Ujgurów. Spotkał też sporo Amerykanów.

- Czarnych?

- Nie, białych. Zaprzyjaźnił się bliżej z jednym z nich, niejakim Philipem. Obchodzili razem imieniny w Islamabadzie.

- Czy mówił coś jeszcze? - Malko był coraz bardziej zainteresowany.

- Jakieś szczegóły? Trafił na amerykańską siatkę ben Ladena.

Być może na samego Johna Tumera. Abu Rifah, nawet jeżeli od dwóch lat przebywał w więzieniu, mógł mieć wyjątkowo cenne informacje.

- Być może - powiedział Fatos Kłosi - lecz nie odnotowano tego.

Nikogo to w tamtych czasach nie interesowało. Wiem tylko, że sporo mówił o młodych Amerykanach nawróconych na islam, którzy potem wrócili do Stanów Zjednoczonych.

Malko wręcz chłonał jego słowa. Wszystko zaczynało pasować. Ci młodzi Amerykanie mogli brać udział w zamachach z 11 września i mogli też nadal żyć w Stanach, pozostając poza wszelkimi podejrzeniami. Koniecznie musiał porozmawiać z Michelelem Abu Rifahem.

- Może mi pan umożliwić spotkanie z nim? - spytał.

- Zaraz poproszę dyrektora Zarządu Więziennictwa.

Mister Oakley zostanie poinformowany, jak możemy to przeprowadzić.

Pożegnali się.

Kiedy wsiadali do samochodu, Marjorie Felder spytała z niedowierzaniem:

- Biali Amerykanie w siatce al Kaidy?

- Najwyraźniej - odrzekł Malko, nie dodając już, że najważniejszy z podejrzanych jest agentem CIA. Marjorie odwiozła go do hotelu.

- Wracam do ambasady - powiedziała.

- Co mogę jeszcze dla pana zrobić?

- Zjeść ze mną kolację - zasugerował Malko.

Samotny wieczór w Rognerze był czymś tak atrakcyjnym, że lepszym wyjściem byłoby się powiesić. Na szczęście Marjorie Felder, tyleż zdyscyplinowana, co po ciągająca, nie wahała się ani chwili.

- Będę u pana o ósmej - powiedziała.

- Możemy zacząć przesłuchiwać Michela Abu Rifaha w więzieniu od jutra - stwierdziła Marjorie Felder, gdy Malko wsiadał do jej dżipa.

- Fatos Kłosi telefonował do Zarządu Więziennictwa. Przepustki będą jutro na ósmą rano.

- Brawo!

Dyrektor SHIK nie zasypiał gruszek w popiele.

- Pojedzie pani ze mną?

- Jak pan chce. Ale chłopak mówi po angielsku i po francusku, i zaledwie trochę po albańsku.

Kiedy jechali szeroką, typową dla Tirany aleją, Malko uważnie przyglądał się Marjorie. Swoją długą spódnicę i botki zamieniła na czarną sukienkę i szpilki, w których wyglądała jeszcze seksowniej.

- Na pewno sprawi mu przyjemność ujrzeć tak ślicznej kobiety.

Dokąd mnie pani prowadzi?

- Do London Bar, niedaleko Placu Skanderberga.

Nieźle dają jeść i jest choć cień atmosfery.

Kiedy wysiadali z auta, Malko nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ma do czynienia z dzieckiem, nie z kobietą. Marjorie mierzyła nie więcej niż metr pięćdziesiąt. A szpilki dodawały jej jeszcze co najmniej dziesięć centymetrów wzrostu.

- Uważa pan, że jestem malutka? - zapytała, czując, że się jej przygląda.

- To nie przeszkadza pani być zachwycającą.

- Miałam kiedyś chłopaka, który mierzył metr dzie wiećdziesiąt pięć.

I wcale mu nie przeszkadzał mój wzrost.

Przerwała i zagłębiła się w menu, tak, jakby powiedziała zbyt wiele...

W restauracji było niewielu klientów, dość szybko zatem zostali obsłużeni i zjedli.

- Gdzie tutaj można wypić szklaneczkę? - zapytał Malko, gdy wyszli.

- W Rognerze ale strasznie tam ponuro. Są jeszcze puby, ale nie da się tam rozmawiać ze względu na muzykę, i Wolę wracać.

Rozstali się w hotelu, wymieniwszy nader oficjalny uścisk dłoni.

Malko znalazł się w pokoju w towarzystwie CNN, rozmyślając o tym, co też może mu powiedzieć jutro Michel Abu Rifah. Jakie może być powiązanie między tym biednym wyrzutkiem i Johnem Tumerem?

Ulica Minę Plaża znajdowała się w południowej części Tirany, w dzielnicy robotniczej. Chodniki były pełne głębokich dziur; jezdnie wyglądały nie lepiej. Przed bramą więzienia stał niewielki tłumek oczekujących na widzenie. Marjorie Felder stanęła na palcach i podała przepustki siedzącemu w okienku strażnikowi. Uchyłono bramy i znaleźli się na maleńkim dziedzińcu otoczonym brudnoróżowym murem. Dziedzińca strzegł strażnik w długim, ciężkim płaszczu, z kałasznikowem na ramieniu.

- Trzeba zostawić na wartowni pieniądze, komórki i aparaty fotograficzne - poinformowała Marjorie po krótkiej rozmowie z dowódcą warty.

Po dopełnieniu tych formalności wprowadzono ich do małego pokoiku o ścianach pokrytych czarnymi liszajami, ogrzewanego przez niewielki grzejnik elektryczny. Mimo to przenikliwe zimno panowało i tutaj.

- Muszą nas zrewidować - uzupełniła wyjaśnienia Marjorie.

- Takie są zasady.

Strażnik zaczął dokładnie obmacywać Malka.

Do Marjorie podeszła strażniczka, której twarz wysłużonej dziwki brudny mundur, szerokie ramiona i sardoniczny grymas ust przywoływały myśl o obozie koncentracyjnym. Z widoczną satysfakcją zabrała się do rewizji. Inni strażnicy obserwowali tę scenę, trącając się łokciami.

Wreszcie otworzyły się drugie drzwi i weszli do właściwej części więzienia.

Cele znajdowały się w budynku naprzeciwko. Wszystko było brudne, ponure, przygnębiające. Żadnych śladów życia.

Strażnik zaprowadził ich do małego pokoju, również ogrzewanego elektrycznym grzejnikiem. Przyjął ich tam osobnik w szarej bluzie, która była w zamierzchłych czasach zapewne biała. Więzienny sanitariusz, sądząc po kilku półkach z medykamentami, jakie znajdowały się w pomieszczeniu. Wskazał im jeszcze ciasniejszą alkowę z brudną leżanką i żelaznym łóżkiem.

- Skoro jesteście tak ważni - uśmiechnął się bezzębnymi ustami - to możecie przesłuchać więźnia tutaj. W rozmównicy trzeba by robić to na stojąco. Dwaj strażnicy wyszli po Michela Abu Rifaha.

Malko zadrżał.

Mimo grzejnika panowało tu lodowate zimno, prawie jak na zewnątrz.

W głębi dziedzińca otworzyły się drzwi i wyszło stamtąd trzech ludzi. Dwóch strażników wlokło wyglądającego jak szkielet więźnia, odzianego w pikowaną kufajkę i workowate spodnie. Przemierzali się przez dziedziniec kilka minut, gdyż poruszali się bardzo wolno. Więzień szedł z opuszczoną głową i trząsał się bez przerwy. Na nogach miał grube wełniane skarpety i pantofle. Jego włosy były rude, tak samo wąsy i kozia bródka.

Podniósł głowę i spojrzał na Malka. Malko przeżył szok.

Spojrzenie więźnia było absolutnie puste, wargi obwisłe, podbródek drżał.

Pod kufajką miał gruby sweter. Jeden ze strażników powiedział kilka słów do podtrzymywanego i ten uczynił nadludzki wysiłek, by ponownie podnieść głowę i popatrzeć na Malka.

Wypowiedział ledwie jedno słowo: - Policja?

Malko, porażony jego wyglądem, zaczął mu tłumaczyć, dlaczego jest tutaj.

Mówił bardzo wolno. Jednak Michel Abu Rifah zdawał się nie rozumieć.

Strażnicy wprowadzili go do alkowy i zostawili go tam. Chwiał się przez chwilę i runął na łóżko jak worek. Zakrył głowę ramionami i trząsał się dalej. Strażnicy przypatrywali się temu z niesmakiem. Jeden z nich złapał go za włosy i rzucił parę słów, które, sądząc z tonu, były groźbą.

Midnight Express, pomyślał Malko.

Więzień nie zwracał na nich uwagi.

Malko zwrócił się do sanitariusza.

- Cały trzęsie się z zimna. Czy więzienie nie jest ogrzewane?

- Jest - odparł Albańczyk za pośrednictwem Marjorie.

- Ale mają w celach jedną kołdrę na ośmiu...

- Nie wygląda normalnie.

Marjorie rozmawiała chwilę z sanitariuszem.

- Dają mu środki uspokajające trzy razy dziennie. Próbował się zabić. Każdego miesiąca jest w szpitalu. Otwiera sobie żyły, chce umrzeć...

Widząc, w jakich warunkach przebywa, nie wypadało się dziwić.

Malko zbliżył się do niego i powiedział wyraźnie po francusku:

- Michel, czy słyszy mnie pan?

Michel Abu Rifah podniósł wzrok i wymamrotał kilka słów stłumionym głosem, proszącym tonem. Po albańsku.

- Prosi o jogurt, owoce, ser - przetłumaczyła Marjorie.

To był okrutny spektakl. W stanie, w którym znajdował się więzień, nie było mowy o żadnym przesłuchaniu.

Malko zwrócił się do Amerykanki.

- Bezwzględnie muszą przestać dawać mu psychotropy.

Marjorie wdała się w rozmowę z sanitariuszem. Po chwili powiedziała:

- Nie chce przerwać podawania lekarstw. Mówi, że jeśli coś się stanie, to on będzie odpowiedzialny. Zależy mu na posadzie.

- Niech zaproponuje mu pani spotkanie na zewnątrz. Spróbujemy go przekonać. Póki co, czy może pani przywieść z jakiegoś sklepu to, o co prosi ten chłopak?

Marjorie wyszła i Malko został sam z Michelem Abu Rifahem, który, z głową w ramionach, zdawał się być po grążony w stanie katalepsji.

Od czasu do czasu spoglądał tylko nieobecny wzrokiem na Malka.

Marjorie wróciła po kwadransie z kilkoma plastikowymi torbami.

- Miewa jakieś odwiedziny? - spytał Malko.

- Czasem pojawia się konsul francuski, a czasem siostra Monika.

- Żadnych listów?

- Żadnych.

Malko spojrział na więźnia.

Wyglądało na to, że nie wie nawet, jak się nazywa.

- Niech pani powie strażnikowi, by odprowadził go do celi. I niech pani mnie umówi z sanitariuszem. W hotelu naprzeciwko musi być jakiś bar.

Michel Abu Rifah wyszedł, nie spojrzawszy nawet na nich.

A raczej został wyciągnięty przez strażników, którym zwisał bezwładny w ramionach. Ścisnął jednak pieczołowicie swoje torby z zaopatrzeniem.

Już na miejscu zaczął pożerać pomarańcze, nawet ich nie obierając.

Wrak człowieka...

Jeśli nie uda się go wyrwać z tego stanu, przesłuchanie będzie niemożliwe.

I okaże się, że Malko wybrał się do Albanii jednak na darmo.

A tymczasem to właśnie Abu Rifah był kluczem do Johna Tamera.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Marjorie Felder, Malko i sanitariusz rozmawiali przytłumionymi głosami, siedząc w pustym barze. A raczej Malko negocjował...

- Chce tysiąc dolarów - przetłumaczyła Marjorie.

- Pięćset.

Skończyło się na siedmiuset i Malko wyjął z kieszeni grubą paczkę leków.

Pieniądze zniknęły w kieszeni sanitariusza tak, jak schwyтана mucha znika w paszczy jaszczurki. Marjorie Felder podsumowała ich ustalenia.

- Powiedział, że przerwie podawanie lekarstw już dzisiaj.

Obawia się jednak, że chłopak może zrobić się gwałtowny...

- Czego żąda przede wszystkim?

- Żywności i wyjazdu do Francji.

- Dobrze. Kiedy więc stanie się zbyt nerwowy w wyniku odstawienia psychotropów, należy mu wytłumaczyć, że ma być do Francji przetransportowany i dlatego musi być w stanie odpowiadać na pytania konsula.

Amerykanka spojrzała na niego z wyrzutem.

- To nieprawda. Nieładnie tak kłamać.

- To nieprawda, ale żadne zło - odparł Malko. - Rozpracowuję siatkę terrorystów i nie zamierzam wcale się cackać z tym chłopakiem.

Ile czasu potrzeba, by przywrócić go do normalnego stanu?

- Trzy dni - przetłumaczyła Marjorie.

- Jeżeli, dodatkowo, będzie mu się podawało leki wspomagające.

Ale to kosztuje.

-Ile?

- Pięćdziesiąt dolarów.

Malko wyciągnął banknot pięćdziesięciodolarowy i wręczył go sanitariuszowi.

- Niech pani mu powie, że dostanie drugie tyle, gdy będziemy mogli porozmawiać z chłopakiem. To będzie ekstra. I że nic mu nie będzie, bo pracujemy dla SHIK.

To ostatnie słowo podziałało jak zaklęcie magiczne.

Sanitariusz w jednej chwili zgiął się wpół i zrobił uprzedzająco grzeczny.

Tajna policja we wszystkich krajach postkomunistycznych wciąż wywoływała blady strach.

John Tumer, jak każdego ranka, zatrzymał się przy kiosku na Main Street w Falls Church, ażeby kupić Washington Post i New York Timesa.

Wziął gazety pod pachę, i nie zaglądając do nich, wsiadł do swojego volvo.

Ruszył w kierunku Langley. Stojąc na czerwonych światłach, rzucił okiem na pierwszą stronę New Yor Timesa. Poczł się nagle tak, jakby otrzymał silny cios. Na pierwszej stronie ujrzał tytuł: „Just before being murdered, Pamela Chamberlain had dinner with a CIA operative”.

Bezpośrednio przed zamordowaniem Pamela Chamberlain jadła kolację z agentem CIA. Przy akompaniamencie szaleńczego bicia serca zjechał na pobocze i otworzył gazetę, niemal w mgnieniu oka pochłaniając treść artykułu. Według źródeł zbliżonych do śledztwa, ale chcących zachować anonimowość - oznaczało zapewne FBI - tego wieczora, kiedy została zabita, Pamela Chamberlain spotkała się na kolacji z cudzoziemcem pracującym dla CIA. Ten, niejaki Ma Linge, ścigał sprawczynię zabójstwa i mimowolnie spowodował jej śmierć. Autor artykułu przedstawiał karierę Pameli Chamberlain, podkreślając, że jej śmierć nie miała żadnego związku z jej sprawami zawodowymi. I udział agenta CIA w sprawie nie był przypadkowy... Inaczej mówiąc, Pamela Chamberlain mogła mieć powiązanie z siatką terrorystyczną. Ani słowa o Johnie Tumerze. Ten domyślił się od razu, co zaszło. Agenci FBI, czując pismo nosem, zdecydowali się odegrać na CIA. Jeden z nich z pewnością przekazał te informacje do prasy. Włączył się ponownie do ruchu, mając mózg w stanie wrzenia.

FBI nie sprawdziło jeszcze notesu z adresami Pameli, ale w jego przypadku nie miało to znaczenia, bo i tak zdążył się zabezpieczyć, uprzedzając swoich szefów, że ją znał. Co do jego pobytu w Nowym Jorku 10 i 11 września, sprawdził, że nie ma na ten temat żadnej wzmianki w kalendarzu Pameli. Dziesiątego jedli kolację w małej restauracji chińskiej przy Mott Street, a rachunek zapłacił gotówką. W momencie, kiedy FBI to odkryje, a było to tylko kwestią czasu - prasa dowie się o wszystkim. Kobieta, która znała dobrze dwóch agentów CIA, zamordowana przez inną, powiązaną z siatką terrorystyczną - to byłoby już zbyt wiele.

Prowadząc w stanie wzburzenia, John Tumer uświadomił sobie coś jeszcze gorszego: on wiedział, że Pamela nie miała żadnych związków z wywiadem, a tym bardziej z terrorystami. A zatem agent CIA, z którego istnienia dotąd nie zdawał sobie sprawy, mógł być z nią tylko z jednego powodu: zanim jeszcze przyznał się do związku z Pamelą, CIA już się nią interesowała. A jeśli tak, to powód mógł być jeden: John Tumer.

Plotka, która rozeszła się ostatnio w Agencji, nie była więc fałszywa.

Dyrekcja CIA naprawdę szukała zdrajcy w swoich szeregach, a John Tumer należał do podejrzanych. Teraz dopiero mógł stwierdzić, jak słusznie postąpił, rozkazując zlikwidować Pamelę. Mogła zostać przesłuchana i chociaż nie miałyby wiele do powiedzenia, wystarczyłoby to, że mogłaby zaświadczyć, iż 11 września był w Nowym Jorku.

Gdyby dodać do tego jeszcze zawartość jej twardego dysku - starczyłoby dowodów, żeby posłać go na krzesło elektryczne. Był już przy Doily Madison, spróbował więc uporządkować myśli. Przede wszystkim musiał być odtąd jeszcze bardziej ostrożny, co nie nastęrczało problemów.

Wymagało tylko kilku delikatnych manewrów. Nie warto myśleć o przyszłości. Nie miał najmniejszej chęci uciekać z kraju. Był na to za stary, zbyt przywiązany do życia w Stanach Zjednoczonych. Nie potrafiłby spędzić czasu, jaki mu jeszcze pozostał gdzieś na antypodach, nawet, gdyby był traktowany jak bohater. Znał historie Burgessa i Mac Leana, słynnych brytyjskich zdrajców, którzy, fetowani i odznaczani przez Stalina, marnie skończyli w Moskwie, topiąc smutki w alkoholu.

Nagle zatrzymał się i włączył światła awaryjne.

Opanowała go obsesyjna myśl: dlaczego zdradził?

Przecież nie z powodów religijnych, gdyż był całkowitym ateistą, zaś islam wywoływał w nim raczej nie smak. Pozostawała charyzmatyczna osobowość Osamy ben Ladena, który utwierdził go w jego żalu i niechęci wobec rządu i biurokratów. Pragnął nowych, lepszych Stanów Zjednoczonych. Wróg jego własnej cywilizacji mógł się do tego przyczynić.

Uświadomił sobie, że ostateczną decyzję podjął tego dnia, kiedy ben Laden powiedział mu: „Jeżeli się pan zgodzi, będzie pan szabłą i muzułmanie całego świata będą błogosławić pana imię”.

Wtedy właśnie po raz pierwszy odczuł, że ktoś poznał się na nim, docenił go. W tej sekundzie stał się innym człowiekiem. Poczował dumę, że może dać własnemu krajowi lekcję, dzięki której się przebudzi. Poczół, że osiągnął cel. Wiedział jednak dobrze, że wszystko to służyło przede wszystkim łagodzeniu cierpień jego zranionego ego. I dobrze, pomyślał, i ruszył znowu. Miał jedną rzecz do zrobienia: zlokalizować agenta CIA, który wpadł na jego trop i go wyeliminować. Nawet jeśli ostateczny rezultat walki nie budził wątpliwości, musiał zrobić coś czym ponownie zasłuży na szacunek Osamy ben Ladena. Tylko on mu pozostał. Choć z drugiej strony, odczuwał pogardę wobec tych, którzy, nawróciwszy się, wpadli w fanatyzm, czyniący ich ślepymi i nieskutecznymi. Jak Oum Hafsa. Był jak Burgess i Mac Lean. Świadomie wybrał obóz.

Frank Capistrano gotował się z wściekłości. George Tenet aż wcisnął głowę w ramiona. Capistrano wrzeszczał w interkom:

- Wezwać Roberta Muellera, gdziekolwiek by on był!

Odkładając słuchawkę, spojrzął ponuro na dyrektora CIA siedzącego naprzeciwko.

- Te łobuzy z Biura nigdy nie przepuszczą okazji!

Nikt inny nie mógł przekazać tej wiadomości dziennikarzom.

- Oczywiście - wymamrotał George Tenet. - Są bardzo zadowoleni, że mogli przywalić Agencji. Co więcej, powstała nowa niejasność.

Frank Capistrano westchnął.

- Nie. Ale pan nic nie wiedział.

To całkowicie zbiło z tropu dyrektora CIA.

- Jak to? Kiedy dowiedziałem się o tym artykule, sprawdziłem, gdzie podziewa się nasz austriacki szef misji. Powiedziano mi, że jest w Albanii.

Ja go tam nie wysyłałem...

To ja - powiedział Frank Capistrano. - W sprawie Johna Tumera. Nie chciałem nic mówić, dopóki nie będzie jakiegoś rezultatu.

Dyrektor CIA nie miał żalu o tę tajemniczość.

Sprawa Johna Tumera była straszliwym mieczem Damoklesa wiszącym nad jego głową. Cokolwiek mogło przynieść jej rozwiązanie, było dla niego dobre.

- Ja również chciałem mówić z panem o tej sprawie - powiedział.

- Niezależnie od tego artykułu.

John Tumer ujawnił wobec DDO powiązanie z zamordowaną zaraz po zabójstwie. Jak twierdzi, uczynił tak wyłącznie po to, by Agencja była na bieżąco wobec FBI. A cały ten związek, jak utrzymuje, miał charakter, powiedzmy, uczuciowy.

Frank Capistrano zrobił kwaśną minę.

- Wątpię. Ta nieszczęsna prawniczka została zamordowana przez kobietę powiązaną z al Kaidą. Bez żadnego wyraźnego powodu.

Malko Linge jest w Albanii właśnie po to, by zbadać ten ślad.

- Ale czemu miałyby służyć to zabójstwo?

Special Advisor wykonał bezradny gest.

- Prawdopodobnie John Tumer chciał się zabezpieczyć. Tyle, że nie wiadomo przed czym. Nie wydaje mi się, by FBI cokolwiek odkryło.

Coś mi nie pasuje. Jest o wiele bardziej nieciekawie...

- Artykuł w New York Timesie? - Tak. Teraz John Tumer już wie, że go podejrzewamy. A jeśli jest winien, będzie pilnował się dwa razy bardziej - Co robić?

- Nic. Jeśli będzie się pytał o śledztwo, mówcie że Malko Linge to była czysto osobista relacja. Z pewnością nie uwierzy, ale co mu pozostaje?

Tak czy inaczej jak dostanę w swoje ręce Roberta Muellera, przekażę słówko od prezydenta. Jeszcze jedna taka niedyskrecja i wylatuje!

- Wpieprzyli nas w niezłe gówno! - westchnął dyrektor CIA.

- Mam nadzieję, że Malko Linge dokopie się w Albanii do czegoś, co pozwoli nam posunąć się do przodu w sprawie Tumera. Nie mogę uwierzyć, że mógłby być winien.

Frank Capistrano podniósł się z fotela z sardonicznym uśmiechem, dając znak, że spotkanie skończone.

- Tak myślą wszyscy zdradzani mężowie - powiedział.

Do Stanów Zjednoczonych nie było trudno, zarówno przez Kanadę, jak i przez Meksyk. Istniała jeszcze trzecia możliwość.

Pozostaje na miejscu bo ma jeszcze coś do zrobienia...

Malko należał do tych, którzy uważali, że zamachy z 11 września były tylko pierwszym uderzeniem w woj nie, która nie skończyłaby się nawet wtedy, gdyby Osama ben Laden zginął.

To był dżihad przeciw Ameryce i w ogóle przeciwko „niewiernym”.

Ostatnie deklaracje ben Ladena na ten temat brzmiały jasno: będą następne zamachy. Po to, by osłabić potęgę ekonomiczną Stanów Zjednoczonych. Według tej logiki, siatka amerykańska była nieodzowna.

A zatem John Tumer nie był jednokrotnym zdrajcą, lecz potencjalnym zagrożeniem w przyszłości. A jeśli Michel Abu Rifah mógłby doprowadzić Malka do niektórych członków siatki amerykańskiej, to mógłby wśród nich znajdować się i John Tumer. Spodziewał się, że dowie się tego szybko.

Już jutro Marjorie Felder i on mieli spotkać się w więzieniu o dziewiątej.

Po to, by wreszcie porządnie przesłuchać Michela Abu Rifaha.

Malko rozmyślał, wyciągnięty na łożku. Czuł nieznośny szum w głowie. Po kolacji wstąpili do pubu na szklaneczkę. Trzeba było tam wrzeszczeć, aby rozmawiać. Pili rakiję. Piło się ją jak wodę, a uderzała do głowy mocniej niż wódka. Jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

Jeżeli John Tumer był zdrajcą, to dlaczego nie uciekał, póki jeszcze miał czas. Było kilka ewentualnych odpowiedzi.

Pierwsza - że jest niewinny. Mógł też uważać, że jest śledzony przez FBI i nie chciał wpaść w pułapkę. Możliwe, lecz mało prawdopodobne.

Taki profesjonalista jak John Tumer po trafiłby pozbyć się „ogona”.

Co więcej, uciec ze Stanów.

Więzenie nr 302 było równie ponure jak przed trzema dniami.

Sanitariusz, zadowolony z bakszyszu, przyjął ich z widocznymi oznakami szacunku. Strażniczka o wyglądzie dziwki przystąpiła do swych obowiązków. Wciąż panowało lodowate zimno.

- Jak się czuje? - spytał Malko.

- Dużo lepiej - zapewnił Albańczyk za pośrednictwem Marjorie.

-Niemał za dobrze. Proszę, już jest.

Rzeczywiście, Malko dostrzegł dwóch strażników prowadzących Michela Abu Rifaha przez dziedziniec. Jego zachowanie zmieniło się. Nie drżał, głowa mu nie opadała na pierś. Najwyraźniej detoksykacja przyniosła efekty. Wszedł pierwszy do mikroskopijnej więziennej infinnerii i przyjrzał się uważnie wszystkim. Najdłużej patrzył na Malka.

Wreszcie wskazał go palcem i spytał:

- Kto pan jesteś?

- Przychodzę od siostry Moniki - odparł Malko.

Była to nieomal prawda.

Palec więźnia wyciągnął się w kierunku Mariorie Feldec - A pani?

- Pracuję w ambasadzie amerykańskiej w Tiranie - od powiedziała.

Oczy więźnia rozbłyły dziko.

Bez ostrzeżenia rzucił się na młodą kobietę.

- Ugryzł mnie! - zawyła.

Strażnicy skoczyli na niego i szarpnęli go do tyłu. Ten jednak zacisnął zęby na jej lewym uchu i trzymał mocno, jakby chciał odgryźć kawałek.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Marjorie Felder wyła z bólu i wściekłości, kopiąc Abu Rifaha i okładając go drobnymi pięściami. Ten jednak trzymał się jej ucha niczym pitbull. Strażnicy i Malko z najwyższym trudem zdołali oderwać go wreszcie od ofiary. Jeden ze strażników uderzył go pięścią w twarz.

-Shkerdhirte!

Michel Abu Rifah w odwecie wymierzył mu kopniaka i wrzasnął - Te shkerdhifsen nene.

Wydawało się, że ma nadludzką siłę. Sanitariusz wciśnięty w kąć infinnerii, gorączkowo napełniał ogromną strzykawkę środkiem uspokajającym.

Malko powstrzymał go krzykiem: - Nie!

Gdyby jego więźnia uspiono ponownie, wszystko za częłoby się od początku. Na szczęście

jeden ze strażników zdołał powalić go ciosem w kark, rzucając na leżankę w głębi pomieszczenia.

Marjorie schowała się za plecami sanitariusza, przyciskając dłonie do okrwawionego ucha.

- Ty skurwielu! Psie! Kurwa, twa jebana mać!

Więzień, obezwładniony przez strażników, oddychał ciężko, wpatrując się z nienawiścią to w Marjorie, to w Malka.

Ten przez chwilę pozwolił mu na to, po czym zapytał:

- Czemu zaatakował pan tę kobietę?

Więzień szarpnął się.

-Fuckyou!

- Mówiłem panu, że bywał już niebezpieczny - zauważył sanitariusz, wciąż ściskając w dłoni strzykawkę. - Niech mi pan pozwoli go uspokoić.

Pośpi ze trzy dni...

Nie o to chodziło. Za wszelką cenę należało rozmawiać. Od czasu spotkania z Fatosem Kłosi Malko był przekonany, że człowiek stojący przed nimi jest w posiadaniu wyjątkowo cennych informacji.

Zbliżył się do niego i pochylił. Jego twarz znalazła się o parę centymetrów od Abu Rifaha.

- Michel - powiedział dobitnie - ma pan bardzo prosty wybór: Jeżeli dalej będzie się pan tak zachowywał, od prowadzą pana do celi i wiadomo, co się stanie. Będą szprycować pana do śmierci, tak długo, aż któregoś pięknego dnia już się pan nie obudzi. Nikt panu nie pomoże. Zdechnie pan tu jak szczur. Oum Hafsa nie żyje, nie będzie już więcej pieniędzy.

Wyraz twarzy Michela Abu Rifaha zmieniła się w jednej chwili.

Jego oczy wypełniły się łzami.

- Czy to prawda? - zapytał drżącym głosem. - Nie żyje?

Skąd to pan wie?

- Wypadek - wyjaśnił Malko. - Przejechał ją autobus w Nowym Jorku.

Wiem, że była pana jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym, no i siostra Monika, bo pana rodzina w ogóle nie dała znaku życia. Tak samo ci, którzy wysłali pana do Afganistanu, a następnie tutaj. Jak Abu Hamza.

Michel Abu Rifah milczał. Malko mówił więc dalej.

- Pana przyjaciele, fundamentaliści, ci, którzy wysłali pana na dżihad...

Dali jakiś znak życia? Przysyłali panu pieniądze? Z wyjątkiem April Fawrup, czy też może Oum Hafsa?

Młody człowiek uniósł głowę.

Tylko imię Oum Hafsa wywoływało w nim jakąś reakcję.

- Skąd pan wie, że nie żyje? Skąd pan ją zna?

Siostra Monika mówiła panu o niej?

- Nie. Byłem przy jej śmierci. Ale to długa historia.

- Kim pan jest i czemu jest pan tutaj?

Więzień wydawał się być spokojny, za wyjątkiem szaleńczych błysków, jakie pojawiały się czasami w jego oczach.

Marjorie, siedząc w przeciwległym kącie infirmerii z ogromnym opatrunkiem na uchu, popatrywała nań z wściekłością.

Malko zrozumiał, że nie ma co udawać.

- Nazywam się Malko Linge - powiedział. - Jestem Austriakiem, ale pracuję dla CIA. Amerykanie nic do pana nie mają, ale przypadkiem jest pan w posiadaniu informacji, na których im zależy. Jestem upoważniony do złożenia panu propozycji: jeśli zgodzi się pan współpracować, zapłacą panu, oczywiście jakąś rozsądną kwotę. Ambasada amerykańska w Tiranie wynajmie do bregu adwokata, który zajmie się pana sprawą. Jeśli nie będzie możliwe przeniesienie pana do Francji, zadbamy, żeby resztę kary odsiedział pan w ludzkich warunkach. Konsul Francji może potwierdzić, że to najwięcej, co możemy zrobić.

Więzień słuchał uważnie.

Marjorie Felder, gdy usłyszała propozycję, wrzasnęła ze swojego miejsca:

- Lepiej niech zdycha tutaj!

- Dlaczego zaatakował pan tę kobietę?- zapytał Malko.

- Nic panu nie zrobiła.

- Nienawidzę wszystkich śmierdzących jankesów wymamrotał Abu Rifah.

- Jakiego kurewstwa oczekuje pan ode mnie w zamian za to wszystko?

- Żadnego kurewstwa - sprostował Malko.

- Potrzebuje informacji, które pozwolą uniknąć takich zdarzeń jak zamachy z 11 września. Słyszał pan o tym?

- Cokolwiek... Skąd mam mieć pewność, że mnie nie wyrolujecie?

- Ma pan moje słowo. Nigdy nikogo nie zdradziłem.

Michel Abu Rifah nagle się rozpląkał. Płakał długo z twarzą ukrytą w dłoniach. Jego ramiona się trzęsły w spazmatycznym szlochu.

Strażnicy, zaskoczeni, odstępili od niego.

Kiedy podniósł głowę, jego podbródek jeszcze drżał,

- Muszę się zgodzić - powiedział łamiącym się głosem. - Inaczej wkrótce tu zdechnę. Mam nadzieję, że nie wydupczy mnie pan bez mydła...

- Nikt dotąd nie mógł mi zarzucić takiej rzeczy uśmiechnął się Malko.

- Przede wszystkim jednak powinien pan przeprosić tę panią. Nastraszył ją pan. I poranił.

Pierwszy test.

Michel Abu Rifah wahał się tylko kilka sekund.

- Proszę mi wybaczyć - wyszeptał ochryple.

Marjorie Felder rzuciła mu ponure spojrzenie w odpowiedzi. Nie umiała prowadzić podwójnej gry. Malko nie dbał o to.

Usiadł na taborecie naprzeciwko więźnia i gestem nakazał strażnikom, by się oddalili. Sanitariusz odłożył strzykawkę rozczarowany.

Michel Abu Rifah zapytał niespokojnie:

- Ona naprawdę nie żyje?

- Tak. Skąd pan ją znał?

- Spotkałem ją w Jalalabadzie. Mieszkała w hotelu Sprinhar z przyjacielem. Przyjechała do Afganistanu z jakąś organizacją pozarządową i tam całkiem się zmieniła, nawróciła na islam. Walczyła z ludźmi Massuda wspólnie ze swoim facetem, a w Jalalabadzie była „na przepustce”.

- A pan co robił w Jalalabadzie?

- Różnie. Byłem w obozie treningowym niedaleko Khost i Ishtir Barat dawał nam czasem jakieś zadania. Nic tam nie było: ani alkoholu, ani kobiet. Można było tylko się przyglądać, jak pieprzą się wielbłądy. Ale one wyglądają tak smutno, kiedy się pieprzą... Sympatyzowałem z Oum Hafsa, bo mówiła po francusku, jej matka pochodziła z Kanady. To była poważna dziewczyna, zaanga zowana bez reszty. Potem, jak przyjechałem tutaj bić się w Kosowie - nadal byliśmy w kontakcie.

-Jak?

- Internet. Wiedziała wszystko o moim procesie i kiedy mnie skazali, napisała mi, że o mnie nie zapomni. Dotrzymała słowa. Bez niej bym nie przeżył. Tutaj jest piekło. Dzięki tym dwudziestu dolarom mogłem kupować owoce, papierosy, ser...

- Nadal będzie pan dostawał te dwadzieścia dolarów.

- Dziękuję - rzucił więzień półgębkiem.

- Podczas przesłuchania przez SHIK mówił pan o ludziach, którzy byli razem z panem w obozie treningowym. Chińczycy i Amerykanie.

Chciałbym wiedzieć coś więcej. Najpierw o Chińczykach.

- Tych było najwięcej, prawie połowa obsady obozu.

Ujgurzy. Czasem zdarzył się jakiś, co znał parę słów po angielsku. Młodzi, bardzo zdyscyplinowani i zmotywowani. Kiedy tylko nauczyli się podstaw: lekkie uzbrojenie, RPG 7, materiały wybuchowe, proste bomby - wracali do siebie, do kraju. Nauczyłem się od nich nieco chińskiego. Służby wywiadowcze talibów.

- A Amerykanie?

-Tych było mniej.

- Biali?

- Tak, za wyjątkiem jednego, wielkiego jak gracz w koszykówkę. Wcześniej był w Czarnych Panterach i nawrócił się na islam.

Cholernie gwałtowny. Talibowie wykorzystywali go przy egzekucjach więźniów. Brał takiego za głowę i ukręcał ją, jak kurczakowi.

Wszystkich to bardzo bawiło...

- Jak się nazywał?

- Nie wiem. Kazał na siebie mówić „Black Knight”. Nigdy nie poznałem jego prawdziwego nazwiska. Był bardzo nieufny. Mówił, że wszyscy biali to świnie. Był z nami trzy miesiące, a potem

wyjechał.

- Dokąd?

- Do Ameryki. Myślę, że do Nowego Jorku, ale nie wiem na pewno.

Nigdy się z nim nie przyjaźniłem.

- A inni Amerykanie?

- Ci byli OK.

Tylko oni nie pochodzili z krajów arabskich, więc to nas zbliżało.

- Miał pan tam jakiegoś bliższego przyjaciela?

- Tak, Philipa. Jego islamskie imię to Abu Suleyman. Nawrócił się na islam w wieku szesnastu lat za zgodą rodziców. Dużo czytał. Potem wyjechał ze Stanów do Jemenu. Studiował w Yemeni Language Institute. Chciał nauczyć się Koranu na pamięć. Stamtąd trafił do Pakistanu. Uczył się w medresie zanim nie został wysłany do Afganistanu. Przebywał jakiś czas wśród talibów, ale nie czuł się z nimi dobrze. Byli zbyt prymitywni.

Wtedy związał się z al Kaidą i z całym entuzjazmem poświęcił się dżihadowi. Spotkał mistrza...

- Osamę ben Ladena?

- Czarny Rycerz - Tak mi mówił. Zrobił na nim wielkie wrażenie...

Kie dyś w Jalalabadzie powiedział mi, że jego największym marzeniem jest zostać męczennikiem dżihadu.

- W Afganistanie?

- Nie, tam już nie ma miejsca na dżihad, tam już jest islamski emirat.

Może jedyny prawdziwy... On chciał, by cały świat stał się muzułmański.

Jeszcze jeden posiadacz prawdy objawionej...

- Kiedy pan wyjechał z Afganistanu w 1998 roku, on tam jeszcze był?

- Tak, dalej się szkolił wojskowo. Koniecznie chciał dołączyć do mudżahedinów w Kaszmirze.

- I co?

- Nic. Nie chcieli go i wrócił do Stanów Zjednoczonych.

Zapraszał mnie do siebie...

- Co robi w Stanach?

- Tego nie wiem. Odkąd jestem w tym pierdłu, nic do mnie nie dociera.

Ma pan ogień?

Wyciągnął papierosy z kieszeni. Malko przypalił mu jednego stalową zapalniczką marki Zippo. Abu Rifah za ciągnął się kilka razy z nieobecną miną, zbladł i wsparł się czołem o dłoń.

- Nie czuję się za dobrze, boli mnie głowa. To przez te wszystkie świństwa, które mi podawali. Może pan przyjść jutro?

- Oczywiście. Ale najpierw, zanim pan pójdzie, chciałbym wiedzieć jeszcze jedno. Czy wie pan, gdzie teraz przebywa pana przyjaciel Philip?

- Tak - powiedział więzień, wstając.

Strażnicy stanęli obok niego i ujęli pod ramiona.

Malko zrozumiał, że dzisiaj niczego więcej już z niego nie wyciągnie.

Marjorie czekała na wartowni pod obstrzałem lubieżnych spojrzeń strażników.

- Dowiedział się pan czegoś interesującego od tego łajdaka?

- spytała.

- To się dopiero zaczyna. Jak tam pani ucho?

- Potwornie mnie boli. Muszę chyba pójść do lekarza...

Powinien go pan tu zostawić, niech zdycha.

Malko nie odpowiedział. Jeżeli udałoby mu się odnaleźć Philipa, mógłby dotrzeć do siatki al Kaidy w Stanach Zjednoczonych. A nawet do samego Johna Tumera, gdyż, jeśli rzeczywiście był winny, to z pewnością był związany z innymi Amerykanami zaangażowanymi w dżihad.

John Tumer wyszedł z budki telefonicznej przy Dziewiętnastej Ulicy, dwa kroki od swojego biura. Czuł ucisk w żołądku. Rozważał informacje, które właśnie otrzymał. Dzięki artykułowi z New York Timesa znał nazwisko mężczyzny, który towarzyszył Pamelii tego wieczora, gdy została zamordowana. Nie potrzebował zbyt wiele czasu, aby ustalić jego numer telefonu. Wystarczyło pogadać z kolegami w kantine, zwłaszcza, że ostatnio nie rozma wiano o niczym innym. Wszyscy znali Malka, bądź co bądź jedyne go austriackiego księcia, jaki pracował dla CIA, i o którym wiadano, że ma zamek w wiosce Liezen, w Austrii. Zadzwoił.

Uroczy i lekko zdyszany głos kobiecy oznajmił, że Malko jest w tej chwili w Albanii i że można go znaleźć w hotelu Rogner, w Tiranie.

John Tumer wrócił do biura z zamętem w głowie. Albania!

Ta podróż, nie mogła być zbiegiem okoliczności.

Oum Hafsa mówiła mu kiedyś o pewnym mudzahedinie pochodzenia francuskiego, którego poznała w Afganistanie i który gnił teraz w więzieniu w Tiranie. Posyłała mu regularnie niewielkie kwoty... Ten chłopak był w kontakcie z innymi członkami siatki ben Ladena w Ameryce.

John Tumer nie miał pojęcia, ile tamten wie, ale zdawał sobie sprawę, że stanowi on potencjalne niebezpieczeństwo. Byłoby fatalnie, gdyby się posypał. Zwłaszcza teraz.

John Tumer po chwili nieco się uspokoił. Sprawy nie układały się aż tak źle. Jutro wybierał się do Nowego Jorku na pogrzeb Pameli Chamberlain. Oczywiście, było bardzo prawdopodobne, że CIA będzie go śledzić, ale z tym umiał sobie poradzić. Tyle, że nie był pewny, czy w grze nie bierze udziału i FBI. Gdyby Biuro interweniowało, w całej Agencji rozległby się zew bojowy. Nie wiedział, co bardziej mu odpowiada. CIA wolało prać swoje brudy we własnym domu.

Michel Abu Rifah wyglądał prawie dobrze, trzymał się prosto i jego wzrok nie był już mętny.

Popatrywał nawet lubieżnie na Marjorie Felder, która, mimo silnego bólu ucha, uparła się wrócić do więzienia. Siedział spokojnie na leżance i zaciągnął się papierosem, zapaliwszy go przed chwilą srebrzystą Zippo Malka.

- A więc na czym stoimy? - zapytał.

Malko nie tracił czasu.

- Potrzebuję jednej informacji: jak znaleźć Philipa. Je go adresu i przede wszystkim prawdziwego nazwiska. I nazwisk innych Amerykanów, którzy byli w obozie. I dokąd wyjechali. A propos, nie zetknął się pan z Amerykaninem wysokiego wzrostu, około pięćdziesiątki, brunet, raczej przystojny? Nazywa się John Tumer.

Więzień zastanawiał się przez chwilę.

-Nie.

- A Philip, gdzie on jest?

- Co z nim chcecie zrobić?

Wyraz jego twarzy zmienił się.

Malko po raz kolejny przekonał się, że nie jest zdolny do kłamstwa.

- To zależy. Jeśli prowadzi spokojne życie w Stanach - nic.

Ale jeśli jest uwikłany w jakąś przestępczą działalność - to już co innego.

Michel Abu Rifah zaśmiał się ironicznie.

- To, co wy nazywacie przestępczą działalnością, to dżihad, co?

Według tego, co wiem o Philipie, to na pewno właśnie to robi.

- Mógł brać udział w zamachach z 11 września?

- Nie w samolotach - ironiczny uśmiech nie schodził mu z twarzy.

- Wiedzielibyście. Ale inaczej, dlaczego nie?

Zawsze pragnął czegoś takiego.

Malko potrząsnął głową.

Jak dotąd, a minęło już ponad trzy miesiące od zamachów, w których zginęło ponad 3000 ludzi, pomimo przeczesania całego świata, FBI zidentyfikowało dotąd tylko jednego członka al Kaidy, nie licząc tych, którzy zginęli w samolotach. Zbliżała się chwila prawdy.

- Czekam na odpowiedź.

Michel Abu Rifah zaciągnął się głęboko dymem i rzucił gniewnie:

- Wystawi go pan glinom. Albo sam załatwi. A ja miałbym być kapusiem!

Malko nie zdementował tego oskarżenia.

- Złożyłem ofertę - powiedział zimno. - Może pan odmówić.

- Chcę stąd wyjść. Niech przestaną mnie traktować jak ostatniego śmierzdźla.

- Wie pan, że to nie leży w mojej mocy. Nie możemy rozkazywać rządowi albańskiemu. Jednak, z wyjątkiem tego, zrobię wszystko, co możliwe.

Niech pan zwróci uwagę: ludzie z al Kaidy pana porzucili...

- Tak, ale to byłoby draństwo, tak zdradzić Philipa. Mogą go zamknąć w pierdlu na resztę życia. Albo gorzej. Jankesi są do wszystkiego zdolni.

- Albo on, albo pan - zauważył Malko.

Nie zapominał, że człowiek, który stoi przed nim, jest mordercą.

Zapanowała cisza. Przerwa zdawała się ciągnąć w nie skończoność.

Michel Abu Rifah szarpał włosy swojej brody i wpatrywał się w podłogę.

Wreszcie podniósł głowę, a z jego spojrzenia Malko wywnioskował, że nie pójdzie łatwo. Więzień wiedział, że zdradzając tę informację, oddaje się w ręce Malka. Chciał zapewne wytargować jak najwięcej.

Z kolei Malko, nawet korzystając ze wszystkich możliwości CIA, nie mógł ułatwić mu ucieczki z pilnie strzeżonego więzienia o zastrzyżonym rygorze.

- OK - stwierdził Abu Rifah. - Zgadza się wydać mojego kumpla.

Lecz potrzebuję czegoś więcej, małej premii.

- Jeżeli premia jest naprawdę mała... O co chodzi?

Młody człowiek wskazał palcem na Marjorie Felder.

- Chcę tej małej kurewki! - powiedział stanowczo.

- Chcę ją pieprzyć we wszystkie jej dziurki. Jeśli nie, to trudno, zdechnę, ale wy nie dowiedziecie się, gdzie jest mój kumpel Philip. A najwyraźniej bardzo wam na tym zależy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Marjorie Felder wrzasnęła obelżywie. Zdawało się, że skoczy do gardła Abu Rifaha. Ten z kolei popatrzył na nią z pożądaniem, dotykając lepkiem wzrokiem jej ud i krocza. Albańczycy przysunęli się do niego, zaintrygowani, choć nie rozumieli treści rozmowy.

- Niech pan powie temu łajdakowi, że jeśli się do mnie zbliży, wydrapię mu oczy!

Więzień zarechotał drwiąco.

- Już trzy lata, jak nie bzykałem. Nie rozczarujesz się, kotku.

Po wszystkim trzeba będzie obłożyć twoją cipkę lodem.

Nie była to dżentelmeńska propozycja.

Malko ograniczył się jednak do chłodnej uwagi:

- To, o co pan prosi, jest absolutnie niemożliwe i dobrze pan o tym wie.

Marjorie Felder, szalejąc z wściekłości, ruszyła do drzwi i wybiegła na zewnątrz, trzaskając nimi z całej siły.

Spojrzał na Malka ponuro i powiedział opanowanym głosem:

- Niech pan słucha, nawet jeśli mi pomożecie, będę tutaj musiał gnić jeszcze długo. Więc muszę mieć jakiś mały drobiazg natychmiast. Chcę bzykać przez całą noc, w prawdziwym łóżku, gdzieś, gdzie jest naprawdę ciepło. I ma być szampan, dziwka jak należy, wypindrzona, pachnąca.

To nie podlega negocjacom. Jeśli nie, to spierdalajcie.

- Ale gdzie zamierza pan to robić?

Więzień spojrzał na niego złośliwie.

- No, nie w celi, to oczywiste. Tam jest nas siedmiu, gotowi ją przenicować. Oni także od dawna nie mieli do czynienia z żadnym kawałkiem mięska...

Wstał.

- Dokąd pan idzie? - spytał Malko.

- Do mojej pięknej celi. Niech pan nie zapomni przyjść następnym razem z piękną dziwką. Tamtą bądź ja kákolwiek inną.

Ruszył przed siebie tak szybko, że strażnikom udało się go dogonić dopiero na dziedzińcu. Nie odwrócił się ani razu.

Malko tymczasem poszedł na wartownię.

Michel Abu Rifah nie poddawał się...

Ser i owoce podziały aż nazbyt dobrze.

Marjorie Felder, oczekująca go na wartowni, nieomal eksplodowała:

- Puścił go pan wolno! Takiego łajdaka!

- Nie puściłem go wolno - uśmiechnął się czarująco.

- Niestety, bezwzględnie muszę wyciągnąć z niego pewną informację.

Zależy od tego bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych.

Marjorie znieruchomiała, patrząc na niego z przerażeniem.

- Nie chce pan chyba powiedzieć, że mam się oddać takiemu...

takiemu... - szukała słowa ciężko dysząc - such creep!

Takiemu zwierzakowi!

- Prawdę mówiąc, bardzo mu się pani podoba - stwierdził Malko.

- Jednak zgodził się zadowolić kim innym.

- Co za łaskawość! - zadrwiła Marjorie.

- Trzeba poprosić szefa SHIK, by pozwolili mu wyjść stąd na kilka godzin pod dobrą strażą i znaleźć mu jakąś profesjonalistkę, której się zapłaci.

- To może być trudne - powiedziała Marjorie, nieco uspokojona.

- W Tiranie prawie nie ma dziwek.

Zaskoczony Malko nie mógł się powstrzymać.

- Przecież albańskie dziwki można spotkać w całej Europie!

- Oczywiście. To jest towar eksportowy. Spróbuję jednak pogadać z pewnym właścicielem pubu. To mój znajomy.

Patronuje kilku cali girls. Nie jestem jednak pewną czy Albańczycy zgodzą się wypuścić go z więzienia, nawet na kilka godzin.

- Zrobię wszystko, żeby ich przekonać - zapewnił Malko.

W razie potrzeby może interweniować Frank Capistrano.

Nikt w całej Albanii nie odrzuci prośby doradcy prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Mała kaplica św Pawła na samym końcu Broadwai i niezbyt daleko od ground zero - miejsca, gdzie stały bliźniacze wieże - była tak wypełniona, że wielu uczestników ceremonii pogrzebowej musiało stać na zewnątrz pomimo przenikliwego chłodu. John Tumer próbował rozpoznać w tłoku ewentualnych agentów FBI, ale było to prawie niemożliwe. Większość obecnych stanowili mężczyźni. Panowało lodowate zimno i wszyscy kulili się w swoich płaszczach. Ceremonia dobiegała końca. Później Pamela Chamberlain miała być pochowana na małym cmentarzu przylegającym do kaplicy, jednym z najelegantszych w Nowym Jorku. John Tumer stanął przed trumną, zaczerpnął święconej wody, zrobił znak krzyża i skierował się do wyjścia. Czujny, rozglądając się dookoła, ruszył przed siebie Broadwayem.

Minał cztery przecznice i na rogu Murra Hill zszedł do metra. Pociąg akurat nadjechał. Wszedł do wagonu, odczekał chwilę i wyskoczył w momencie, kiedy skład ruszał. Przez chwilę sprawdzał,

czy jest sam, po czym przeszedł na przeciwległy peron i wszedł do pociągu jadącego w kierunku północnym. Wsiadł na następnym przystanku, wybiegł na ulicę i czekał chwilę przy wyjściu. Nie działo się nic podejrzanego. Przywołał taksówkę i kazał wieźć się do hotelu Marquis przy Czterdziestej drugiej Ulicy. Kiedy przybył na miejsce, zapłacił, wszedł do hotelu zajmującego jeden z rogów Times Square, wszedł do windy i wysiadł, i wyszedł przeciwległym wyjściem na Czterdziestą trzecią Ulicę. Ruszył piechotą w kierunku Siódmej Alei. Nikt go nie śledził. Dziesięć minut później wszedł do małego hallu w Mansfield Hotel, przy Czterdziestej czwartej Zachodniej Ulicy. Wszedł na trzecie piętro i zapukał do drzwi z numerem 324. Otworzył mu wysoki mężczyzna z grubym nosem i wylupiastymi oczyma, z długimi włosami ściągniętymi opaską. Ubrany był w gruby sweter, podarte džinsy i adidas. Uścisnęli się bez słowa.

- Wszystko w porządku, Jamal?
- zapytał John Tumer.
- OK, OK, wszystko będzie gotowe dziś wieczór.

Za raz potem wyjeżdżam.

John Tumer popatrzył na niego uważnie.

- A ty - zapytał z naciskiem - czy ty wewnętrznie jesteś gotowy?

Mężczyzna nazwany Jamalem kiwnął głową twierdząco.

- Tak. Modliłem się długo i wiem, że Allah ma mnie w swojej opiece i zgadza się na to, co mam uczynić.

Obaj spotkali się pierwszy raz w Afganistanie, w tajnym obozie al Kaidy. John Tumer został przedstawiony grupie Wojowników Wiary, gotowych poświęcić swoje życie. Osama ben Laden wytłumaczył im swoim obozwardniającym głosem, że pewnie już więcej się nie zobaczą, ale po winni słuchać jak jego samego człowieka, którego teraz im prezentuje. I że rozkazy przyjdą później. Albo nigdy. Niemniej jednak powinni być zawsze gotowi. Jamal, którego prawdziwe nazwisko brzmiało John Reed, był pół Anglikiem, pół Jamajczykiem. Ta dwoistość niezbyt mu odpowiadała. Dopiero gdy całym sercem nawrócił się na islam, odzyskał pewną równowagę! Dużo podróżował, wykonując skromne, lecz użyteczne zadania. Wchodził w samą paszczę lwa w Izraelu i doprowadzał do białej gorączki izraelskie służby specjalne, co dowodziło niezłego wyszkolenia.

Sprawiał wrażenie głupka, opóźnionego w rozwoju - i znakomicie to wykorzystywał.

John Tumer wręczył mu kopertę.

- Trzy tysiące dolarów. Powinno wystarczyć.
- Wystarczy - odpowiedział Jamal.

Żył oszczędnie. Mieszkał w najtańszych hotelach w podróży wybierał zawsze economic class i

nie wydawał zbyt wiele na ubranie. Satysfakcji dostarczało mu same wypełnianie misji. Gulbuddina al-Rashida zabił z poczuciem wewnętrznej radości. Teraz żądano od niego czegoś o wiele trudniejszego, ale był szczęśliwy, mimo iż wiedział, co go czeka.

John Tumer dyskretnie spojrzął na zegarek.

Musiał zdążyć na pociąg do Waszyngtonu.

- Niech błogosławieństwo Allacha będzie z tobą, bracie - powiedział.

- Niech nad tobą czuwa.

-Allah akbar! - odpowiedział jak echo Jamal.

- Niech i ciebie Allah wspiera, bracie. Niech cię prowadzi.

Na myśl by mu nie przyszło, że John Tumer jest kompletnym ateistą że Allah tu nie ma nic do rzeczy, że wszystko jest dla niego tylko grą, w której rozdaje karty i czerpie satysfakcję z faktu, że należy do kręgu najściślej wtajemniczonych.

Jeszcze raz się uścisnęli i John Tumer wyszedł.

Na ulicy zapadła już noc. Szybkim krokiem skierował się na Penn Station.

Dopiero w pociągu swobodnie oddał się rozmyśleniom nad własną sytuacją. Był pewny, że śledztwo prowadzone w jego sprawie nie ma oficjalnego charakteru. A zatem FBI nie jest zaan gażowane.

Agent w Albanii nie działał na polecenie Langley. Raczej Białego Domu. To, co odkryje, z pewnością zachowa aż do powrotu do Waszyngtonu.

Ważne więc, aby nie wrócił.

John Tumer skontaktował się z Jamalem poprzez sieć, korzystając z kawiarenek internetowych. Ten sposób był najbezpieczniejszy. Później rozmawiali z dwóch budek telefonicznych, doprecyzowując szczegóły operacji oraz miejsce ich jedyne spotkanie.

John Tumer zanadto się spieszył, by postępować inaczej.

W skrytce na Penn Station trzymał walizkę, w której mieścił się jego „fundusz wojenny”. Zaczepnął z niego trochę, by wspomóc młodego mudzahedina. Teraz wracał, nie pozostawivszy za sobą żadnych śladów.

Musiał jeszcze tylko poczekać kilka tygodni. Dwa albo więcej.

Potem zerwie wszelkie kontakty z al Kaidą i zostanie „spiochem”, na miesiące lub lata. Jeśli go nie odkryją teraz, wraz z upływem czasu będą mieli na to coraz mniej szans. Nie wiedział, czy Osama

ben Laden - Szejk - żyje, ale to nie miało już żadnego znaczenia.

Był wierny tylko sobie. Instynkt samozachowawczy nakazywał mu żyć dalej. Choć, z drugiej strony, bardzo pragnął, by cały świat dowiedział się, co zrobił.

Ogłuszająca muzyka zaatakowała ich z miejsca, ledwie tylko przekroczyli próg Murphys, jednego z niezliczonych pubów w Tiranie.

Było to długie i wąskie pomieszczenie z telewizorem zawieszonym ponad barem i rzędem stolików pod ścianą. Właściciel, zwalisty wąsacz wesoło pozdrowił Marjorie i Malka, kiedy sadowili się przy barze.

Marjorie zamówiła Defendera, a Malko wódkę.

Po chwili Marjorie ześlizgnęła się z taboretu i poszła porozmawiać z właścicielem. Kiedy wróciła, wyglądała na zadowoloną.

- Yuli znajdzie nam to, czego potrzebujemy.

Włoszki. Sofia. Bardzo ładna dziewczyna. Mieszka parę kroków stąd.

Zgodziła się, ale to będzie kosztować.

- Włoszka? - zdziwił się Malko.

Marjorie wzruszyła ramionami,

- Mówiłam panu, że nie ma Albanek. Sofia pracuje na telefon i jest bardzo dyskretna i, jak się zdaje, bardzo piękna.

Zamilkli, ogłuszeni przez muzykę, uniemożliwiając jakąkolwiek konwersację.

Kwadrans później w drzwiach Murphys pojawiła się wspaniała brunetka około czterdziestki, w futrze, z jaskrawoczerwonymi paznokciami i w botkach na wysokich obcasach. Barman wyszedł jej na spotkanie i poprowadził do stolika w głębi, gdzie czekali Malko i Marjorie.

- Napije się pani czegoś? - zapytał Malko.

- Tak, szampana.

Zamówił i barman przyniósł butelkę Tattingera.

Marjorie była tu najwyraźniej znana i szanowana.

Gdyby nie pewna twardość spojrzenia Sofia mogłaby być uważana za byłą modelkę lub damę z towarzystwa. Mówiła po angielsku i po albańsku, oczywiście także po włosku, a zatem rozmowa mogła toczyć się bez żadnych przeszkód.

Malko wyjaśnił, czego od niej oczekuje.

Wysłuchała, po czym wyjęła z torebki papierosy. Malko wyciągnął ku niej rękę uzbrojoną w zapalniczkę Zippo.

- Gdzie to będzie? - spytała.

- Sądzę, że w hotelu, naprzeciwko więzienia.

- Ten więzień... Czy to aby nie jakiś psychol?

Nie udusi mnie?

- Nie. Zresztą, wszędzie będą policjanci.

- Kiedy to ma być?

- Jak najszybciej. Jak tylko uzyskamy zgodę na wypuszczenie go z więzienia.

- Va bene. To będzie kosztować tysiąc dolarów.

Marjorie Felder aż podskoczyła.

- Drogo.

Sofia spojrzała na nią pogardliwie.

- Cara, jeżeli za drogo, to możesz mnie zastąpić...

Po czym zwróciła się w stronę Malka i powiedziała, uśmiechając się słodko:

- W pana przypadku, gdyby chciał mnie pan wypróbować, będzie taniej...

Rozchyliła futro, ukazując pełne piersi, rysujące się wyraźnie pod obcisłym sweterkiem i długie nogi w botkach za kolana. Spojrzała na Malka w niedwuznaczny sposób. Malko pomyślał, że ujrzawszy ją w barze hotelowym, próbowaliby z pewnością ją poderwać.

Nie wyglądała na dziwkę bardziej niż większość kobiet na tym świecie.

- Dziękuję - powiedział.

- Powiadomię panią, kiedy już będziemy mieli zielone światło.

Zanotował numer jej komórki i kobieta opuściła lokal.

John Reed pojawił się przy terminalu American Airlines na długo przed odlotem. Jego długie włosy, niedbały strój i półorientalne rysy nie budziły zaufania, ale poza krótkim sprawdzeniem paszportu - który był autentyczny - i przetrząśnięciem bagażu, nie został poddany żadnej szczegółowej

kontroli. Odebrał torbę, w której znajdowały się wszystkie jego rzeczy i nonszalanckim krokiem skierował się do wyjścia na pokład.

Leciał do Rzymu a stamtąd do Tirany. Ze słuchawkami na uszach zajął miejsce w tylnej części boeinga. Zaraz po starcie pogрузzył się w lekturze Koranu. Czuł, że nareszcie odnalazł swoje miejsce w świecie.

Był pewny, że znajduje się na właściwej drodze. Kilka miesięcy spędzonych w pakistańskiej medresie przekonało go o tym. Zawsze miał mistyczne skłonności. Kiedy samolot osiągnął odpowiednią prędkość, wstał i ruszył do toalety. Tam zdjął adidas i obejrzał je uważnie.

Kilka godzin wcześniej kupił je w butik na Brookly nie.

Miały nieco grubszą podeszwę niż powinny, ale nikt nie zwrócił na to uwagi podczas kontroli. Aparatura wykrywająca również nie zareagowała.

John Reed końcami paznokci wydlubał spod podeszwy cienką nić. Był to lont Bickforda, wolnotłący, który kończył się niewielkim detonatorem własnej roboty, wciśniętym w kostkę materiału wybuchowego wypełniającego wnętrze obcasa. Trochę więcej niż sto gramów...

W drugim obcasie był identyczny ładunek. Wystarczyło oba buty włożyć razem do torby i powstawała bomba o niezbyt dużej mocy, ale wystarczającej, by zabić każdego w promieniu kilku metrów.

Również jego, ale to było wliczone do rachunku. Miał zostać chalidem, męczennikiem, któremu Bóg ofiaruje wieczną szczęśliwość. Włożył ponownie buty i wrócił na miejsce, rozmyślając o tym, co go czeka.

Jego nauczyciele zapewniali go, że odczuje tylko silny szok i błysk światła. Żadnych cierpień fizycznych. Potrzeba tylko niezłomnej woli przez tę krótką chwilę, kiedy będą płonąć lonty. Ma wówczas powtarzać:

„Nie ma Boga oprócz Boga, a Mahomet jest prorokiem Jego”.

Chciał, by jak najprędzej nastąpił ten błogosławiony moment. Jego ojciec nareszcie byłby z niego dumny. Z tą myślą zasnął trzydzieści tysięcy stóp nad Atlantykiem.

Ulica Minę Plaża z pozoru wyglądała normalnie, jednak w pobliżu więzienia numer 302 zastawiona była samochodami pełnymi uzbrojonych agentów SHIK, którzy kontrolowali wszystkich przechodniów i przejeżdżające samochody. Było to konieczne, gdyż Fatos Kłosi zagwarantował administracji więzienia, że nie zdarzy się nic nieprzewidzianego w czasie, gdy Michel Abu Rifah zostanie na kilka godzin wypuszczony z więzienia.

Od czasu aresztowań w 1998 roku al Kaida odbudowała swoją siatkę w Albanii. Próba odbicia więźnia nie była nieprawdopodobna.

Malko wysiadł z dżipa Marjorie Felder i wszedł do hotelu Kruja. W hallu było pełno

strażników więziennych i policjantów w cywilu.

- Wyjdzie za kilka minut - powiedział dowódca strażników do Marjorie.

- Dziewczyna jest w pokoju 112, na pierwszym piętrze.

Dwa sąsiednie pokoje zajmują nasi ludzie.

Malko wszedł na pierwsze piętro i zapukał do drzwi. Sofia otworzyła mu natychmiast. Twarz miała napiętą, lecz rozluźniła się na jego widok.

- Myślałam, że to on! - wyjaśniła.

Jej futro leżało na krześle. Ubrana była w czarny sweterek z trójkątnym dekoltem, długą spódnicę rozciętą po „okach, botki... Była dość agresywnie umalowana. W po koju unosił się mocny aromat perfum.

Przez jedno z rozcięć jej spódnicy Malko dojrzał białą skórę nad lśniącym czarnym nylonem pończochy.

militel^Taittingera i napełniała kieliszki.

Opróż)liijtiliyiiliaustem, -(Itnl - pokręcił głową.

- Ale dobre.

Jeszcze.

yiiiteś mu ponownie szampana, zbliżył się do litjitailliiiEwsun^dlonwrozcięciejej spódnicy.

PalB;ta't o podwiązkę i zarechotał aprobująco.

- te się na rzeczy, założyłaś pończochy.

Kurwa, j ak te;śiv 10 poczuć... Ściągaj.

ł' AA gdy opróżnia) kieliszek, rozpięta suwak spo in liira zsunęła się na podłogę.

Była już w takiej sy iBJistttmzy, ale czuła się nieswojo w towarzystwie tejiaillia, rozpalonego niemal do białości.

Michel Atou llifil Kliinalnie potarł dłonią o podbrzusze, potęgując Ali.

Sofia zmusiła się do uśmiechu.

-Bite; mógł mnie mieć, ile zechcesz powiedz!

ali-Itl(dzie najpiękniejsze wspomnienie twojego życia).

te, jestem bardzo dobra.

Il[adajac, zaczął gwałtownie miętosić jej [Bil - lnabocBo!-krzyknęła.

-Odi) bądź.

kurwo!

H jtj piersi i zaczął się rozbierać.

Zdjął bluzę, ililtiipofanilkę, ukazując tors biały jak ściana.

I3ył Ul;tłudzony, że można było mu policzyć wszystkie Ł Kej jak oszalały rozpiął pasek i jego spodnie łhiaemię, Pozostał tylko w sandałach i skarpetach iairtjHliiy, lego członek, sterczący poziomo, zdawał sitlihieniał monstrualny ze względu na szczupłość ilttiA Oddychał coraz szybciej.

Podszedł do Sofii iipirliHabiodrami.

Zrozumiała, że nie może już wyta Odsunęła się.

-Maj - powiedziała.

- Przyniosłam prezei”wa” ‘,rhfi\3noci - pończoitf isniąco czarnym nylonem pończochy.

W pomieszczeniu było nieomal za gorąco a^6”03;” ,,,,00” ‘ „^ bie życzył Michel Abu Rifah.

Butelka Taittir-iilliET1” „:”sl-^an: „,,wii^m de Champagne czekała w wiaderku z loderwabols „A3bBlw w’adM^I[te.Sli^, śmiała się nerwowo.

- To idiotyczne, ale jestem zdenerwowa ^wo^bs rnsła-stemim”.^ działa.

- Nigdy nie robiłam czegoś takiego,os W” r” cze.gslililiii B - - To prawie jak akcja humanitarna - zażarton^-B^1”^^3” ,,,,^-^^ Rozległo się pukanie do drzwi.

Malko otwowlooiteM i’^”10 aiz”T”ilt’^alll H jednego z agentów SHIK.

, „‘lfcir.

„^iw nsl t - ten oślim - Już jest - zapowiedział ten ostatni.

wa”.

Malko zobaczył Michela Abu Rifaha wspinającego się po schodach.

Wyszedł mu na spotkanie.

- Zrobiłem wszystko, o co pan prosił.

- Wszystko w swoim czasie. Teraz się zabawimy.

Pchnął drzwi i wszedł do pokoju.

Malko został na zewnątrz, czując, jak jego serce przyspiesza.

Jeśli Michel Abu Rifah zamierzał z niego zakpić, nie miałby już żadnych szans do rozegrania.

Michel Abu Rifah spoglądał na Sofię tak, jak umierający z głodu patrzy na zastawiony stół. prostytutka uśmiechnęła się sztucznie. Była też lekko przestraszona niecodzienną sytuacją.

- Podobam ci się? - zapytała.

Więzień, nie odpowiadając, utkwiał w niej roziskrzony wzrok i powiedział przeciągle:

- Ściągaj sweter. I daj mi szampana.

Wykonała polecenie, pozostając w czarnym,

koronkowym staniku, podtrzymującym ciężkie piersi.

Usiadł i śledził ją wzrokiem, kiedy odkorkowywała butelkę.

Michel Abu Rifah spojrzał na nią ze złością.

- To nie przejdzie! Chcę ci wsadzić bez niczego!

- Nie - zaprotestowała. - Nigdy nie kocham się bez zabezpieczenia.

-Nigdy! - zadrwił.

Schylił się szybko i wyciągnął coś z jednej ze skarpet. Było to ostrze szerokie na dwa centymetry i długie dziesięć, do połowy owinięte taśmą klejącą. Części z obu stron były wyostrzone jak brzytwa. Przytknął ostrze do gardła Sofii.

- Będzie tak, jak ja chcę. A chcę cię pieprzyć po mojemu. Jeśli masz rozum, wszystko będzie OK. Jeśli nie zarżnę cię na śmierć.

Tak czy tak, po wszystkim stąd spierdalam. Nie wrócę do tamtej szcurzej nory. Rozumiesz?

- Tak - jęknęła, przerażona.

- A więc na kolana i ssij. Albo poderżnę ci gardło.

Sofia uklękła i objęła jego członek wargami.

Poczowała, że próbuje wcisnąć się pomiędzy jej zęby.

- Zęby! Rozchyl zęby! - nakazał Michel Abu Rifah.

Chwycił ją mocno za głowę i pchnął brutalnie, aż poczuła, że jego członek wypełnia ją po samo gardło, nieomal sięga serca.

Sterroryzowana, próbowała się kontrolować i robić jak najlepiej swoje, z oczyma pełnymi łez powtarzając, że nawet za dziesięć tysięcy dolarów nie zgodziłaby się na to wszystko. Jeżeli tylko wyjdzie z tego żywa...

Ostrze wciąż dotykało jej szyi.

Wiedziała, że więzień w każdej chwili gotów jest urzeczywistnić swoją groźbę. Nagle jęknął dziko.

- Dostyc, dziwko, dość! Już dochodzę!

Chcę się spuścić w twoją ciepłą jamkę.

Rzucił ją na łóżko i uniósł jej nogi, tak, że miała wrażenie, że kolana wtłaczają się jej w uszy. Michel lewą dłonią ujął swój członek, rozcinając równocześnie ostrzem koronkowe majtki. Jego potężny penis wdarł się bezlitośnie do jej wnętrza. Nie trwało to długo.

Poczuła, jak jeszcze rośnie, po czym trysnął w nią, jęcząc jak w agonii.

Jakiś czas trwał w niej nieruchomo, po czym wyszedł, wciąż twardy.

- Obróć się dziwko! - powiedział. - Teraz przerznę ci dupę!

Ani drgnęła.

Szarpnął ją za ramię i błysnął stalą przed oczami.

- Bądź grzeczna, bo...

Zawyła, czując, jak masywny taran rozdziera jej lędźwie.

Michel napierał jak szalony, zaciskając zęby.

- Jaka jesteś ciasna! Zaraz rozszarpię ci dupę!

Jeszcze nie widziałem takiej ciasnej dupci...

Pchnął z całej siły i jego członek wbił się w nią na głębokość co najmniej dziesięciu centymetrów. Ból był tak gwałtowny, że Sofia, niepomna na ostrzeżenia, zawyła pełnym głosem.

Krzyk Sofii było słychać w całym hotelu.

Malko, oczekujący w sąsiednim pokoju, poderwał się na równe nogi.

Dwaj policjanci, którzy czekali wraz z nim, rzucili się na zewnątrz. Próbował ich zatrzymać.

- Stójcie!

Jeden z nich zdążył już wyważyć drzwi ramieniem.

Malko wbiegł za nim do pokoju i ujrzał przypominające szkielet ciało Abu Rifaha, przygniatające ciało Sofii. Więzień spojrzał na nich z obłędem w oczach i pokazał ostrze w prawej dłoni.

- Wyłazić! Już! - wrzasnął. - Bo ją zarżnę!

- On mnie zabije - zachłysnęła się Sofia. - To szalenciec!

Malko, sparaliżowany, dostrzegł, że jeden z policjantów wyciąga z kabury pistolet i odbezpiecza go. W jednej chwili wszystko obróciło się w koszmar. Michel Abu fah, jak uszkodzona seks-maszyna, w której popsuł się wyłącznik - poruszał się spazmatycznie, za każdym ruchem wbijając się głęboko w odbyt Sofii przy akompaniamencie jęków i szlochu.

Policjant wystrzelił w powietrze. Ściany pokoju zatrzęsły się od ogłuszającej detonacji. Malko rzucił się pomiędzy łóżko i policjanta, gdyby Michel Rifah zginął, cała operacja wzięłaby w łeb. Zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić, więzień niespodziewanie oderwał się od lędźwi Sofii i rzucił się na niego, otaczając ramieniem szyję. Malko poczuł ostrze naciskające na pulsującą tętnicę.

To, co usłyszał, nie pozostawiało wątpliwości.

- Teraz, kiedy już sobie popierdoliłem, wyciągniesz mnie stąd.

Powiedz temu dupkowi, że jeśli się ruszy, to cię zarżnę.

Malko poczuł pieczenie. Narzędzie było piekielnie ostre. Starczyłby drobny ruch dłonią, a wykrwawiłby się w ciągu kilku minut bez możliwości ratunku.

Policjant znieruchomiał z bronią wycelowaną w Michela. Sofia, skulona na łóżku, szlochała konwulsyjnie. Przez uchylone drzwi widać było ludzi zbierających się na korytarzu. Malko zrozumiał, że wszystko to może się zaraz fatalnie skończyć. Zwłaszcza dla niego.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- Michel, nie ma pan żadnych szans - powiedział spokojnie.

- Nie pozwolą panu stąd wyjść.

Poczuł, że przyciśnięte do niego nagie ciało więźnia drży.

- Wyjdziemy stąd obaj, ty pierwszy - rzucił Abu Rifah głosem pełnym napięcia. - Mam wszystko gdzieś. I tak jestem martwy.

- Niech pan nie będzie idiotą. Właśnie teraz ma pan jedyną szansę.

- Nie! Jak tylko stąd sobie pojedziesz, te dranie się ze mszczą. Powiedz im, żeby podstawili pod hotel samochód. Wyjdziemy stąd razem.

- Jesteś nagi.

- Coś sobie znajdę. Powiedz im!

Wzmocnił nacisk.

Malko poczuł, jak po szyi spływa ciepły strumyczek. Nie widział żadnego wyjścia z tej sytuacji. Albańczycy nie mogli utracić twarzy. W żaden sposób nie mogli się zgodzić na wypuszczenie więźnia. Przystawione do szyi ostrze drgnęło. Przez szparę w drzwiach ujrzał Marjorie Felder.

- Niech im pani powie, że on chce samochód. I chce odjechać wraz ze mną.

Przetłumaczyła, a potem niemal natychmiast dała odpowiedź.

- Mówią, że to w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Wszystko to pana wina. Uprzedzali, że jest niebezpieczny.

Byli w martwym punkcie.

Ostrze w ręku Abu Rifaha coraz głębiej kroilo szyję Malka, milimetr po milimetrze... Usłyszał jadowity szept:

- Zdechniesz tu, jeśli nic się nie zdarzy!

Sofia opanowała ból i uczucie paniki. Nadal czuła ogień w środku, ale zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje. Michel Abu Rifah stał obrucony plecami do niej. Widziała chude pośladki, drżące z napięcia. Wszystko słyszała. Znała również Albańczyków: pewno nie pozwolą mu uciec. Będą mieli gdzieś dwoje martwych cudzoziemców. Przesunęła dłonią po szyi, ścierając niewielką plamę krwi.

Udało jej się ujść cało. podsunęło jej pewien pomysł. Wstała ostrożnie.

Michel usłyszał skrzypienie łóżka nie odwracając głowy, rzucił:

- Co tam robisz, kurwo?

Włoszka stanęła za nim. Delikatnie przytuliła się do niego od tyłu.

Poczuła, jak przez jego plecy przebiegają dreszcze.

- Chcę znowu poczuć w sobie twój wielki ogonek - szepnęła mu w ucho.

Tak dobrze mnie przeorałeś...

Otarła się brzuchem o jego pośladki. Zajęczał. Jej dotyk całkowicie wytrącił go z równowagi. Nie wiedział, gdzie się znajduje.

Jego mózg płonął. Sofia z niezwykłą łagodnością przeciągnęła dłonią po jego brzuchu i ujęła jego członek całą dłonią.

- Jest wielki - wymruczała. - Nie chcesz mnie raz jeszcze?

Dotyk jej palców wywołał natychmiastową erekcję. Odwrócił się i rzucił błagalnie: - Spadaj Zostaw mnie.

Malko nic nie rozumiał z tego dialogu po albańsku, ale odczół, że nacisk ostrza na szyję zelżał. Mógł się poruszyć, mógł swobodnie zaczerpnąć powietrza. Dłoń Sofii rytmicznie ocierała się o jego plecy: Michela AbuRifaha. Słowa, które sączyła w jego ucho, zdawały się być jakąś inkantacją. Policjanci również stali nieruchomo, jak sparaliżowani, nie rozumiejąc nic z tego, co się dzieje.

Nagle Michel krzyknął coś nieartykulowanie, po czym rzucił po albańsku:

- Wychodzić! Wszyscy.

Policjanci przesunęli się ku drzwiom, cały czas celując do nich z pistoletów. Malko czuł, że więzień za jego plecami cały się trzęsie.

Napięcie sięgnęło szczytu. Ostrze oddaliło się od jego szyi.

- Spadaj! - wrzasnął Michel Abu Rifah.

Malko odwrócił się. Nie zwracając uwagi na jego tryumfującą męskość wyciągnął, rękę i powiedział spokojnym głosem, jak gdyby nic się nie zdarzyło:

- Niech mi pan to da...

Chłopak zawahał się. Sofia, wtulona w niego, szepnęła:

- Zrób, co mówi i chodź, weź mnie.

Michel Abu Rifah jak automat podał swoją prowizoryczną broń Malkowi.

Ten skierował się do drzwi. W momencie, gdy wychodził, usłyszał bolesne rżenie i odwrócił się. Sofia leżała z nogami zadartymi do góry. Abu Rifah klęczał przed nią i raz za razem wbijał członek w jej wnętrze. Jego szczupłe pośladki drgały, biodra poruszały się z furją, jakby wstrząsał nimi szok elektryczny. Malko wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Jego serce zaczęło bić spokojniej, prawie normalnie. Albańczycy na korytarzu stali otumanieni, nie wiedząc, co myśleć. Powiedział do Marjorie Felder:

- Niech pani im przekaże, że odtąd już wszystko pójdzie dobrze.

Michel Abu Rifah leżał wyciągnięty na ciele Sofii, z członkiem wciąż wbitym w nią i płakał jak dziecko. Wielkie łzy spływały na ramiona włoskiej dziwki. Ta gładziła go po włosach i mówiła łagodnie:

- Wydostaniesz się stąd. Tylko nie rób głupstw.

Chłopak z wolna się uspokajał. Wstał. To było jak wygnanie z raju.

Mimo, że w pokoju było gorąco, drżał jak osika, patrząc w okno.

Sofia zrozumiała, że ma ochotę skoczyć.

- Odwiedzę cię. Obiecuję.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Zaczął się ubierać. Kiedy był gotowy, Sofia otworzyła drzwi, stając naprzeciwko niewielkiego tłumu, zgromadzonego na korytarzu.

- Proszę - powiedziała. - Chce z panem mówić.

- Nazywa się Philip Westland - zaczął Michel Abu Ri fah beznamiętnie.

- Ale w obozie nosił nazwisko Abu Suleyman. Wielu ludzi zna go tylko pod tym nazwiskiem. Trzeba było uważać. Nigdy nie wiadomo, czy gdzieś się nie wkręciły jakie typy z FBI. Albo ze służb pakistańskich.

- Mówił pan, że wrócił do Stanów...

- Tak. Oum Hafsa przekazała mi list od niego kilka miesięcy temu. Mieszka w Rockville. To północne przedmieścia Waszyngtonu. North Cameron Dnve 1861. Mieszka z rodzicami.

- Zanotował pan jego adres?

- Wyryłem na ścianie celi, by móc kiedyś się z nim spotkać. List spaliłem.

- Czym teraz się zajmuje?

- Nie wiem. Myślę, że cały czas jest w kontakcie z al Kaidą. Naprawdę uważa, że islam jest najlepszą odpowiedzią na wszystko i sądzi, że społeczeństwo, w którym żyje, jest złe. Opowiadał mi, że wiele razy w ciągu tygodnia bywał w meczecie, by dyskutować o teologii. Nie interesuje się kobietami, nie pije alkoholu.

- Pan przeszedł przez to samo - zauważył Malko.

- To inna rzecz. Nigdy nie skończyłem z kobietami ani z alkoholem. Ale uważam, że walka w obronie islamu jest słuszna. Byłem zadowolony, że mogę bić się z Serbami w Kosowie. Jest dużo niesprawiedliwości na świecie.

- Jak wygląda Philip Westland?

- Wysoki, blondyn, silny. Chyba z metr dziewięćdziesiąt. Ale jest bardzo łagodny. Kiedy go znałem, nosił brodę i wąsy jak prorok. I długie włosy.

Przypomina Jezusa Chrystusa.

- Czy myśli pan, że może być zamieszany w zamachy, mimo że jest taki łagodny?

- Chciał brać udział w dżihadzie - wyjaśnił Michel, - W Jemenie był w tym czasie, gdy miał miejsce zamach na USS Cole. Bardzo żałował, że nie brał w nim udziału. Dla niego wejście okrętu amerykańskiego do arabskiego portu było aktem wojny... A potem wielu jego przyjaciół biło się w Czeczeni.

Pranie mózgu najwyraźniej było w tym przypadku wyjątkowo skuteczne.

Malko nigdy nie mógł zrozumieć, jak funkcjonują takie pokręcone typy.

- Al Kaida go finansuje?

Michel potrząsnął głową.

- Być może, ale to nie są chyba duże kwoty. Rodzice Philipa zawsze posyłali mu pieniądze. Popierali poszukiwania mistycznego syna. Według tego, co mi powiedział, jego matka nawróciła się na buddyzm. Jego ojciec jest wokalem i nieźle zarabia. Al Kaida finansuje tylko takich biedaków, jak ja. Zamilkł.

Malko spojrział na swojego Breitlinga. Spędził już godzinę twarzą w twarz z więźniem. Przedtem musiał użerać się z Albańczykami, którzy chcieli go wsadzić do więzienia na resztę życia. Telefon do szefa SHDE na szczęście wyjaśnił sprawę. Marjorie Felder zabrała Sofie do hotelu, by ta mogła odzyskać siły. Jak dotąd, zdobył już jedną kapitalną informację, tę, której FBI szukało od początku: nazwisko aktywnego członka al Kaidy w Stanach Zjednoczonych. Który, być może, pozostawał w kontakcie z Johnem Tumerem... Nie zapominał, że celem jego misji było przyłapanie agenta CIA, który najprawdopodobniej przeszedł na stronę wroga. Musiał jak najszybciej wrócić do

Stanów Zjednoczonych, by zbadać trop wiodący do Abu Suleymana. Michel Abu Rifah przerwał mu rozmyślenia.

- Mogę o coś prosić?

- Jeżeli tylko jest to możliwe...

- Nie wiem, co chcecie zrobić z Philipem. Jednak, błagam, niech mu pan nie mówi, że to ja go wystawiłem. To by było dla niego zbyt wiele.

- Dobrze, obiecuję to panu - zapewnił Malko. - Mam nadzieję, że prowadzi normalne życie - dodał, nie bardzo w to wierząc.

Wstał i wyciągnął rękę do chłopaka.

- Jest pan od tej chwili pod ochroną rządu amerykańskiego. Albańczycy zapomną o wszystkim. Będzie pan dobrze traktowany. Sprawą zajmie się najlepszy adwokat, opłacony przez ambasadę. Konsul Francji spróbuje przy spieszyć pana przeniesienie do Francji. A potem - Insz 'Allah...

Michel Abu Rifah potrząsnął głową i spojrzał na butelkę Taittingera, w połowie jeszcze pełną.

- Mogę ją zabrać? Wypiję z kolegami w celi.

- Oczywiście - powiedział Malko, pełen litości dla nieszczęsnego więźnia.

Michel Abu Rifah poświęcił swoje życie wątpliwej sprawie, ale, nawet jeśli jego życie nie było rzeczą wielką, to miał tylko to jedno.

W barze hotelu Rogner było dość głośno i hałaśliwie. Marjorie Felder i Sofia popijały tam herbatę w całkowitej zgodzie.

Malko usiadł obok Włoszki i powiedział:

- Jak mi się zdaje, uratowała mi pani życie.

Sofia uśmiechnęła się.

- Ja także strasznie się bałam. Myślałam, że mnie zabije. Ale sądziłam, że mi się nie oprze po tylu miesiącach abstynencji. To biedny chłopak. Odwiedzę go od czasu do czasu, kiedy będę mogła.

- To będą męki Tantala - zauważył Malko.

- To okrutne.

- Może nie... Znam Albańczyków. Widzenia odbywają się w pomieszczeniu, gdzie więzień oddzielony jest tylko barierką. A przez barierkę można zrobić wiele, nie będzie narzekał.

Malko pomyślał, że będzie to korzystna odmiana po wizytach siostry Moniki. Jemu pozostało już tylko jedno jak najszybciej opuścić Tiranę.

- Muszę zająć się moim biletem na samolot - powiedział.

Biura Austrian Airlines znajdowały się w głębi hotelowego hallu. Młoda urzędniczka znalazła wolne miejsce na jutro. Najpierw do Wiednia, a stamtąd do Nowego Jorku. Albo przez Londyn do Waszyngtonu. Malko wybrał Nowy Jork. Kiedy rozmawiali, do agencji wszedł jeszcze jeden klient. Był to niechlujny wielkolud w typie orientalnym z długimi włosami zebranymi z tyłu.

Wyłupiaste oczy i kartoflowaty nos sprawiały, że wyglądał na obłąkanego. Usiadł na krześle i spokojnie czekał, aż Malko skończy.

Malko, uspokoiony, wyszedł z biura i wrócił do baru.

- Zapraszam was obie na kolację - powiedział.

Marjorie zaproponowała natychmiast:

- Chodźmy do London Pub. Mają tam świetne chili con carne, choć bez czerwonej fasoli. Zastąpili ją ryżem.

Na lotnisku w Tiranie panował nieprawdopodobny bałagan. Malko dotarł w końcu, rozpychając się łokciami, do bramki kontroli biletów. Urzędniczka spojrzała na bilet i poprosiła o wybaczenie.

- Przykro mi - powiedziała - ale jest już komplet.

Spóźnił się pan. Niestety, nie mamy już dla pana miejsca w przedziale business class. Do Wiednia musi pan podróżować klasą eco.

Malko był tak zadowolony, iż może opuścić Tiranę, że przyjąłby nawet miejsce stojące... Wsiadł do przeszklonego autobusu, który zawiózł go pod schodki prowadzące na pokład boeinga 727. Miał być tak blisko swojego zamku i nie miał nawet szansy, by na chwilę chociaż wpaść do domu.

Kiedy czekał na swoją kolej, odezwała się jego komórka. Dzwoniła Aleksandra, jego odwieczna narzeczona. Rozmawiali chwilę, dość długo, by zdążył jej zaproponować spotkanie na lotnisku Schwechat. Nie było tam wprawdzie rozmównicy, ale można było znaleźć sporo innych miejsc na słodką chwilę zapomnienia.

- Zrobię się na bóstwo i będę - zapewniła Aleksandra. - A propos, dałam komuś twój namiar w Tiranie. Dzwonił dwa razy.

Ktoś od George'a Teneta albo coś podobnego.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Mężczyzna, putzi. Kobięcie w życiu nie dałabym twojego adresu.

Znam cię.

- Nikt się ze mną nie kontaktował. Dziwne...

Do zobaczenia.

W samolocie siadł blisko środka, bezpośrednio przy ciągu komunikacyjnym. Machinalnie rzucił wzrokiem na swój przedział pasażerski, wypełniony do ostatniego miejsca. Jego doświadczone oko wyłuskało z tłumu znaną twarz: mężczyzny, który czekał na swoją kolej, kiedy załatwiał bilet w agencji Austrian Airlines. Ich spojrzenia się skrzyżowały i nieznajomy opuścił wzrok, jakby się nagle zawstydził.

- Proszę zapiąć pasy - powiedziała stewardessa.

Malko wykonał polecenie, przymknął oczy i przestał myśleć o czymkolwiek. Maszyna oderwała się od ziemi i skierowała nad Adriatyk.

Dwadzieścia minut później Malko postanowił pójść do ubikacji. Kiedy wstał, zobaczył, że mężczyzna z wielkim nosem również wstaje i tak samo rusza ku toaletom. Na szczęście były dwie. Malko ulżył sobie i powrócił na miejsce. Pogрузzył się w lekturze Kuriera, lecz tknięty przecuciem, przerwał po dwóch minutach. Miejsce znajomego wciąż pozostawało puste. Zaintrygowany, wstał i poszedł na tył. Toaleta po lewej wciąż była zajęta. W tej chwili przypomniał sobie to, co usłyszał od Aleksandry. Telefon od nieznajomego. Może to ten mężczyzna, napotkany dwukrotnie. W jego zawodzie zbiegi okoliczności raczej się nie zdarzały. Nie wie nawet dlaczego, poczuł, że jego szósty zmysł uruchamia sygnał alarmowy. Oczywiście, działała kontrola przy odlocie, ale nic nie jest doskonałe.

- Ktoś od dłuższej chwili zamknięty jest w toalecie - zwrócił się do stewardesy. - Pewnie zemdlął.

Stewardesa spróbowała otworzyć drzwi, po czym za pukała.

Żadnej odpowiedzi.

- Nic nie rozumiem - powiedziała. - Muszę dać znać kapitanowi.

Chyba nie pali, bo wtedy uruchomiłby alarm.

Nie była specjalnie zaniepokojona.

Malko nie miał czasu wyjaśniać jej powodów swojego lęku.

Również spróbował dostać się do środka, ale także bez efektu.

- Nie można wyważyć drzwi?

Stewardessa zaśmiała się.

- Ależ po co? Ten pasażer z pewnością zaraz wyjdzie.

Ruszyła w kierunku kabiny pilotów. Malko wahał się, co robić, kiedy nagły odór spalenizny uderzył go w nozdrza. Pochodził z toalety.

Jego puls skoczył do 150 uderzeń na minutę.

Pasażerowie wokół niego nawet niczego nie podejrzewali.

- Fraulein! - zawołał do stewardesy. - Coś pali się w toalecie po lewej.

Stewardesa zbladła. Zapach był oczywisty. Załomotała w drzwi. Otwierały się na zewnątrz, więc wyważenie ich było niewykonalne.

- Uprzedzę kapitana - powiedziała, tym razem na prawdę przerażona.

Pobiegła do przodu, zostawiając Malko pod drzwiami. Odór spalenizny był coraz mocniejszy. Malko zrozumiał: mężczyzna w toalecie szykował zamach. Nie wiedział dlaczego, ale nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Wiedział też, że zamach jest skierowany przeciwko niemu. Spojrzał na drzwi, myśląc, że ledwie sekundy dzielą go od wieczności.

Nikt nie był w stanie przeżyć eksplozji w samolocie lecącym na wysokości 10000 metrów.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Kapitan pojawił się wraz ze stewardesą prawie natychmiast.

Malko w dwóch słowach wyjaśnił mu, co się dzieje.

Odór spalenizny nadal przenikał na zewnątrz.

- Trzeba wyważyć te drzwi - nalegał Malko. - Natychmiast.

Kapitan nie był zdolny do żadnej decyzji.

- Skąd pan wie, że to zamach?

- Jestem pracownikiem wywiadu. Namierzyłem już tego człowieka w Tiranie. Trzeba coś zrobić, bo wylucimy w powietrze.

- Zawiadomię Wiedeń przez radio, niech policja się nim zajmie po wylądowaniu.
- Jeśli wylądujemy - uciął Malko. - Trzeba interweniować natychmiast!
- Mamy siekiere w kabinie pilotów - rzuciła stewardesa pospiesznie.

Malko ruszył tam, zanim jeszcze skończyła. Wyrwał siekiere z uchwytu i wrócił, odprowadzany spojrzeniami zaniepokojonych pasażerów. Rozległy się krzyki, kiedy zaczął rozbijać drzwi. Po chwili zamek puścił i drzwi uchylły się, ukazując niezwykły widok. Wielkolud z kartoflowatym nosem stał bosy przed umywalką, w której znajdowały się jego adidas. W prawej ręce trzymał zapalniczkę Zippo, próbując podpalić kilkumilimetrowy lont, zwisający z obcasa jednego z butów. Przez kilka chwil pozostawał nieruchomo, zaskoczony. Tylko jego oczy latały jak u szaleńca.

Po czym, puszcżając but i za palniczkę, wrzasnął dziko:

- Allah Akbar!

Wyskoczył z toalety. Stewardesę, próbującą go zatrzymać, ugryzł w rękę do krwi, wymierzył kapitanowi silny cios pięścią i na bosaka pognął do przodu pomiędzy fotelami. Prosto do kabiny pilotów.

- Zatrzymać go! - krzyknął Malko. - To terrorysta!

Na szczęście po 11 września pasażerowie byli uwrażliwieni na takie sytuacje. Trzech mężczyzn zerwało się z foteli, w tym jeden olbrzym wzrostu blisko dwóch metrów. Powstał zamęt. Terrorysta bił się jak szatan, ale w końcu został obezwładniony. Skrępowano go pasami, a dwumetrowy pasażer usiadł na nim. Zapanował względny spokój.

Malko przyjrzał się butom zamachowca. Były by normalne, gdyby nie ich ciężar oraz nitka zwisająca z podeszwy i ginąca pod obcasem.

Malko zrozumiał na tychmiast, dlaczego terrorysta nie mógł swoją zapalniczką Zippo podpalić lontu. Pokrywała go kauczukowa izolacja, którą należało zerwać. Zaś on nie miał ani noża, ani nożyczek.

- Będziemy w Wiedniu za godzinę - zapowiedział kapitan przez głośniki pokładowe. - Sytuacja jest pod kontrolą. Zawiadomiłem policję.

Malko zajrzał do torby terrorysty. Koran, walkman i kasety z muzyką arabską, jakaś zmięta kartka...

Malko rozwinął ją. Był na niej numer jego pokoju w Rognerze. A zatem to on był celem... Schował kartkę i wrócił na miejsce, przyjrząwszy się uprzednio jeszcze raz adidasom. W obcasie każdego z nich było około 100 gramów materiału wybuchowego. Nawet gdyby samolot nie rozpadł się w powietrzu, większość pasażerów zostałaby wyssana na zewnątrz.

Kto wysłał tego kamikadze? Tylko jedno nazwisko przyszło mu na myśl: John Tumer. Co oznaczało, że agent CIA zorientował się, że w jego sprawie toczy się śledztwo.

Stewardesy zaczęły chodzić między fotelami i rozdawać szampana dla uspokojenia nerwów. Kapitan samolotu zapowiedział przez głośniki:

- Szanowni państwo, nie wiemy, czy człowiek ten miał współników. Prosimy zatem, by aż do wylądowania wszyscy pozostawali na swoich miejscach.

By wzmocnić ten nakaz, trzech muskularni pasażerowie zaczęli przechadzać się głównym ciągiem komunikacyjnym, czujni na jakikolwiek podejrzaną ruch.

Aleksandra oczekiwała go przy samym wyjściu, w futrze, z włosami upiętymi wysoko. Ich jasny kolor wspaniale kontrastował z czernią kostiumu, czarnymi pończochami i czarnymi pantoflami na niebotycznych obcasach. W jej oczach lśniły iskierki łakomej zmysłowości. Gdy tylko przytuliła się do niego, Malko poczuł ogień w lędźwiach. Prześlizgnął się dłonią po materiale spódnicy, wyczuwając na udzie podwiązkę.

Aleksandra jak zwykle była perfekcyjna.

- Już pół godziny na ciebie czekam. Myślałam, że spóźniłeś się na samolot.

- Mogliśmy się w ogóle nie zobaczyć.

Stracił sporo czasu po wylądowaniu na wyjaśnienie za istniejącej sytuacji policjantom. Gdy jechali z lotniska do hotelu Hilton, opowiedział Aleksandrze, co się zdarzyło. Tak jak za każdym razem, kiedy udawało mu się umknąć śmierci, uczucie ulgi przeradzało się w nieodparte seksualne podniecenie... W anonimowym wnętrzu hotelowego pokoju nie było nic z erotycznej atmosfery ich sypialni w Liczeń.

Pchnął Aleksandrę na fotel i uniósł jej spódnice. Jej uda były wciąż brązowe po wakacjach w Tajlandii. Dotknął dłonią majteczek z czarnej satyny i zaczął ją pieścić. Aleksandra przymknęła oczy i zaczęła mrużyć.

Uwielbiała to. Po chwili palce Malka zwilgotniały. Od chylił satynę i zanurzył palce w jej ciepłym wnętrzu. Aleksandra odsunęła jego rękę.

-Poczekaj... Nie tak zaraz, bo oszaleję.

Gorączkowo zsunął majtki z jej ud. Z kolei ona obnażyła jego członek, masturbując go łagodnie.

- Chcesz, bym cię possała? - spytała ochrypłym głosem.

- Tylko trochę.

-Nie.

Uniósł prawą nogę Aleksandry i pograżył się w niej aż do końca. To podniosło rytm jego serca do 200 uderzeń na minutę. Jakież to było dobre!

Aleksandra uniosła drugą nogę. Malko poruszał się w niej mocnymi pchnięciami lędźwi, czując, jak jego umysł się opróżnia.

Zaczęła oddychać coraz szybciej. Malko też przyspieszył ruchy. Znali się tak dobrze. Poruszali się w jednym rytmie, Aleksandra z otwartymi ustami, zamglonym wzrokiem, chłoneła go raz za razem... Dotarli do szczytu w tym samym momencie i znieruchomieli, eksplodując ze szczęścia.

Dobrze było być żywym.

- Chodź - powiedział, doprowadziwszy się do porządku. - Zjedzmy trochę kawioru. Za godzinę odlatuję.

Byli zaledwie kwadrans w pokoju. Recepcjonista popatrzył na nich ze zdziwieniem. Aleksandra, chcąc się zabawić, za trzymała się naprzeciw niego, uniosła spódnicę i poprawiała podwiązkę.

- To mu nie da spać przez całe tygodnie - powiedział Malko.

Nieco później, gdy Aleksandra kładła na toście warstwę ikry, Malko zauważył:

- Twój telefon prawdopodobnie uratował mi życie. Wyjaśnił jej, dlaczego jej informacje wzbudziły w nim czujność.

- Uczciliśmy to - powiedziała, uśmiechając się.

- Wciąż mam ochotę na ciebie - westchnął Malko. - To cudowne.

Aleksandra spojrzała na niego swoimi szaroniebieskimi oczyma.

- Kiedyś nie zadzwonię - powiedziała. - Musisz z tym skończyć.

- Nie mogę.

Wzruszyła ramionami.

- Nie musimy mieszkać w zamku. Możemy wygrzewać się na słońcu, odwiedzać przyjaciół. Opalać się i kochać...

- Tak - odparł Malko z roztargnieniem.

W głębi serca wiedział, że nigdy nie zacznie żyć inaczej.

Nie chodziło o pieniądze. Ciągłe napięcie, w jakim był, śmierć, o którą ocierał się regularnie, radość zwycięstwa - wszystko to pozwalało mu nie dostrzegać biegnącego czasu. Płynął przez życie

w bańce nieskończoności, wprawiany w ruch wciąż przez tę samą energię.

Uśmiechnął się i szepnął Aleksandrze do ucha:

- Skończę z tym, kiedy już będę zbyt zmęczony, by się z tobą kochać.

Uśmiechnęła się również.

- A więc nie stanie się to zbyt szybko...

Frank Capistrano przyjął Malka tak silnym uściskiem dłoni, że aż krzyknął cicho z bólu.

- Mam raport o tym, co zdarzyło się na pokładzie Austrian Airlines - oznajmił. - Miał pan mnóstwo szczęścia, Ten typ napakował do swoich butów po sto gramów bardzo silnego wojskowego materiału wybuchowego, tego nie kupi się na bazarze. Lont był zrobiony z TAPT, materiału chałupniczej produkcji. Tak samo detonator, też własnej roboty.

TAPT i penetryt to „sygnatura” al Kaidy.

- Jak nazywa się zamachowiec?

- John Reed. Miał paszport amerykański, zupełnie nowy i autentyczny.

Nikt niczego o nim nie wie. Wydaje się, że nie ma stałej pracy i stałego miejsca zamieszkania. Nabył swój one way ticket Nowy York-Tirana, płacąc gotówką, w Nowym Yorku.

- Zeznaje?

- Nie. Wypowiada jakieś niezborne kwestie, ale to komedia. Wysłaliśmy już do Wiednia ekipę FBI, by poprowadziła śledztwo. Jednak oficjalnie interesy amerykańskie nie są z tym łączone. To sprawa Austriaków. Tak będzie chyba lepiej.

- Kto wiedział, że jestem w Albanii?

Doradca potrząsnął głową.

- U mnie nikt.

- A w Langley?

- George Tenet. Już go pytałem. Nikomu o tym nie mówił.

- Wie jeszcze ktoś, kto telefonował do Liezen.

Tam dowiedział się, że jestem w Tiranie.

Frank Capistrano machnął ręką z rezygnacją.

- Trzeba by rozstrzelać tych łobuzów z New York 77mesa\ I gości z FBI, którzy nadali im tę sprawę. Opisano pana tak precyzyjnie, że czteroletnie dziecko domyśliłoby się o kogo chodzi.

- Ale czteroletnie dziecko nie mogło wysłać Boingem zamachowca wyposażonego w trudny do zdobycia materiał wybuchowy - zauważył Malko.

- Wciąż uważamy na Johna Tumera. Jeśli jest tym, o którym myślimy należy do al Kaidy.

Ten John Reed... Ktoś musiał mu dać pieniądze, materiał wybuchowy i wskazać cel. Wiecie, skąd pochodzi?

- Jest pół-Jamajczykiem. Jego ojciec dostał osiemnaście lat za narkotyki.

Siedzi w więzieniu federalnym. Matka mieszka w jakieś miejscinie w Teksasie. Sprząta. Nie widziała syna od lat. Austriacy mogą go przesłuchać, ale to próżny trud. te typy nigdy nic nie mówią. Jednej rzeczy nie rozumiem. Dlaczego już tam chciał pana zabić?

- Frank - Malko zawiesił głos - co by się stało, gdybym zginął w tym zamachu?

Special Advisor znieruchomiał, zaskoczony.

- Well, to byłaby niepowetowana strata. I...

- Dziękuję. Lecz przede wszystkim nie mógłbym panu przekazać tego, co wiem o pewnym białym Amerykaninie, członku al Kaidy, Philipie Westlandzie. Nikomu do tąd o tym nie mówiłem.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Że ten, który zorganizował ten zamach, myślał, że jeśli nie wróczę do Stanów Zjednoczonych, to ta informacja przepadnie. Jestem coraz bardziej przekonany, że John Tumer to nasz człowiek i że to on wszystkim rządzi. Eliminuje każdego, kto może umożliwić dotarcie do niego.

Pamela Chamberlain. Aleksander Krawczynski, ten emeryt z New Jersey, a teraz ja...

- Dlaczego pan?

- Pamela Chamberlain została zamordowana przez April Fawrup alias Oum Hafsa, która знаła Michela Abu Rifaha, który z kolei zna amerykańskich członków al Kaidy. Jeśli „sponsorem” tego morderstwa jest John Tumer, to wszystko staje się jasne. Z wyjątkiem jednej rzeczy.

- Jakiej? - zapytał Frank Capistrano, coraz wyraźniej zaintrygowany.

- Mamy grudzień. Trzy miesiące od zamachów z 11 września. Jeśli John Tumer brał w nich udział, miał już sto tysięcy okazji, żeby zniknąć. Gdyby nie był w Agencji, to nikt by się w ogóle nie połapał, że wyjechał z Waszyngtonu do innego kraju. A jednak pozostał, podejmując ryzyko zdemaskowania. Dziś może spokojnie podejrzewać, że FBI go sprawdza. Musi więc mieć po ważny powód, by pozostawać na miejscu.

-Jaki?

- Przygotowuje kolejną operację. Kolejny zamach...

Frank Capistrano przeżył szok niczym bokser trafiony w splot słoneczny.

Zbladł i spytał sztucznie spokojnym głosem:

- Ma pan jakieś inne poszlaki?

- Może... Ten Pakistańczyk zabity na Brooklynie. Opis mordercy pasuje do Johna Reeda. Przecież nie mieliśmy żadnych podstaw, by wiązać to zabójstwo z Tumerem. Ale Pakistańczyk wiedział. Jeżeli za jego pośrednictwem Tumer otrzymywał pieniądze, to może i tam chciał po sobie posprzątać. I stało się to niedawno, a można przypuszczać, że ten kanał nie działa od wczoraj. To po zwala mi przypuszczać, że John Tumer, członek al Kaidy, który brał już udział w zamachach z 11 września, nie ucieka, bo szykuje się do następnych. To byłaby zemsta za Osamę ben Ladena, który musi kryć się w grotach Afganistanu albo już nie żyje, prawda? Wyobraża pan sobie, jaki by to miało wpływ na amerykańską opinię?

- Wyobrażam sobie - powiedział ponuro Frank Capistrano.

- Tyle, że dzięki Bogu, to tylko spekulacje, i o jaki zamach mogłoby chodzić?

- W tej chwili nie mam żadnego pomysłu - wyznał Malko.

Zapadła ciężka cisza, którą przerwało kliknięcie zapalniczki Zippo.

Frank Capistrano zapalił cygaro i otoczył się obłokiem dymu.

- Jeśli powtórzę prezydentowi to, co mi pan powiedział - stwierdził - to zażąda ode mnie natychmiastowego aresztowania Johna Tumera.

- Rozumiem. Ale do czego nas to doprowadzi? Nie mamy nic konkretnego przeciw niemu. Nawet jeśli John Reed zechce mówić, w co wątpię, Tumer wyprze się wszystkiego. Prasa dowie się, że podejrzewamy agenta CIA i zrobi się totalne gówno. „Syf absolutny” - jak mawiał mag Gurdzijew.

- Tak, ale to zapobiegnie zamachom - zauważył Special Advisor.

- To wcale nie jest takie pewne. Nie wiadomo, czy maszyna nie została już wprawiona w ruch.

- To dlaczego Tumer wciąż tu tkwi?

- Był w Nowym Jorku 11 września rano, gdy wszystko już było uruchomione. Tylko po to, by obejrzeć spektakl. W tym przypadku może być tak samo.

Frank Capistrano westchnął ciężko.

- To co pan proponuje?

- Mamy ślad. Ten Philip Westland albo Abu Suleyman.

Mieszka parę kilometrów stąd.

- Chce go pan aresztować?

- W żadnym wypadku! Bez wątplenia można by mu dowieść, że był w Afganistanie i przeszedł przeszkolenie, ale to tylko zaalarmowałoby resztę siatki. Jeśli się pan zgodzi, chciałbym przede wszystkim sprawdzić,

kim tu jest. I co robi. To mi może podsunie jakiś wariant.

- A John Tumer?

- Wciąż pracuje w Langley.

- Trzymajmy go więc na długiej smyczy, i czekajmy.

- I módlmy się, z całej siły. Nawet pan sobie nie zdaje sprawy, w jakim wyląduję gównie, jeżeli coś się zdarzy.

Prezydent powierzył mi tę sprawę. A ja powierzam ją panu.

Malko wstał i bez żadnej złośliwości wypowiedział coś, co dla obu było absolutnie oczywiste:

- A ma pan jakiś wybór?

John Tumer wjechał na parking centrum handlowego Georgetown i zaparkował na drugim poziomie podziemnym, gdzie mieściły się dziesiątki barów szybkiej obsługi i restauracji. Znalazł sobie miejsce w kafejce w centralnej części atrium i zamówił szkocką. Przyniesiono mu Defendera Very Classic Pale z dodatkiem wody Perrier dla do dania szyku. Zamyślił się. Był naprawdę zdenerwowany. Nigdy by nie przypuszczał, że John Reed zawiedzie. Co się stało? Dwie porcje ładunku wybuchowego dostarczone przez specjalistę z Kanady były bez zarzutu. Banalne zadanie. Po raz pierwszy rozważał możliwość ucieczki. To nie byłoby trudne. Wystarczyłoby zostawić samochód na parkingu, wyjść z centrum handlowego na piechotę, złapać taksówkę na Union Square, pociąg do Nowego Jorku, a potem do Montrealu. I dalej do Pakistanu lub gdziekolwiek bądź. Tyle, że to byłaby dezercja. Co więcej, parę spraw nie zostało do końca załatwionych. Jeśli kiedyś miał się spotkać z ben Ladenem, chciał nosić głowę wysoko. Zanurzył wargi w whisky i rozmyślał dalej.

Po obejrzeniu w telewizji relacji z aresztowania Johna Reeda na lotnisku w Wiedniu spodziewał się, że w każdej chwili mogą aresztować i jego.

Koledzy z grupy antyterrorystycznej traktowali go jak dawniej.

W kantine w Langley wciąż było słycać te same plotki o mitycznym zdrajcy. Myślano nawet

o ponownym powołaniu do służby Jeanne Vertef archiwistki, która zdemaskowała Aldricha Ań sprzedawczyka KGB, który wystawił Rosjanom całą tutejszą siatkę CIA.

Nie dopijając Defendera, John Tumer wstał i przeszedł do części handlowej. Spacerował wśród bożonarodzeniowych dekoracji, nie zastanawiając się nawet, że nie ma komu ofiarowywać prezentów.

Nic go to nie obchodziło Póki co, miał jeszcze wybór. Próbować przeszkodzić śledztwu, które prowadził Malko Linge, czy też nic nie robić?

Dałby wiele, by dowiedzieć się, z czym Malko wrócił z Albanii.

Wiedział, że człowiek, którego pojechał szukać, od trzech lat siedzi w więzieniu. Nie wiedział jednak, czy udało się z nim spotkać.

John Tumer uśmiechnął się w duchu. Być może próbował wysadzić w powietrze samolot ze wszystkimi pasażerami zupełnie niepotrzebnie...

Wrócił do samochodu, nie rozwiązując swojego dylematu. Jedno, czego był pewien: tym razem nie zniósłby klęski. Nie dysponował jednak ar mią i nie mógł ryzykować. Nie czuł nienawiści do człowieka, który go ścigał. Był takim samym profesjonalistą, jak i on. Nie nadawali już jednak na tych samych falach. Skręcił w lewo, w kierunku Falls Church. Nie sprawdził nawet, czy ktokolwiek go śledzi.

Rockville było eleganckim przedmieściem Waszyngtonu z dużymi posiadłościami wzdłuż spokojnych alejek, dobrze utrzymanymi ogrodami i skrzynkami na listy pomalowanymi na jasne kolory, każda z nazwiskiem właściciela. Kwintesencja amerykańskiego stylu życia.

Malko przejechał wolno obok numeru 1861. Dom niczym nie różnił się od sąsiednich posesji. Żadnego samochodu na podjeździe, tak jakby wszyscy mieszkańcy wyszli. Pojechał dalej i zatrzymał się za zakrętem. Wszystko byłoby takie proste, gdyby FBI mogło być dopuszczone do sprawy.

A tak, musiał pracować niczym prywatny detektyw, gdy tymczasem spoczywała na nim odpowiedzialność za bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. Na rogu mieściła się Starbuck Cafe. Zaparkował przed nią i usadowił się przy kontuarze. Pozostawało mu tylko uzbroić się w cierpliwość. Obok toalety była wyłożona lokalna książka telefoniczna. Coś zatem mógł sprawdzić. Bez kłopotów odnalazł numer „Mr and Mrs John Westland”. Zanotował go i zadzwonił z budki, spodziewając się, że odezwie się automatyczna sekretarka. Zdziwił się, gdy po trzecim dzwonku usłyszał męski głos:

- Hallo! Who do you want to speak to?

Zaskoczony, milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

- Mr John Westland.

- To niemożliwe. Jestem jego synem. Ma pan numer do pracy?

-Nie.

- OK. Take it down. You 're lucky, I was going out...

Ma pan szczęście, właśnie wychodzę.

Czując gwałtowne łomotanie serca, Malko zanotował numer.

Odwiesił słuchawkę i wsiadł do samochodu. musiał długo czekać.

Na chodniku przed posesją pojawił się młody, atletyczny blondyn i szybkim krokiem ruszył w kierunku przystanku autobusowego.

Malko przyjrzał mu się uważnie. Wysportowany w dżinsach i beżowej kurtce, gładko ogolony, w niczym nie przypominał przyjaciela Michela Abu Rifaha. Bez brody i wąsów wyglądał na przeciętnego Amerykanina. Nie miał w sobie nic z islamisty. Nadjechał autobus. Malko ruszył za nim.

Czterdzieści minut później młody człowiek wysiadł i skierował kroki w kierunku budynku, który niczym nie różnił się od sąsiednich. Dopiero kilka drobnych szczegółów, Malko zauważył po dłuższej obserwacji, sprawiło, że szybciej zabiło mu serce: był to meczet. Trafił w dziesiątkę. Rzeczywiście miał do czynienia z Philipem Westlandem, eks-mudżahedinem, przyjacielem lemu Abu Rifaha z Afganistanu. Nadal był wyznawcą islamu, lecz zdawał się to ukrywać. Dziwne w przypadku kogoś tak dumnego ze swojej wiary. Malko mógł sobie to wytłumaczyć tylko w jeden sposób: chłopak nie chciał zwracać na siebie uwagi, gdyż był zaangażowany w tajną operację. Prawdopodobnie tę samą, za którą odpowiadał w Stanach Zjednoczonych John Tumer.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Philip Westland rozmawiał przed wejściem do meczetu z trzema innymi młodymi ludźmi. Wszyscy oni nosili brody, a jeden był ponadto ubrany w galabiję. Malko był zbyt daleko, by słyszeć, o czym mówią, ale zdawali się być bardzo przejęci. Przyjaciel Michela Abu Rifaha spędził w miejscu kultu najwyżej dwadzieścia minut. Potem grupa się rozdzieliła i Philip ruszył w kierunku przystanku autobusowego. Była to inna linia, do centrum Waszyngtonu. Philip Westland wysiadł przy Massachusetts Avenue i wszedł do niewielkiego biurapodróży.

Malko zdecydował się nieco zaryzykować.

Zaparkował samochód i również wszedł do biura, usiadł przy jednym ze stolików i zaczął przeglądać prospekty. Usłyszał, jak jego „podopieczny” zamawia bilet lotniczy na amerykańskie Wyspy Dziewicze. Zdołał nawet usłyszeć datę wylotu: 26 grudnia. Z lekką rozczarowany wsiadł do

samochodu i odjechał. Nie musiał śledzić młodego człowieka bez przerwy. Nawet jeśli bywał w meczecie, to zapewne po to, by się modlić.

John Tumer siedział w domu, dopracowując ostatnie szczegóły akcji, która wciąż zatrzymywała go w Stanach Zjednoczonych. Zszedł do piwnicy i otworzył schowek ukryty pod podłogą. Znajdowało się w nim pudełko po butach, pełne dolarów, które zabrał ze skrytki w przechowalni bagażu na Penn Station podczas swojego ostatniego pobytu w Nowym Jorku. Zostało mu jeszcze sto tysięcy, z sumy otrzymanej od ben Ladena. Część pieniędzy była mu potrzebna, a resztę zamierzał zwrócić.

Czekał go jeszcze najtrudniejszy manewr: zakup biletu do jakiegoś kraju na Środkowym Wschodzie, skąd mógłby już łatwo prześlizgnąć się do Pakistanu, zbyt silnie strzeżonego, by dostać się tam bezpośrednio. Pomyślał, że Dubaj będzie w sam raz. Zamknął schowek i poszedł na górę. Na ekranie komputera pojawił się sygnał, że na skrzynce ma nową wiadomość. Przeczytał. Wiadomość podpisana była „Suleyman”. Nadawca donosił, że wszystko idzie zgodnie z planem. Nawiązał połączenie z rozmówcą, który krył się za pseudonimem „Black Knight”.

Był to najtrudniejszy z elementów jego misji, niemniej nieodzowny.

Umówił się z nim nazajutrz, w barze na wschodnich przedmieściach Waszyngtonu, w jednej z najgorszych dzielnic miasta, niedaleko redakcji Washington Times. Zastanawiał się, czy jest śledzony i jak mógłby uwolnić się od ewentualnej obserwacji. Cały dzień miał pracować w Langley i na spotkanie musiał się udać wprost z siedziby Agencji.

Laura Putnam czekała w Bermuda Lounge, eleganckiej restauracji na rogu Dwudziestej Ulicy i R Street, w towarzystwie szklaneczki Defendera Peme. Poprosiła Malka o spotkanie, dowiedziawszy się od Franka Capistrano, że wrócił już do Waszyngtonu. Jak zawsze żywiołowa, zdawała się być zachwycona, że go widzi.

- Jak śledztwo? - zapytała.

Malko zrobił kwaśną minę.

- Galimatias. Nie mam pewności w stosunku do czegokolwiek. John Tumer jest nie do zacementowania. Chwilami, mimo wszelkich poszlak, zastanawiam się, czy nie jesteśmy na zupełnie fałszywej drodze.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem i wyjęła z torebki paczkę Marlboro Light oraz swoją zapalniczkę Zippo Swarovski.

Malko miał wrażenie, że chce mu się z czegoś zwierzyć.

Zaczekała, aż przyniesiono im sałatkę z tuńczyka i powiedziała:

- Nie wiem, czy to w czymś pomoże, ale całkiem przez przypadek uzyskałam pewną informację na temat Johna Tumera.

Malko nadstawił ucha.

- Co takiego?

- Nie wiem, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie... Jadłam lunch z jedną z moich koleżanek z Agencji. Opowiadała mi o wakacjach. Była tego lata na Wyspach Dziewiczych ze swoim facetem. I spotkała w samolocie Johna Tumera, samego. Leciał do Saint-Thomas.

- Wyspy Dziewicze! - powtórzył Malko.

Sposób, w jaki to wypowiedział, zaskoczył Laurę.

- Czy to ważne?

- Być może - odparł Malko, zamyślony.

Na Wyspach Dziewiczych wiele osób spędzało wakacje. Nie chciał okazać się paranoikiem. Nawet jeżeli wybierał się tam Philip Westland.

- To, co mnie dziwi - podjęła Laura Putnam - to to, że był sam.

To nie jest takie miejsce, gdzie...

Wybuchnęła śmiechem.

- Gdzie co?

- No, może miał chęć na małą czarną... Pełno tam rastamanów. Bardzo egzotycznie...

Dokończyli posiłek. Jak większość Amerykanów, Laura nie jadła zbyt wiele w południe. Rzuciła mu kokieteryjne spojrzenie.

- Pomogłam panu?

- Mam nadzieję.

- A więc proszę o koniak. Francuski. To mi doda odwagi przed powrotem do Białego Domu.

Malko z przyjemnością zamówił Otard X0.

Podróż Johna Tumera podsunęła mu pewien pomysł.

Pozwolił Laurze w spokoju wysączyć kieliszek i wyszli.

- Ja również - powiedział - wybieram się do Białego Domu.

Malko został wpuszczony do gabinetu Franka Capistrano natychmiast, mimo że nie był umówiony.

- Ma pan coś nowego? - zapytał doradca, nie mówiąc nawet „dzień dobry”.

- Jeszcze nie. Ale mam może ślad.

Opowiedział o tym, co przekazała mu Laura.

Frank Capistrano był na bieżąco w kwestii Philipa Westlanda, więc połapał się natychmiast.

- Zażądam od FBI, by sprawdziło listy pasażerów wylatujących na Wyspy Dziewicze z Waszyngtonu. - Od jutra.

- To jest longshot - wyznał Malko.

- Ale musimy skorzystać z każdej szansy. - You bet - odparł Frank Capistrano. - Prezydent każdego ranka pyta mnie, co robimy w tej sprawie.

Mam wrażenie, jakbym siedział na beczce prochu.

Zaraz za rzeką Anacostia, która jest naturalną granicą między dystryktem Columbia i stanem Maryland, New York Avenue wikła się w sieć autostrad biegnących po przez cherlawą zielen Anacostia River Park.

John Tumer za Prince George County skręcił w kierunku Nowego Jorku.

Wkrótce dotarł do niewielkiej osady, Cheverly. Miał wrażenie, iż znalazł się w Afryce. Nie widział ani jednego białego. Jechał dalej przez Kilmer Street, dzielnicę starych, zrujnowanych domów, zamieszkałych przez dzikich lokatorów. Znalazł się w wyjątkowo podłej okolicy. Zatrzymał się przed budynkiem, który wyglądał na pusty hangar. Żadnego światła, żadnych znaków życia. Za czekał pięć minut za kierownicą volvo z wygaszonymi światłami, żeby sprawdzić, czy ktoś go nie śledzi. Wreszcie wyszedł z samochodu i pchnął drzwi hangaru. Za ledwie przeszedł kilka kroków, z cienia wyłoniły się trzy sylwetki. Byli to czarnoskórzy, w bluzach z czarnego nylonu, z ogolonymi na tyso głowami.

Otoczyli go i jeden z nich zapytał:

- Hey, mań, where do you thinkyou 're going?

This is private, here. Get lost!

- Powiedźcie „Black Knightowi”, że jego brat przyszedł - odparł John Tumer, nie wyjmując rąk z kieszeni płaszcza.

Nie miał broni, ale wołał, by myśleli inaczej.

Wyglądali na zaskoczonych. Jeden z nich wyjął z kieszeni komórkę i powiedział parę słów ściszym głosem.

- Hej, facet, wiesz, gdzie jesteś? To teren prywatny. Spadaj!

- OK - rzucił.

- Come along.

Przeszli przez zrujnowaną fabryczną halę. Wyszli na zewnątrz przez tylne drzwi i zagłębili się w labirynt zrujnowanych domów. Trafili do następnej, podobnej hali, pod sufit wypełnionej pudłami i skrzyniami.

Strzegło jej mnóstwo czarnych, zajętych grą w karty.

Z pewnością były to „spady” z ciężarówek, które można było tu kupić po „okazyjnej” cenie. Piętrzyły się tu nawet jedne na drugich meble z Rzymu i od Claude’a Dalle’a. Kiedy dotarli do niewielkiego, drewnianego baraku, jego przewodnik trzykrotnie zapukał do drzwi i odsunął się, by go wpuścić. Czarny ogromnego wzrostu, blisko dwumetrowy, wstał na jego widok.

Miał na sobie czarny podkoszulek, co sprawiało wrażenie, jakby był nagi.

Na szyi nosił złoty łańcuch i podobnie jak tamci, miał wygoloną czaszkę.

Za szerokim, skórzanym pasem tkwił glock 9 mm.

Uścisnął, Johna Tumera, jakby ten był naprawdę jego bratem.

- Allah Akbar! - rzucił ochryłym basem.

- Niech błogosławieństwo Allacha będzie z tobą, bracie!

Na tym nędznym przedmieściu Waszyngtonu wszystko to zdawało się być czymś nierealnym. John Tumer uśmiechnął się, nie odpowiadając. Nie przepadał za wylewnymi demonstracjami uczuć.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Czekamy tylko na ciebie.

Abu Jihad, inaczej „Black Knight” - był jednym z nie wielu pozostałych przy życiu członków ruchu „Czarnych Panter”. Nawrócił się na islam już dawno i całym sercem nienawidził białych i Ameryki. John Tumer zasługiwał na łaskę w jego oczach tylko dlatego, że należał do al Kaidy.

„Black Knight” był wiele razy w Afganistanie. FBI nie miało o tym pojęcia, gdyż trafiał tam przez Londyn, lub Pakistan. Utrzymywał się z napadów na ciężarówki i spędził już sześć lat w więzieniu. John Tumer wyjął z kieszeni płaszcz grubą kopertę.

- Tu masz to, czego potrzebujesz.

- OK. Przedstawię ci tych, którzy pojedą ze mną.

Zagwizdał cicho przez zęby i do pomieszczenia weszło dwoje czarnych. Mężczyzna był podobnych rozmiarów co „Black Knight”.

Wyciągnął do Johna Tamera dłoń szeroką jak łopata.

- Hi, hrother, jestem Abu Kassim. Możesz mi mówić Sam.

Kobieta była olśniewającą pięknnością.

Mogłaby być jedną z modelek, których zdjęcia ukazują się w Ebony.

Czerwone usta, tak ciemne, że wyglądały prawie jak czarne, proste włosy, wspaniale zarysowane brwi... Ubrana była w szorty ukazujące niewiarygodnie długie nogi, które zdawały się być jeszcze dłuższe ze względu na wysokie obcasy. Każdy biały bez oporów uległby jej czarowi.

John Tumer wyciągnął do niej dłoń i uśmiechnął się z pewnym skrępowaniem.

- I am sister Credence Proudfoot - powiedziała.

Jej palce były niewiarygodnie długie, nie tylko ze względu na dwucentymetrowe, ostre paznokcie.

- Sister Credence nie odnalazła jeszcze prawdziwej wiary - wyjaśnił „Black Knight” - ale jest jedną z naszych.

Czarna kobieta rzuciła Tumerowi spojrzenie, które przywiodłoby do upadku świętego. Pomyślał, że jeśli się nawróci, dzięki jej powierzchowności świętej Teresy z Lisieux, w Mekce zabraknie miejsca dla tłumów wiernych.

Pomyślał również, że cała trójka zanadto zwraca na siebie uwagę, nic jednak nie mógł na to poradzić. Credence Proudfoot odwróciła się tyłem do nich, sięgając po paczkę papierosów, co pozwoliło im na podziwianie jej pośladków godnych Afrodyty. Każdego normalnego mężczyznę była w stanie doprowadzić do szaleństwa. Palila zmysłowo, spod półprzymkniętych powiek obserwując Johna Tamera. Ze wszystkich obecnych w pomieszczeniu, ona właśnie była najniebezpieczniejsza. Oficjalnie tancerka go-go i piosenkarka, w rzeczywistości stanowiła czysty produkt gangsta rapu. Pracowała dla dwóch swoich kolejnych kochanków jako kierowca przy napadach na ciężarówki. Nienawidziła establish mentu tak samo jak „Black Knight” i żyła mitem „Czarnych Panter”. Mogła mężczyźnie wydrapać oczy swoimi długimi paznokciami, co zresztą raz uczyniła z pewnym pijakiem, który wpadł na wyjątkowo głupi pomysł, bo próbował ją zgwałcić. John Tumer spojrział na zegarek.

- Bądźcie na Emerald Beach za trzy dni - powiedział.

- Od tej chwili kontaktujcie się z bratem, którego numer wam dałem. Potem czekajcie na mnie.

- OK - zgodził się „Black Knight”. - Możesz na nas liczyć, brother.

Credence Proudfoot wciągnęła właśnie nosem działkę koki.

Nie zwróciła nawet uwagi na wyjście Johna Tumera. Jej życie było złożone z kilku prostych składników: wariackiej jazdy samochodem, magnum 357 w dłoni, seksu... A wszystko w lodowatych oparach kokainy.

„Black Knight” poprowadził Tumera do jego volvo po przez labirynty opuszczonych fabryk i zrujnowanych domów. Odjeżdżając, agent CIA był już spokojniejszy. Wykonał najtrudniejsze zadanie z tych, które go czekały. Dając pieniądze „Black Knightowi” mógł być pewny, że wyegzekwuje on od swoich ludzi, by nie zajmowali się teraz napadami, z których każdy mógł się źle skończyć. Potrzebował ich. Teraz wszystko już było rutyną. 11 września upewnił go o tym. Maszyna poszła w ruch i sądził, że operacja, którą szykował od miesięcy przebiegnie zgodnie z planem. Jadąc New York Avenue, czuł rodzaj dumy. Poprzedni projekt był pomysłem ludzi Szejka. Ten był jego wyłącznym dziełem, od A do Z. To warte było ryzyka. Ironia losu: jutro jak zwykle wróci do Langley, by studiować obszerne raporty, w których nie znajdowało się nic godnego uwagi.

- Nic - oświadczył Frank Capistrano, przygnębiony. - Kazałem sprawdzić wszystkie loty na Wyspy Dziewicze aż do końca roku. Znaleźliśmy nazwisko Philipa Westlanda, ale nie Johna Tumera. Czyba nie podróżuje pod fałszywym nazwiskiem?

Malko potrząsnął głową.

- Mało prawdopodobne. Jest na to zbyt inteligentny. Według nowych zasad bezpieczeństwa, sprawdza się do kładnie tożsamość pasażerów przy wsiadaniu.

Znajdowali się w gabinecie specjalnego doradcy w Białym Domu. Patrzyli na siebie, zakłopotani i rozczarowani.

- Pomyliłem się - wyznał Malko.

Frank Capistrano potarł dłonią o dłoń. Było widać, że trawi go niepokój. Od rana prezydent dopytywał się o stan śledztwa. Special Advisor westchnął głęboko.

- Malko - powiedział - pozostaje mi tylko jedno. Słyszałem, że plotki, które miały krążyć tylko wewnątrz Agencji, dotarły już do Biura. Ślinię się na samą myśl, że mogliby odkryć człowieka ben Ladena w Langley. To jedno. A drugie to to, że jeśli zamach jest przygotowywany, a my nic nie zrobimy, to gotowi są nas rozszarpać. Muszę więc działać.

-Jak?

- Każę FBI aresztować Johna Tumera i Philipa Westlanda.

- Pod jakim zarzutem?

- W przypadku Westlanda to nie będzie trudne. Wystarczy to, co robił w Afganistanie. Ale John Tumer to bardziej delikatna kwestia. Coś może jednak odkryją w jego komputerze.

Malko posłał mu uśmiech pełen niedowierzania.

- To byłoby bardzo dziwne. Jest na to zbyt ostrożny. Jeśli pan ich aresztuje, al-Kaida najwyżej trochę opóźni swoją operację, o ile nie jest ona już w ostatecznym stadium.

- Nie mogę podjąć ryzyka, którego pan ode mnie wymaga - wyznał Frank Capistrano.

W gabinecie zapadła ciężka cisza, którą po chwili przerwał Malko.

- Pozostaje jeszcze jeden ślad, którego nie sprawdziliśmy. Właściciel pakistańskiego kantoru na Brooklynie, Gulbuddin Al-Rashid.

- Nie żyje.

- On tak, ale pozostają jeszcze jego pracownicy. Być może coś widzieli.

Jeżeli ich szef został zlikwidowany, to dlatego, by nie mógł niczego powiedzieć. Jedyne wytłumaczenie - znał Johna Tumera.

- A więc?

Malko uśmiechnął się chłodno.

- Trzeba przynajmniej spróbować z nimi porozmawiać.

- Jak? Wysłać tam FBI?

- Nie. Sam to zrobię. Ma pan zaufanie do Chrisa Jonesa i Miliona Brabecka?

- Tak, oczywiście.

- Czy znali Johna Tumera?

- Nie wiem. Po co to panu?

- Naszą jedyną szansą jest porozmawiać z tymi ludźmi wyjaśnił Malko.

- To będzie operacja na granicy prawa.

- Pójdę tam ze zdjęciem Tumera i w towarzystwie panów Brabecka i Jonesa. Ale trzeba będzie posłużyć się metodami, powiedzmy, brutalnymi.

Nie może nas pan kryć.

Frank Capistrano nie wahał się ani chwili.

- Oczywiście, że będę was krył. Nawet jeśli to jedna szansa na milion, to jest to warte zachodu.

- A zatem niech pan zawoła Chrisa Jonesa i Milona Brabecka. Niech im pan nakaze milczenie i zapewni, że są chronieni, i że to pan wysyła ich ze mną. Jeśli to nic nie da, aresztuje pan Tumera i

Westlanda, a ja wrócę na święta do Liezen.

Frank Capistrano trzymał już w ręku słuchawkę telefonu.

- Niech pan czeka w Willardzie - powiedział.

Chris Jones i Milton Brabeck cieszyli się jak dwa dalmatyńczyki, które odnalazły pana. Byli podobni do siebie jak dwie krople wody: krótkie włosy, szare oczy, krzykliwe krawaty i źle skrojone garnitury, kiepsko ukrywające ogromne kłęby mięśni. Lepiej już były pochowane rozmaite rodzaje broni, którą byli wprost obładowani. We dwóch posiadali siłę ognia plutonu piechoty.

- Nie wiedzieliśmy, że pan tu jest! - zawołał Chris Jones.

- Szlag nas trafia. Wykonujemy rozkazy dupków, którzy boją się własnego cienia. Wydział Operacyjny jest w stanie reorganizacji.

- Gdzie tym razem jest robota?

- Milton Brabeck był w wyjątkowo dobrym humorze.

Amerykańscy na 100%, cały świat poza wschodnim wy.

brzeżem Stanów Zjednoczonych postrzegający jako wrogi nam ląd, pełen niebezpiecznych bestii. Przebrani w ślad za Malkiem udawali się w miejsca, których nawet nazwy przyprawiały o dreszcz. Nie bojąc się Boga - zwłaszcza - ani diabła, bali się jedynie komarów, wirusów i pasożytów.

- W Nowym Jorku - odparł Malko. - A dokładniej na Brooklynie.

Chris Jones skrzywił się.

- To już nie u nas. Pełno gudłajów, czarnuchów, Polaczków i innych odrażających typów. Na przykład facetów w turbanach. Co mamy robić?

Malko pokazał im zdjęcie otrzymane od Franka Capistrano.

- Mówi wam coś ta twarz?

Był to portret Johna Tumera. Przyjrzeni mu się uważnie i po chwili odpowiedzieli niemal chórem:

- Nie.

Malko poczuł ulgę. Teraz mógł się posunąć dalej. Wolał nie myśleć, co by było, gdyby im powiedział, że chodzi o zdrajcę, do tego jeszcze z CIA!

- Idziemy pogadać z Pakistańczykami na Brooklynie - powiedział.

- Co? - obruszył się Milton Brabeck.

- Kumplami tego matkojebcy ben Ladena? Trzeba wykończyć wszystkich Arabów, ot i cała prawda.

- Pakistańczycy nie są Arabami - poprawił go Malko.

Ale ci, z którymi mam do pogadania, prawdopodobnie pracują dla al Kaidy.

- Mamy im przenicować gęby? - zapytał Chris z miną łakomczucha.

- Potrzebuję informacji. Myślę, że znają człowieka z fotografii. Ale nie przypuszczam, by chcieli się do tego przyznać, nawet jeśli będę ładnie prosił.

Chris Jones pokiwał smutno głową, jak ktoś, kto dobrze zna życie.

- Zawsze mi mówiono, że dobre słowo i pistolet przy stawiony do głowy daje głowie więcej do myślenia niż samo dobre słowo...

- A zatem, do Brooklynu - powiedział Malko. - Za bierzcie waszą artylerię.

Spotkamy się w pociągu.

Brodaty strażnik, uzbrojony w strzelbę, spojrzał zaintrygowany i zaniepokojony na trzech białych, którzy weszli do kantoru.

Chris Jones i Milton Brabeck nie wyglądali na klientów. W najlepszym z możliwych przypadków - na agentów FBI.

Malko przechylił się poprzez kratę dzielącą pomieszczenie i spytał młodego człowieka, zajętego lekturą Koranu:

- Mister Gulbuddin al-Rashid?

Młody człowiek popatrzył na niego ze zdziwieniem.

-Nie żyje. Został zamordowany dwa tygodnie temu.

- Kto go zastępuje?

- Jego bratanek, Mamoud.

- Mogę się z nim widzieć?

- Nie ma go.

Malko zmierzył swojego rozmówcę wzrokiem.

- Dawno tu pan pracuje?
- Rok. A o co chodzi? Jest pan z policji?
- Gorzej, synu - wtrącił się Chris Jones.

- Potrzebuję tylko informacji - wyjaśnił Malko. - Zna pan tego człowieka?

Podał mu przez kratę zdjęcie Johna Tumera.

Młody człowiek, ledwie tylko rzucił na nie okiem, odpowiedział szybko: „nie” i pogрузzył się znów w lekturze Koranu.

Widząc, że trzech mężczyzn nie wychodzi, uniósł głowę.

- Chcą panowie wymienić pieniądze?

- Nie - odparł Malko. - Chcę widzieć się z M dem al-Rashidem.

- Jeśli nie chcą panowie wymienić pieniędzy, to sobie iść - rzucił młody człowiek.

Kiedy ani drgnęli, wstał i zaczął coś krzyczeć na całe gardło w urdu.

Kilka rzeczy zdarzyło się równocześnie. Brodaty strażnik wbiegł do pomieszczenia ze strzelbą gotową do strzału. Nie przekroczył jednak nawet progu. Chris ruchem prestidigitatora wyciągnął chromowane magnum 357 i przystawił lufę imponującego kalibru do czoła brodacza.

- Jeśli natychmiast nie rzucisz tego gnata - powiedział uprzejmie - będziesz zeskrobywał własny mózg ze ściany.

Strzelba upadła z metalicznym brzękiem. Młody pracownik kantoru zawył z bólu. Milton Brabeck chwycił go za gardło i wyciągnął jego głowę przez szparę między prętami kraty, co zdawało się prawie nie możliwe bez urywania uszu. W lewej ręce trzymał glocka 9 mm.

Zaczął systematycznie okładać chłopaka lufą po twarzy.

- Nie chcemy wymieniać pieniędzy - powiedział.

- Ale ja mam ochotę zmienić trochę twoją gębę. Nie podoba mi się.

Przedstawiciel Ligi Obrony Praw Człowieka byłby przerażony.

Młody Pakistańczyk wrzeszczał jak zarzynany.

Malko jednak przez cały czas zachowywał swój anielski uśmiech.

Rozmowa dopiero się zaczynała.

Podsunał Pakistańczykowi przed oczy zdjęcie.

- Jest pan pewien, że go nie zna?

Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Milton Brabeck odbezpieczył glocka i przystawił mu lufę do podbródka.

- Uwaga! - powiedział. - Będzie jak w teleturnieju.

Pierwsza odpowiedź się liczy.

Przerażony chłopak milczał. Oczy wychodziły mu z orbit.

Malko usłyszał, że ktoś schodzi z góry.

Nacisk lufy glocka zwiększył się i chłopak zaczął nagle wrzeszczeć:

- Tak, tak, znam go!

- Co? - spytał Milton Brabeck.

- Wymieniał pieniądze!

Malko włączył się do rozmowy.

- Kiedy?

-Nie pamiętam. Kilka miesięcy temu.

Malko aż podskoczył z radości. Nareszcie miał świadka!

John Tumer nie miał już szans, by wygrzebać się z tego.

- Jakie pieniądze? - spytał.

Młody człowiek nie zdążył odpowiedzieć.

Drzwi za jego plecami otworzyły się i ukazał się w nich brodacze w pakistańskim stroju, uzbrojony w strzelbę. Krzyknął dziko i nacisnął spust.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ogłuszająca detonacja wstrząsnęła ścianami mikroskopijnego biura, wzbijając chmurę gipsowego pyłu.

Malko zamarł na ułamek sekundy. Spodziewał się, że prosto w twarz uderzy go strumień śrutu. Poczuł jednak tylko gorące tchnienie gazu przy prawej skroni. Za to młody człowiek krzyknął i rozplaszczyl się na kracie, jakby pchnęła go na nią jakaś niewidzialna dłoń. To do niego strzelał nowo przybyły, jemu nafaszerował plecy ołowiem. Brodacz nie miał już czasu na przeładowanie strzelby. Milton Brabeck nacisnął spust glocka, nawet nie celując, i trzymał go aż do opróżnienia magazynka. Brodacz wypuścił broń i odtńczył coś w rodzaju tańca świętego Wita, w miarę, jak kolejne pociski pogrążały się w jego ciele. Był już martwy, zanim upadł na ziemię.

Strażnik, biały jak prześcieradło, stał sparaliżowany pod terrorem potężnego magnum 357. Chris tylko odwrócił głowę, zwracając się do Miliona Brabecka:

- Nic ci nie jest?

- Nikomu nic nie jest - odparł tamten spokojnym głosem.

Nie była to prawda. Zabójca pracownika kantoru był bardzo, bardzo martwy, drugi zaś, choć jeszcze rzeził, miał się niewiele lepiej.

Paskudny odór kordytu wypełnił wnętrze i drażnił nozdrza Malka.

- Milton, skocz na górę i sprawdź, czy nie ma tam jeszcze kogoś - powiedział.

Agent uchylił drzwiczki w przepierzeniu i zniknął.

Malko pochylił się nad pracownikiem kantoru. Miał już szklane oczy, z ust wydobywały się krwawe bańki, a jego plecy przypominały befsztyk.

- Słyszysz mnie pan? - spytał Malko.

Ranny nie odpowiedział. Jego oddech przyspieszył, zakasłał dziwnie i nagle wszystko się urwało. Płuca, nadziane kawałkami ołowiu, przestały funkcjonować. Z góry zszedł Milton Brabeck, prowadząc kobietę w typie orientalnym, w chustce na głowie.

- Ona była na górze - powiedział.

Ludzie zaczęli gromadzić się na chodniku. W każdej chwili należało spodziewać się policji.

Malko wyjął komórkę i wstukał numer Franka Capistrano.

- Mam spotkanie - powiedział ten ostatni.

- A ja jestem na Brooklynie - odparł Malko. - Pracownik kantoru zaczął mówić. Widział już naszego klienta.

- Great Powinien powiedzieć coś więcej!

- Nie powie. Został zabity przez swojego szefa, bratanka właściciela kantoru, zamordowanego dwa tygodnie temu. Wolał mu przeszkodzić mówić, niż strzelać do nas. Jesteśmy na miejscu i przeszukujemy kantor. Niech pan uprzedzi NYPD, żeby nie robili nam trudności.

Był na to najwyższy czas. Nadszedły radiowozy. Agenci schowali broń i pierwszemu z wchodzących policjantów pokazali legitymacje Secret Service, ich oficjalną „przykrywkę”. Trzy minuty później kantor wypełnił się ludźmi w mundurach i zaczęły się targi...

Tym razem George Tenet, Dyrektor CIA, uczestniczył w spotkaniu w gabinecie Franka Capistrano. Doradca Białego domu zwrócił się do Malka: - Niech pan podsumuje, co wiemy.

Czego dowiedzieliście się na Brooklynie?

- Urzędnik kantoru, który prowadzi wymianę w systemie hawala rozpoznał Johna Tumera na zdjęciu. Nie zdążył nic więcej powiedzieć, bo jego szef zabił go na naszych oczach. Sam został zabity przez Miliona. Poświęcił życie, byle tylko przeszkodzić tamtemu mówić. Wszystko przetrząsnęliśmy, przepytaliśmy sekretarkę, ale nikt nie potrafił nam nic więcej powiedzieć.

George Tenet zauważył:

- To słabiutko...

- Rzeczywiście - przyznał Malko. - Ale właściciel tego kantoru, który pracował dla al Kaidy, został zabity przez człowieka, który próbował potem wysadzić samolot ze mną na pokładzie. Zastanawiałem się, dlaczego został zabity. Teraz już mam wytłumaczenie. Musiał znać Johna Tumera, skoro jego pracownik rozpoznał go na zdjęciu...

Dyrektor CIA potrząsnął głową.

- Wszystko to wspaniała spekulacja, ale żaden świadek nie żyje.

Co jeszcze?

- Koincydencja między podróżą Johna Tumera na Wyspy Dziewicze kilka miesięcy temu, a tym, co robi w ostatnich dniach inny człowiek al Kaidy, Philip Westland alias Abu Suleyman.

- Sprawdziłem wszystkie rezerwacje na Wyspy Dziewicze w ostatnich dniach - podjął Frank Capistrano. - nazwisko Johna Tumera nigdzie się nie pojawiło.

- Myślał pan o Montrealu?

- Myślałem o Montrealu.

Anioł pojawił się w pokoju w śmiertelnej ciszy, w zielonej szacie.

I odleciał ku ogrodowi Białego Domu.

- Jakie cele strategiczne mogą znajdować się na Wyspach Dziewiczych?

- spytał Malko.

- O tej porze roku? - Frank Capistrano wzruszył ramionami.

- Morze, piasek i słońce.

- Jest również wielka rafineria ropy w Sainte-Croix - dorzucił George Tenet.

- Jedna z większych w Stanach Zjednoczonych.

- Bezustannie strzeżona - westchnął Frank Capistrano. - Przez wojsko.

George Tenet wstał i spojrzał ostentacyjnie na zegarek.

- Bądźmy w kontakcie - rzucił. - Ale miejcie coś konkretnego.

Człowiek rozpoznany na zdjęciu przez martwego, to się nie utrzyma nawet przez trzydzieści sekund przed ławą przysięgłych.

Kiedy Frank Capistrano został sam na sam z Malkiem, westchnął ciężko.

- Dałby nie wiadomo co za to, żeby ten John Tumer okazał się niewinny.

Nic dziwnego, broni własnego podwórka. Ale ja myślę, że jest pan na dobrym tropie. Poproszę prezydenta o decyzję. Nie ma co chować głowy w piasek. Myślę, że trzeba aresztować Tumera.

- Nadal pracuje w grupie antyterrorystycznej?

- Myślę, że tak. Inaczej George Tenet by nam powiedział.

Ale możemy sprawdzić.

Nacisnął guzik interkomu i poprosił sekretarkę, by połączyła się z Wydziałem Operacyjnym w Langley i sprawdziła, czy John Tumer jest na miejscu. W oczekiwaniu na odpowiedź zapalił jedno ze swoich grubych cygar, posługując się jak zwykle swoją patriotyczną Zippo. Kiedy po kilku chwilach zadzwonił telefon, Malko dostrzegł, jak szczęki Franka Capistrano zaciskają się.

- Co? - rzucił. - Jest na wakacjach?

Odłożył słuchawkę i wyjaśnił:

- Od wczoraj jest na wakacjach. Wróci 3 stycznia.

Był 22 grudnia.

- To nie jest zły czas na wakacje - zauważył Malko. Sam najchętniej wróciłbym do Liezen. Chciałbym jednak wiedzieć, gdzie wyjechał na te wakacje.

Sekretarka Franka Capistrano wzięła się do roboty. Po trzech telefonach było wiadomo, że data urlopu Johna Tumera została ustalona już piętnaście dni temu, ale nikt się tym szczególnie nie interesował.

- Nie mówił nikomu, dokąd się wybiera?

- nalegał Malko.

- Nie. I nikt go o to nie pytał. Prawdopodobnie jest po prostu u siebie.

- Wskoczę na chwilę do Falls Church. Wrócę na lunch.

- OK.

12.30 w OldEbbit Grill.

- Szuka pan pana Tumera?

Malko stał przed drzwiami dobrze znanego sobie domu. Odwrócił się i ujrzał kobietę w puchowej kurtce, prawdopodobnie sąsiadkę.

-Tak.

- Wyjechał wcześniej rano. Pakował walizki do bagażnika.

Malko podziękował i ruszył do Waszyngtonu.

Zatrzymał się na chwilę w Falls Church i zadzwonił z budki. Telefon Johna Tumera nie odpowiadał. Sekretarka była wyłączona.

Frank Capistrano podskoczy pod sam sufit - pomyślał.

John Tumer prowadził spokojnie, dbając, by nie przekraczać limitu 55 mil. Jechał przez Georgię, przekonany, że był już najwyższy czas, by zniknąć. W ostatniej chwili zdecydował się na jazdę samochodem. Przyczyną był artykuł w Washington Post na temat incydentu na Brooklynie. Żadnej wzmianki o nim, rzecz jasna. Według gazety, kantor został napadnięty przez bandytów, którzy zabili dwóch pracowników i uciekli. Nie uwierzył. Wszyscy w dzielnicy wiedzieli, że kantor należy do wpływowej rodziny pakistańskiej, a pieniądze są trzymane bezpiecznie w biurach na pierwszym piętrze. Ziewnął. Droga z Waszyngtonu do Miami była długa i monotonna. Znalazł w radiu muzykę klasyczną i zaczął się zastanawiać, gdzie będzie za miesiąc. Tym razem miał ze sobą „prawdziwie fałszywy” paszport, wydany w czasach, gdy brał udział w tajnych operacjach CIA, mając fałszywą tożsamość, której nikt nie mógł zakwestionować. Odnawiał regularnie ten paszport i mógł się teraz nim posłużyć. Trzeba by było szukać w archiwum tajnych operacji, by natrafić na ten ślad. Po dwóch latach wszystko było przenoszone na mikrofilmy i znalezienie właściwego dokumentu zakrawało na

cud. Szukali tego? Nie wiedział. Jednak, nawet jeżeli nie w pełni po wiodły się wysiłki rozluźnienia pętli wokół jego szyi, to jego przeciwnikom - tak ich powinien nazywać - udało się jeszcze mniej. Był tylko podejrzanym, nic więcej. A było już dla nich za późno. Zdecydował, że nie wróci do Stanów. Nie należy kusić licha. Do Pakistanu też się nie wybierał. Od tygodnia dyskretnie spieniężał swoje aktywa i przenosił wszystko na konto w banku na Kajmanach. Nikt nie miał szans, by odkryć te fundusze. Miał dość pieniędzy, by jeszcze spokojnie pożyć.

- Austriacy nie wyciągnęli ani słowa od Johna Reeda oświadczył Frank Capistrano. - Zełgał im, że chciał popełnić samobójstwo i że nie ma żadnych związków z al Kaidą. Pokazano jego zdjęcie strażnikowi z Brooklynu, który formalnie zidentyfikował go jako zabójcę Gulbuddina al-Rashida.

Rozmawiali przy stoliku restauracji Old Ebbiti Grill nad talerzami pełnymi ostryg „Blue Point”.

- Co na to odpowiedział?

- Że tamten się myli, że to nie on. Nie znaleziono broni. Z pewnością pistolet z tłumikiem. To była egzekucja. Nic nie zginęło, mimo że sejf był otwarty. Co najciekawsze, John Reed miał przy sobie parę tysięcy w banknotach studolarowych. Można określić ich pochodzenie. Pochodzą z agencji Bank of New York na Brooklynie.

- Ekspozytura hawali?

- Nie można tego stwierdzić z całą pewnością, ale to możliwe.

- John Tuner podjął więc tam pieniądze i opłacił zabójcę częścią tych funduszy.

- To pan tak mówi - rzekł ostrożnie Amerykanin.

- Ale to pasuje do tego, co już wiemy. Tak czy inaczej, obawiam się, że John Reed nie będzie mówił.

- A zatem jesteśmy w martwym punkcie - podsumował Malko.

- John Tuner jest na wolności. Odjechał samochodem nie wiadomo dokąd.

- Nie można dotrzeć na Wyspy Dziewicze samochodem - zauważył Frank Capistrano. - Uprzedziłem już INS. Kiedy pojawi się w punkcie kontrolnym zostanie na mierzone.

- Wyspy Dziewicze są częścią Stanów Zjednoczonych...

- Nie całkiem. Mają niepełny status. Stosuje się tam kontrolę imigracyjną i celną.

- Co jeszcze można zrobić?

- Przekazaliśmy sygnał alarmowy do rafinerii w Sainte-Croix. Mają wzmocnić kontrolę.

- To wszystko są środki pasywne. Jak modlitwa.

- Ma pan jakiś lepszy pomysł?

zapytał Frank Capistrano niemal agresywnie.

Jacyś dwaj mężczyźni przy barze zanosili się gwałtownym śmiechem, rozmawiając.

- Pozostaje jeszcze jeden ślad - stwierdził Malko.

- Philip Westland, który wybiera się na Wyspy Dziewicze. Chciałbym móc „wziąć go w obroty”. Tam.

- Miałem to panu zaproponować - powiedział natychmiast Frank Capistrano. - To nasz ostatni ślad, nawet jeśli nikły. Ale nie pozwolę panu jechać tam samemu. Chris Jones i Milton Brabeck będą panu towarzyszyć. Co więcej, jako agenci Secret Service mają prawo podróżować amerykańskimi liniami, nie rozstając się ze swoją artylerią.

- Skoro tak, to jutro jadę.

- Spryciarz - rzucił ironicznie specjalny doradca Białego Domu.

- Będzie pan mógł się poopalać.

Jego wesołość była całkowicie udawana. Spojrzenie wskazywało coś zupełnie innego. Dla podniesienia morale zamówił Otarda X0, którego zaczął rozgrzewać swoimi grubymi palcami. Malko milczał. Wiedział, że Frank Capistrano wierzy w udział Johna Tumera w zamachach z 11 września i w to, że przygotowuje on następne. To nie zapewniało spokoju.

Chris Jones spojrzał zrezygnowany na tłum przelewający się w hallu lotniska w Saint-Thomas.

- Czarnuchy - westchnął.

- Ale, co prawda to są nasze czarnuchy.

- Co więcej - dodał Milton Brabeck - jest ciepło.

Agenci byli odziani stosownie do klimatu. Nosili ciemne okulary Zippo, Chris w żółtej, a Milton w zielonej oprawce, hawajskie koszule i płócienne spodnie, f Chariotte Amalie, stolica wyspy Saint-Thomas, po prostu kipiała życiem. Była cudowna ze swoimi starymi domami o malowanych okiennicach i dachach krytymi czerwoną blachą. Należała po trosze do całego świata. Najpierw do Danii, potem do Wielkiej Brytanii i do Hiszpanii, wreszcie do Ameryki. Od początku XX wieku archipelag był podzielony pomiędzy Stany Zjednoczone i Wielką Brytanię. Można tu było spotkać wszystkie style architektoniczne.

Malko i agenci zamieszkali w hotelu na Government Hill.

Miał ściany różowe i w kolorze ochry, okiennice zielone. Restauracja mieściła się na tarasie. Musiało być 28 stopni i oślepiające słońce wprost zalewało małą wyspę.

Malko ulokował się w swoim apartamencie i wyszedł na taras. Roztaczał się stamtąd wspaniały widok: pół tuzina cruise-ships, ogromnych statków pasażerskich, kotwiczyło na redzie. Wozily tysiące turystów, którzy odbywali tygodniowe wycieczki po Morzu Karaibskim, podczas których jedli, pili i uprawiali shopping.

Saint-Thomas i, bardziej na wschodzie, francuskoholenderska Saint-Martin były strefami wolnołowymi, gdzie amerykańscy emeryci mogli zakosztować morskiej przygody w bezpiecznym wydaniu.

Malko zapatrzył się na trzy z tych monstrów, cumujące przy centrum handlowym Heavensight. Pływające miasta. brzydkie i funkcjonalne.

Czwarty, Noway, trochę mniejszy, zakotwiczony był na samym środku redy, na wprost wyspy. Dwa kolejne było widać na zachodnim kotwiczowisku, pomiędzy Chariotte Amalie i portem lotniczym. Na każdym z tych statków mogło znajdować się od dwóch do trzech tysięcy pasażerów.

Nagle, przypominając sobie różne stare historie, Malko doznał olśnienia.

W pośpiechu wrócił do pokoju i wystukał numer komórki Franka Capistrano. Wyłączona. Wybrał numer stacjonarny.

- Mister Capistrano ma spotkanie - oświadczyła sekretarka.

- Niech go pani wywoła. Na pewno nie pożałuje. Niech mu pani powie, że wiem, po co nasz „klient” wybrał się na Wyspy Dziewicze.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

John Tumer patrzył przez iluminator hydroplanu na Morze Karaibskie w dole. Wystartował z Saint-Martin pół godziny temu i już wkrótce samolot miał wylądować w zatoce Saint-Thomas, dokładnie naprzeciwko Charlotte Amalie. Dwusilnikowa maszyna weszła w zakręt i ujrzał zielone wzgórza zabudowane niezliczonymi domami o dachach krytych blachą. Gwałtownie wytracili wysokość i trzy ogromne pływaki dotknęły spokojnej wody. Lekki wstrząs, warkot motorów na wstecznym biegu i samolot wykonał półobrót, kierując się do nabrzeża, najwyżej sto metrów od Holiday Inn, gdzie John Tumer miał zarezerwowany pokój na na zwisko Jacka Talberta, na które był wystawiony jego „prawdziwie fałszywy” paszport, wydany wiele lat temu przez Departament Stanu na prośbę CIA. Dokument, którego ślad przepadł na zawsze w meandrach administracji. Mimo porażki misji Johna Reeda rozkoszował się on terażniejszością, mówiąc sobie, że wszystko

przygotował bezbłędnie. Nawet gdyby Jamajczyk zaczął sypać, nie miał wiele do powiedzenia, nie wiedząc o nim nic, poza pseudonimem: „Zuluman Tango Tango”. Spotkał go tylko trzy razy, by dać mu pieniądze i „sprzęt”. Wyjeżdżając z Waszyngtonu samochodem, zatarł za sobą wszystkie ślady. Nawet gdy na coś natrafia, będzie już za późno. Jego volvo stało na strzeżonym, długoterminowym parkingu w Miami, z dala od spojrzeń ciekawskich. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje jego właściciel. Rezerwacji lotu Miami - Saint-Martin dokonał na fałszywe na zwisko.

Wysiadł i ustawił się w kolejce do kontroli imigracyjnej, gdzie na jego amerykański paszport zaledwie rzucono okiem. Wziął swój bagaż i ruszył w kierunku Holiday Inn, czując wewnętrzne podniecenie. Zamachy z 11 września były jego dziełem tylko w małej części. Pomagał wcielać w życie pomysł, na który wpadł wiele lat wcześniej Pakistanczyk Ramzi Joussef, zamknięty na resztę swoich dni w więzieniu stanowym w Nowym Jorku. Karę odsiadywał za pierwszy zamach na World Trade Center.

John Tumer wykonał wyjątkową pracę, koordynując 11 września cztery zamachy. Mógł to zrobić dzięki swojej znajomości Ameryki i pomocy Philipa Westlanda. Musiał wszystko zaplanować: znaleźć „dobre” loty, takie samoloty, które startowały mniej więcej w tym samym czasie z niezbyt odległych lotnisk, by na pokładzie był maksymalny ładunek paliwa. Sam sprawdzał lotniska, próbując przewidzieć, co może się zdarzyć. Potem musiał przekazać czterem ekipom rozkazy i wskazówki, aby unikać wszelkich niespodzianek. Z ludźmi spotykał się kolejno w Las Vegas, gdzie łatwo było pozostać anonimowym, Spotkania były krótkie i dyskretne: na parkingu, w toaletach, w mało uczęszczanych barach. Żaden z biorących udział w tej akcji nie znał nazwisk innych. Operacja była całkowicie utajniona. Mimo tych środków bezpieczeństwa i tych przygotowań, John Tumer wątpił do ostatniej sekundy, czy operacja się uda. Kamikadze byli zdeterminowani, ale, w przeciwieństwie do zawodowych pilotów, posiadali tylko tyle umiejętności, by skierować samolot na cel. Ale ich wyszkolenie nie należało do zadań Johna Tumera.

Kiedy zobaczył pierwszego boeinga na niebie pod Manhattanem, wbijającego się w północną wieżę We Trade Center, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Ironią losu, że jedyny problem, jaki się wyłonił, nie wynikał z błędu terrorystów, lecz był skutkiem zbyt dużego nasilenia ruchu w powietrzu, czego nie dało się uwzględnić w kalkulacjach. Tym bardziej był zdumiony, gdy obie wieże się zawaliły. Osama ben Laden widział w tym znak Allacha. John Tumer podejrzewał raczej poważny błąd architektów.

Dotarł do Holiday Inn. Wypełnił formularz rejestracyjny i wpłacił trzysta dolarów kaucji. Było 28 grudnia. Za trzy dni będzie panem świata.

Operacja, którą wymyślił, będzie równie spektakularna, co zamachy z 11 września, a jest o wiele prostsza w realizacji. Kilka miesięcy temu był na Wyspach Dziewiczych, by zbadać, czy wszystko jest wykonalne. Było.

I odpowiadało temu, czego pragnął ben Laden. Miało wywołać kolejny szok ekonomiczny i wstrząs emocjonalny u Amerykanów. Pasażerowie wielkich wycieczkowców byli w większości emerytami, przy bywającymi z czterech stron Ameryki. Ten turystyczny biznes był ważnym elementem gospodarki narodowej. Znowu, do tego skromnymi środkami, mógł zadać Ameryce niepomierne straty. Jeżeli wszystko miałoby pójść tak, jak przewidywał, efektem tej operacji byłoby, oprócz strat

materialnych, od dziesięciu do piętnastu tysięcy zabitych. O wiele więcej niż w World Trade Center. Do tego dochodziły jeszcze skutki odłożone w czasie. Wiele wysp karaibskich utrzymywało się tylko z obsługi pasażerów cruise-ships. Po wiedział sobie chłodno, że wszystko pójdzie jeszcze lepiej niż 11 września.

Nie czuł nienawiści do swoich przyszłych ofiar. Pocziwcy, rekompensujący sobie lata ciężkiej pracy kilkoma chwilami efemerycznych radości. Nie toczył wojny z Zachodem. Ruszał do ataku, który miał pomścić wszystkie jego krzywdy.

- Cruise-ships! Co chce pan przez to powiedzieć?

Najwyraźniej Frank Capistrano nie nadążał za myślą Malka.

Ten wyjaśniał więc dalej:

- To nie może być rafineria Sainte-Croix, bo jest za dobrze strzeżona. Ale niech pan sobie wyobrazi atak na jeden z tych cruise-ships, które są tutaj ciągle wraz z tysiącami pasażerów. Żadnych środków bezpieczeństwa, kiedy są na nabrzeżach. A nic nie przeszkadza temu, by ludzie z al Kaidy znaleźli się na jednym z tych statków.

- Jezu Chryste - rzucił Frank Capistrano. - Zaraz sprawdzę listy pasażerów z ostatnich dni z Miami, by zobaczyć, czy John Tumer nie znajduje się na którejś z nich. Ale ten pomysł wydaje mi się trochę wydumany.

- Nie sądzę - zaprotestował Malko. - Terrorysty myślą w określony sposób. Przed 11 września były dwie podobne próby: przede wszystkim Airbus Air France porwany w Algierze, którym chcieli uderzyć w wieżę Eiffla, tyle, że nie umieli pilotować. Następnie - Ramzi Joussef. To on wymyślił, by samoloty zmienić w latające bomby. Ze statkami jest podobnie. Były już dwa porwania: Achille Lauro, gdzie terroryści palestyńscy zabili tego nieszczęsnego inwalidę, Żyda Klinghoffera. I sprawa City of Po roś w Pireusie, gdzie było wielu zabitych. Niech pan sobie wyobrazi, że terroryści z al Kaidy opanowują cruisesj3syship i zaczynają wyrzucać pasażerów do morza. Zanim by podjęto akcję ratunkową, byłyby setki zabitych. Więcej, jeśli zatopiliby statek. Co nie wydaje się niemożliwe...

Długa cisza zapadła po drugiej stronie linii.

- W porządku, ma pan rację - powiedział po dłuższej chwili specjalny doradca Białego Domu. - Co, konkretnie, zamierza pan zrobić?

- Oczekując, aż znajdzie pan Johna Tumera, „wziąć w obroty” Philipa Westlanda, kiedy już się tu pojawi. To nasz jedyny trop.

Malko spojrzął na datownik swojego zegarka Breitling. Zostało jeszcze 48 godzin do jego przybycia, przewidzianego na 28 grudnia i pięć dni do 31 grudnia, kiedy w porcie miało znaleźć się najwięcej wycieczkowców. Spróbował wejść w skórę terrorystów, by przewidzieć, jak będą postępować. Wejście na pokład nie stanowiło żadnego problemu. Tak samo opanowanie statku. A na morzu sterować nim było dużo łatwiej, niż boeingiem 767. Z kilkoma tysiącami zakładników

terrorysty mogli dyktować warunki. Jeśli byli gotowi umrzeć, perspektywy były rzeczywiście zatrważające... Postanowił sprawdzić, jak można się dostać na jednostki zakotwiczone na redzie i zacumowane przy Heavensight. Pomyślał, że nie zaszkodzi wziąć ze sobą Chrisa Jonesa i Milтона Brabecka.

„Black Knight” rozgniół komara na swoim ramieniu i otworzył oczy.

Przez okno swojego pokoju w hotelu Emerald Beach dojrzał skrawek plaży, morze i kąpiących się w nim ludzi, a jakieś pięćset metrów dalej - zakotwiczony na redzie ogromny cruise-boat. Przybył tu niedawno z Credence Proudfoot i swoim kumplem Samem. Był bez broni i pragnął już wiedzieć, po co przyjechał na tę wyspę. Chciał wstać, ale Credence Proudfoot położyła lekką, lecz władczą dłoń na jego łonie.

- Baby\ - rzuciła rozespanym głosem. - Nie odchodź tak sobie.

Leżała na plecach, naga, jeśli nie liczyć podgolonego futerka tam, gdzie zbiegały się jej długie uda. Wydawała się być jeszcze wyższa niż w rzeczywistości. Zaplotła długie palce o pomalowanych na perłowo paznokciach wokół jego członka, powoli go masturbując, co sprawiło, że bardzo szybko urósł do niewiarygodnych rozmiarów. Kiedy stanął prawie pionowo, „Black Knight” chwycił ją za włosy i przybliżył jej twarz do swojego podbrzusza. Bez oporów wzięła członek w usta, dalej go masturbując. Czarny, usatysfakcjonowany przymknął oczy. Zapomniał o wszystkim. Myślał tylko o tym, by swój ogromny członek zanurzyć w jej gorącym wnętrzu. Odsunął jej głowę. Przewróciła się na brzuch, uniosła na kolanach z ramionami wspartymi o łóżko, tym gestem ofiarowując mu widok swoich wspaniałych pośladków. Uklęknął za nią, opierając dłonie na jej ramionach i po grzążył się w niej powoli, mrucząc:

- Ale jesteś ciasna, mała dziwko!

- Nie jestem jeszcze dobrze rozbudzona - zaprotestowała.

On jednak dalej wpychał w nią swoją dwudziestopięciocentymetrową kolumnę z hebanu, rytmicznymi ruchami poszerzając wąskie wejście.

W momencie, gdy zaczynał się w niej poruszać już bez trudu, rozległo się pukanie do drzwi. Znieruchomieli.

- To Sam - powiedziała ściszym głosem.

- Motherfucker! - zaklął „Black Knight”, odrywając się od Credence Proudfoot. Poszedł otworzyć.

Sam spojrzał na niego z uśmiechem, widząc jego erekcję.

- Hey, mań! Nieźle zaczynasz.

„Black Knight” ponownie zabrał się do pracy, uderzając w nią powolnymi ruchami lędźwi. Sam wyciągnął z kieszeni szortów skręta z haszyszu, kupionego przed chwilą u jakichś rasatafarian i

zapalił, patrząc lubieżnie na wypięte pośladki młodej kobiety. Czuł, jak jego członek rozsadza szorty. Zrzucił je i zaczął się onanizować. Jego broń nie była tak długa jak u „Black Knighta”, ale grubsza i żyłasta. Patrzył z podnieceniem na dwa poruszające się przed nim czarne ciała. Długi członek „Black Knighta” z regularnością metronomu pograżał się między pośladkami Credence Proudfoot, za każdym razem wyrywając jej z gardła ciężki jęk.

Nagle „Black Knight” zwrócił się do kumpla:

- Hey, mań, chcesz skończyć? Muszę wziąć prysznic.

- Yep! - odparł Sam, wstając.

Credence Proudfoot nawet nie drgnęła. Sam podszedł do niej i podsunął jej przed nos swój członek. Zaczęła ssać go z oddaniem. W głębi serca uwielbiała dzielić swoje życie między tych dwóch facetów, obdarzonych niczym ogiery, którzy traktowali ją jak dmuchaną lalkę.

- W porządku - powiedział, klęcząc na krawędzi łóżka.

Po czym stanął z tyłu i zaczął się w nią wwiercać łagodnie, aż wreszcie trysnął, krzycząc ochryple. Po chwili wszyscy troje znaleźli się pod prysznicem. Piersi Credence Proudfoot były jak wyrzeźbione z marmuru.

Pięć minut później jechali już samochodem w kierunku Crown Bay Marina.

„Black Knight” prowadził. Zaparkował na małym parkingu przed drewnianym barakiem z szyldem Gourmet at the sea. Razem weszli do małego supermarketu.

„Black Knight” zwrócił się do grubej, czarnej kasjerki:

- Fouad jest na zapleczu?

-Tak.

Dwaj mężczyźni uścisnęli się bez słowa. Fouad był Palestyńczykiem, mieszkającym od dawna na Wyspach. Jako właściciel wielu sklepów i firm importowych zajmował się przemytem z Saint-Martin niepasteryzowanych serów francuskich, których sprowadzanie zakazywało amerykańskie prawo celne.

-Otrzymałeś moją dostawę? - zapytał „Black Knight”.

- Trzy dni temu. Gdzie stoisz?

- Na wprost, na parkingu.

- Zaczekaj tam na mnie - powiedział Palestyńczyk.

„Black Knight” wyszedł na zewnątrz. Pięć minut później pojawił się Fouad, pchając wózek

obladowany kartonami ze znakiem Tropical Foods Import. Było ich tyle, że nie starczyło na nie miejsca w bagażniku i w samochodzie zrobiło się niewygodnie. Wrócili do hotelu. Na ich szczęście, pokoje, które wynajęli wychodziły na patio i nie musieli przechodzić koło recepcji.

W pokoju zaczęli otwierać kartony. W pierwszym były zawinięte w oryginalny, naoliwiony papier nowe, rosyjskie pistolety maszynowe Borko sześć. W drugim były magazynki: po cztery na każdą sztukę. Czarni patrzyli lubieżnie na broń rozłożoną na łóżkach.

-To rozumiem! - wykrzyknął „Black Knight”.

Broń ta przeszła skomplikowaną drogę. Kupiona na Ukrainie przez firmę jordańską, została wysłana do Peru i stamtąd trafiła na Saint-Martin, do strefy holenderskiej, gdzie została przewieziona na Sainte-Thomas.

Otworzyli ostatnie opakowanie. Były w nim granaty różnych typów: zapalające, za czepne, dymne, oślepiające... Sto sztuk.

Kolejny karton zawierał walkie-talkie, inny pistolety automatyczne Herstal z amunicją, po piętnaście sztuk w magazynku. Dwa wyposażone były w tłumiki. Ułożyli wszystko w walizkach i „Black Knight” rzucił okiem na swojego wielkiego, złotego breitlinga, skradzionego w jakimś pabie-show Harlemie.

- Musimy iść!

Zamknęli walizki na klucz, tak samo pokój i wsiedli do samochodu. Przejechali przez całą Charlotte Amelie, aż do centrum handlowego Heavensight, usytuowanego na wprost nabrzeża dla cruise-ships. Cumowały przy nim trzy statki. Znaleźli niewielką kawiarenkę internetową w pobliżu i usiedli na tarasie pośród innych czarnych.

Credence założyła nogę na nogę, tak, że można było zobaczyć jej majtki. W ciemnych okularach wyglądała na hollywoodzką gwiazdę. Mogła znakomicie służyć do tego, by przyciągać uwagę.

- Hej, siostró - zawołał do niej barman - nie widziałem cię tu jeszcze!

Spojrzała na niego chłodno.

- I więcej nie zobaczysz, jak będziesz się tak ślinił. Daj mi diet Coke.

Wiedziała, jak zdobyć respekt, przynajmniej u tych samców, którzy, widząc ją nie mogli myśleć o niczym innym, jak tylko o seksie.

Jego rozmówca uśmiechnął się z satysfakcją.

Za czterdzieści osiem godzin zamachy z 11 września staną się tylko bladym cieniem w obliczu tego, co planował.

- Nic niepokojącego? - zapytał jeszcze.

- Nic. Cooi.

- Spotkamy się w Hard Rock Cafe. Przy Veteran's Drive. Za godzinę.

„Black Knight” siedł wzdłuż wystaw butików Hea vensight, zagubiony w tłumie turystów, obserwując kątem oka Sea Princess, z której, przez furtę burtową, wylewały się kolejne tłumy. Zauważył mężczyznę, którego znał pod pseudonimem „Zuluman Tango Tango”. Podeszedł do niego.

- Wszystko gra? - spytał tamten.

- Wszystko - odparł z szacunkiem „Black Knight”.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Malko, nieco w głębi nabrzeża, gdzie stały trzy ogromne cruise-ships, obserwował wchodzących i wychodzących pasażerów. Zaledwie statki zacumowały, pasażerowie ruszali do sklepów, mając zaledwie kilka godzin na dokonanie zakupów. Rzędy mikrobusów czekały na tych, którzy mieli ochotę na przejażdżkę po zielonych wzgórzach Sainte-Thomas albo na tych, którzy chcieli odwiedzać niezliczone butikiki z alkoholem, biżuterią, papierosami, pamiątkami, ciągnące się wzdłuż Tolbud Gade, Dronningus Gade i Veteran's Drive, trzech ulic handlowych Charlotte Amalie.

Malko sprawdził przede wszystkim to, co go interesowało: bezpieczeństwo cruise-ships w chwili, gdy stały przy nabrzeżu, nie było zapewnione. Żadnej policji. Zaledwie jeden członek załogi przy trapie sprawdzał, czy wchodzący pasażerowie są rzeczywiście pasażerami. Później, już na pokładzie, nie było żadną sztuką zgubić się we wnętrzu tych mastodontów, przypominających sześciopiętrowe budynki. Wsiadł do samochodu z wypożyczalni i, jadąc wzdłuż brzegu morza, dotarł do starego fortu u wjazdu do Char lotte Amalie, gdzie znajdował się parking miejski. Na dwóch równoległych ulicach pełnych butików nie było gdzie parkować. Krążyły tu tylko taksówki, wożące klientów gotowych wydać swoje dolary.

Dzień w dzień tak samo, w nieopisanym chaosie. Tysiące turystów, przybywających o świcie i odpływających u schyłku dnia...

Wszystkie cruise-ships, bez wyjątku, podnosiły kotwice między piątą trzydzieści a szóstą wieczór. Setki czarnych sprzedawców, płatnych sześć dolarów za godzinę, powtarzało bez przerwy tylko jedno zdanie: „Z jakiego jest pan statku?” Czysty odruch handlowy, gdyż tak naprawdę mieli to gdzieś. Wszyscy liczyli tylko zyski. O szóstej opadały rolety wystaw i ulice gwałtownie pustoszały. Charlotte Amalie stawała się martwym miastem, z wyjątkiem małej dzielnicy rastafariańskiej. Kilka samochodów policyjnych stało na ulicach, ale nie była to „prawdziwa” policja. Przestępczość na Wyspach była bliska zeru. Mieszkańcy, żyjący z turystów, byli zbyt bogaci i zbyt leniwi, by oddawać się aktywności kryminalnej. Skoro pieniądze turystów płynęły do kieszeni szerokim strumieniem...

Malko zatrzymał się, zamyślony, naprzeciw sklepu Tommy Hilfiger.

Wypadki 11 września nawet nie zostały zauważone przez miejscową ludność. Amerykanie wsiadający na statki wycieczkowe w Miami nie mieli wrażenia, że mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie w tym wolnocłowym eldorado. Im dłużej myślał, tym bardziej wszystko zdawało się sprzyjać atakowi terrorystów, który mógł przybrać najrozmaitsze formy...

Chris Jones i Milton Brabeck w hawajskich koszulach, których długie poły pozwalały ukryć przynajmniej część ich artylerii, w oczekiwaniu przyjazdu Philipa Westlanda - przewidywanego jutro - oddawali się rozkoszom zakupów. Co do Johna Tumera, wyglądało na to, że chyba przeniósł się na inną planetę. Jego nazwisko nigdzie nie wypłynęło, ani na listach pasażerów samolotów, ani na listach pasażerów cruise-ships, przybywających na Wyspy Dziewicze pod koniec roku. Malko zaczynał się zastanawiać, czy nie dał się zwieść wyobraźni. O tym miał się szybko przekonać. Jeżeli Philip Westland - Abu Suleyman w Afganistanie - przybędzie na Wyspy Dziewicze jedynie na wakacje, Malko nie będzie miał tu nic do roboty.

„Black Knight”, Credence Proudfoot i Sam z uwagą przysłuchiwali się wykładowi Johna Tumera. Ten rozłożył na łóżku mapę Wysp Dziewiczych.

Spotkali się w Holiday Inn. Każde przyszło osobno i nikt o nic nie pytał ich na recepcji. Miejscowy personel pracował możliwie naj mniej intensywnie, a w całym hotelu panowała atmosfera życzliwej beztroski. Eks-agent CIA pokazał palcem na mapie zatokę Saint-Thomas. Sylwetki czterech cruise-ships były wyrysowane na niebieskim tle czarnym tuszem.

- Disney Magie przybędzie o szóstej rano 31 grudnia - powiedział.

- Odcumuje spod Heavensight o piątej po południu i wyruszy na Saint-Martin. Będzie na nim około 2400 pasażerów. Ekipa trzech braci wejdzie na pokład, a ja dołączę do nich z częścią sprzętu, który już wam przekazałem. Dzięki kartom pokładowym nie będzie z tym żadnych problemów. Jeden z nich był drugim oficerem na tankowcu.

Umie poprowadzić każdy statek. Pojawimy się na mostku dokładnie w pół godziny po odejściu od nabrzeża. Nie będzie problemu dzięki naszej broni. Bracia mają w swoich bagażach materiał wybuchowy, który zostanie umieszczony poniżej linii wodnej, z zapalnikami nastawionymi na szóstą trzydzieści.

- A co potem? - zapytał „Black Knight”.

- Kiedy przejmemy kontrolę nad Disney Magie, za wrócimy na spotkanie z Carnival Triumph z 3000 tysiąca mi pasażerów, który wychodzi pół godziny po nas, również w kierunku Saint-Martin. Oto miejsce, gdzie się prawdopodobnie z nim spotkamy. Wskazał punkt na pełnym morzu, na południe od Saint-Thomas. - Będziemy tak manewrować, by trafić go mniej więcej w jednej trzeciej długości kadłuba od strony dziobu, idąc całą naprzód, to jest około 25 węzłów. Uszkodzenie kadłuba będzie na pewno bardzo poważne. Być może nawet takie, że szybko zatonie. W tym miejscu głębokość wynosi wiele setek metrów.

- To będzie trudny manewr - zauważył „Black Knight”.

-Nie. Przewidziałem wszystko i umieściłem na Carni val Triumph drugą ekipę. Zaokrętowali się w Miami. Nie znają się na żegludze. Ich zadaniem jest tylko przejąć kontrolę nad mostkiem i spowodować zatrzymanie statku. W ten sposób trafimy tak, jak chcemy. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to spodziewam się, że spowodujemy zatopienie dwóch cruise-ships i śmierć wielu tysięcy ludzi, pasażerów i załogi. Pasażerowie to najczęściej emeryci, wielu nie umie pływać, wpadną w panikę...

Oczywiście, część przeżyje, ale tego się nie da uniknąć.

- Czy jest, bracie, szansa ucieczki?

Amerykanin wzruszył beztrosko ramionami.

- Będziemy próbowali z tego wyjść cało, ale to nie jest najważniejsze. Chodzi o to, by ta operacja podziałała na umysły jeszcze silniej niż 11 września.

- Oby Allah cię wysłuchał - wymamrotał z uwielbieniem „Black Knight”.

- I nikt nam nie przeszkodzi?

- Kto? - zapytał John Tumer. - Oczywiście spróbujemy zerwać łączność radiową, choć jest możliwe, że załoga zdąży wezwać pomoc. Interweniować może jedynie Coast Guard. Mają statki i helikoptery.

Ze względu na krótki czas operacji statki nie stanowią niebezpieczeństwa. Co do helikopterów... Będą potrzebowali czasu, by zorientować się w rodzaju i skali zagrożenia, zebrać ludzi... Nawet jeśli nadlecą szybko, co będą mogli zrobić? Najwyżej wylądować na pokładzie i próbować nas zneutralizować. Ale będzie już za późno... Nawet jeśli helikoptery znajdą się na Disney Magie przed kolizją i uda im się wyprzeć nas z mostku, nie zdołają niczemu zapobiec. Nie zapominajcie, że będzie zapadała noc, wybuchnie panika i będziemy mieli spore szansę, by ukryć się w tłumie.

- Wszystkie statki w najbliższej okolicy przyplyną na pomoc.

- Oczywiście, ale na to potrzeba czasu. Eksperci, z którymi się konsultowałem, mówili mi, że taki statek tonie około dwóch godzin, zwłaszcza Carnival Triumph, który zostanie staranowany. Insz' Allah!

- Insz' Allah! - powtórzył machinalnie „Black Knight”.

- I niech będzie błogosławione Imię Jego. A jaka jest nasza rola?

- Dzięki naszemu przyjacielowi z Crown Bay Marina wejdziecie 31 grudnia wraz z bratem Suleymanem na Golden Princess z 3100 ludźmi na pokładzie. Nasz przyjaciel go zaopatrjuje.

Przejdziecie jako tragarze, a później, już na pokładzie, znajdziecie kabinę, która będzie dla was przygotowana, zajęta od początku rejsu przez jednego z braci. Brat Suleyman też umie sterować statkiem, na tyle, na ile jest nam to potrzebne. Wychodźcie o tej samej porze, co Disney Magic, ale w innym kierunku, do Porto Rico. Musicie przejąć statek w pół godziny po odcumowaniu, po to, by zawrócić i uderzyć w wasz cel, czyli w Carnival Paradise, który wychodzi z Crown Bay pół godziny po was. Zapewnście bratu Suleymanowi pełne bezpieczeństwo, likwidując wszelki opór. Idealem byłoby oszczędzić ze dwóch oficerów. Mogliby prowadzić dalej statek pod waszymi rozkazami. Oba abordaże będą miały miejsce w przedziale kilku minut, około 6.30, kiedy zapada noc, a wszystkie służby bezpieczeństwa są mniej ostrożne ze względu na Nowy Rok. Jeżeli podsumować, to na czterech statkach będzie około 12 000 pasażerów i 10 000 członków załogi. Nawet jeśli wielu przeżyje i wszystkie cztery statki nie zatoną, szok emocjonalny będzie ogromny i żegluga turystyczna załame się i długo nie podniesie. Konieczne będą nowe środki bezpieczeństwa, a to wykończy przemysł turystyczny finansowo.

- Czy po uruchomieniu operacji będziemy w kontakcie? - zapytał „Black Knight”.

John Tumer uśmiechnął się upewniająco.

- Oczywiście, że tak! Każda z ekip będzie miała do dyspozycji Inmarsat i numer do wszystkich trzech pozostałych. Łączność będzie przerwana tylko raz podczas operacji, bezpośrednio przed atakiem i po piętnastu minutach przerwy wznowiona. Po wszystkim już nie będziemy się kontaktować. Każdy radzi sobie na własną rękę, Insz' Allah.

- Allah Akbar! - dodał „Black Knight”. - To wspaniały plan!

Podszedł do Johna Tumera i uściskał go.

Nawet Credence Proudfoot rzuciła mu wilgotne spojrzenie.

Długo studiował rozkłady rejsów, sprawdzał środki bezpieczeństwa, wielokrotnie wysyłał członków al Kaidy na wycieczki cruise-shipami, by sprawdzali rozmieszczenie punktów strategicznych, organizował zaopatrzenie w broń i materiały wybuchowe.

Wszystko dzięki Internetowi i dzięki niezliczonej liczbie bojowników na całym świecie. Fanatyków, ukrytych do ostatniej chwili, by w końcu kiedyś się ujawnić. I uderzyć.

John Tumer wymyślił tę operację tak, by wszystko zbiegało się w czasie, co ograniczało możliwość przeciwdziałania. Podobnie, jak w przypadku zamachów z 11 września. Operacja wymagała tylko lekkiego sprzętu: broni osobistej i materiałów wybuchowych. Wszyscy, którzy brali w niej udział, byli szkoleni w Afganistanie, ale przez wiele lat nie byli ze sobą w kontakcie. Koordynował ich poczynania jeden z adiutantów Osamy ben Ladena, zaś John Tumer mógł się nimi posługiwać wedle własnej woli. Nie była to w zasadzie żadna siatka, gdyż jeden nie znał drugiego. Byli „uśpionymi” agentami, których należało tylko reaktywować. Jeśli ta operacja się powiedzie, a nie było żadnych po wodów, by miało się stać inaczej, z pewnością zasłuży na tytuł „szabli Allacha”.

On, który nie tylko Allahem, ale i Bogiem, przejmował się generalnie nie bardziej, niż po

dartą koszulą. Złożył mapę.

- Nie zobaczymy się więcej - podsumował. - Każdy wie, co robić trzydziestego pierwszego. Teraz korzystajcie z życia i słońca, i nie zwracajcie na siebie uwagi. „Black Knight”, pojedziesz jutro na lotnisko, by przyjąć brata Suleymana, który przylatuje z Atlanty.

- Czy to ten, który był ze mną w tym samym czasie w Khost?

-Tak.

Wyszli z pokoju na dwa razy.

Najpierw „Black Knight”, później Credence Proudfoot i Sam.

John Tumer wyszedł na balkon i obserwował lądujący hydroplan. Wyobraził sobie dwa potężne pożary, które oświetlą niebo 31 grudnia.

Malko przyjechał na małe lotnisko Saint-Thomas na długo przed przylotem Philipa Westlanda. Chris Jones i Miliona Brabeck przyjechali osobnym samochodem. Czarny policjant przy wjeździe na lotnisko przetrząsał pobieżnie wjeżdżające samochody, od czasu do czasu zaglądając do bagażników. Czynił to rzadko, gdyż przez większość czasu drzemał pod dającą cień markizą.

- Co jest w programie? - spytał Chris Jones.

Pasażerowie ustawili się w kolejce do kontroli biletów na lot American Airiines do Miami. Przyloty były nieco dalej, naprawo.

- Rozdzielamy się - powiedział Malko. - Kiedy US Airways z Atlanty przyleci, szukacie Philipa Westlanda. Widzieliście zdjęcie. Nie wiem, czy będzie sam, czy nie, i jak opuści lotnisko. Najważniejsze to go nie zgubić.

W hawajskich koszulach, ciemnych okularach i ze świeżą opalenizną mogli wyglądać na turystów, gdyby nie przyglądać się im zbyt dokładnie...

- Jeśli weźmie mikrobus, ty, Milton, wsiądziesz z nim. Pojedziemy samochodem za wami. Najważniejsze, żeby cię nie namierzył.

Ustawili się przy wyjściu dla pasażerów. Po dziesięciu minutach głośnik zapowiedział samolot z Atlanty.

- Jest nasz człowiek - szepnął nagle Chris Jones.

Philip Westland wystawał o głowę ponad innych pasażerów. Krótkie włosy, sportowy wygląd, torba podróżna w ręce... Był uosobieniem młodej Ameryki, pewnej siebie i dobrze czującej się we własnej skórze.

Gdy dotarł do końca korytarza, zatrzymał się, szukając kogoś wzrokiem.

Po krótkim wahaniu skierował się ku potężnemu, czarnoskóremu mężczyźnie z ogoloną czaszką, w stylu gangsta rap, z grubym, złotym łańcuchem na szyi. Ten także go dojrzał, zamienili kilka słów i uścisnęli się jak bracia. Ruszyli razem w kierunku parkingu, gdzie wsiedli do otwartego forda mustanga.

Malko, który czekał na parkingu za kierownicą samochodu, również dostrzegł obu mężczyzn. Ruszył przed mustangiem i ustawił się w kolejce samochodów. Wyjazd z lotniska kosztował dolara.

Malko był zaintrygowany. Kim był ten czarny?

Z jednej strony nie było niczego nie zwykłego w tym, że Philip Westland ma przyjaciela, na wet czarnego, zwłaszcza, że w Waszyngtonie stanowili większość. Ale dlaczego nie przyjechali razem?

Po minięciu bramki zwolnił. Wkrótce mustang go do gonił. Mężczyźni rozmawiali z przejęciem. Pozostał za nimi w sporej odległości i zanotował numer rejestracyjny.

John Tumer, wmieszany w tłum pasażerów oczekujących na lot do Miami, obserwował całą scenę. Był ostrożny, choć ufał „Black Knightowi”.

Był tu jako ubezpieczenie. Widział przyjazd trzech mężczyzn w dwóch samochodach i wyczuł natychmiast w tym coś podejrzanego. Jego niepokój wzrósł, kiedy stwierdził, że jeden z nich odpowiada rysopisowi agenta CIA, który towarzyszył Pamela Chamberlain feralnego wieczora. To było ważne, bardzo ważne i mogło mieć katastrofalne skutki. Po pierwsze, Philip Westland został zidentyfikowany. Ci trzej mężczyźni nie znaleźli się przypadkiem na lotnisku w chwili jego przybycia, wiązały się z tym dwie hipotezy. Jedna, bardziej korzystna, że FBI lub CIA śledzi Westlanda od dawna i wszędzie. Ale mogło to oznaczać również, że jego przeciwnicy rozpracowali jego operację na Wyspach Dziewiczych. Z gardłem ściśniętym wściekłością i strachem udał się na parking i wskoczył do samochodu. Zostały trzy dni do trzydziestego pierwszego.

On, oczywiście, nie został zlokalizowany...

Ale „Black Knight” mógł doprowadzić agenta CIA z Emerald Beach wprost do niego. A nawet jeśli zostawią go w spokoju, operacja bez trójki czarnych i Philipa Westlanda spali na panewce. Chciał w pierwszej chwili śledzić ich bezpośrednio, kiedy miał jeszcze taką możliwość. To jednak mogło narazić operację na nieuchronną klęskę. Kiedy jechał w kierunku Charlotte Amalie, zaczął spokojnie rozważać sytuację. Ci mężczyźni nie byli zwykłymi policjantami. Na pewno nie będą się spieszyć z aresztowaniem tych, których śledzą. Najlepiej zatem było nic nie zmieniać w pierwotnych planach, a potem zorganizować zasadzkę. To oznaczało ogromne ryzyko, ale nie miał wyboru. Przed wszystkim musiał jednak uprzedzić współników, a to oznaczało nieprzewidziany kontakt z nimi. Przyspieszył.

„Black Knight” miał odwiedzić Philipa Westlanda do hotelu Yacht Haven na drugim końcu miasta i wrócić do Emerald Beach. To dawało Johnowi Tumerowi czas, być w Emerald Beach wcześniej i przygotować kontratak.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Malko przyglądał się zza ciemnych okularów Philipowi Westlandowi i czarnemu, którzy rozmawiali na plaży. W dniu jego przyjazdu ten ostatni zostawił Westlanda w hotelu Yacht Haven, a następnie wrócił do niego pod koniec dnia. Zjedli kolację w Hard Rock Cafe. Również i dzisiaj odwiedził go w hotelu. Jedną rzeczą była bardzo zastanawiająca: czemu ci dwaj mężczyźni, którzy zdawali się świetnie znać nawzajem, mieszkali w różnych hotelach. Chris Jones i Milton Brabeck, w kąpielówkach, udawali na plaży turystów, nie spuszczać oka z torby, w której znajdowało się ich „żelastwo”. Był 30 grudnia, a temperatura wynosiła 28 stopni.

Malko nie wiedział, co myśleć. Oczywiście, mógł spowodować zatrzymanie Philipa Westlanda przez miejscową policję na rozkaz FBI, ale co potem? Młody człowiek wyglądał na doskonale normalnego i nawet jeśli przeszedł przeszkolenie wiele lat temu w obozie al Kaidy, to dzisiaj to mogło nie mieć znaczenia. Malko nie próbował nawet poznać nazwiska czarnego mieszkającego w Emerald Beach, aby go nie alarmować.

Słońce zaczęło się zniżać i pomyślał, że trzeba wrócić do Charlotte Amalie, by porozmawiać z Frankiem Capistrano przez telefon. Ten ostatni nadal aktywnie poszukiwał Johna Tumera. Bez rezultatu.

Malko zostawił Milтона i Chrisa na plaży, by dalej śledzili Philipa Westlanda i wsiadł do samochodu. Zaledwie wyjechał z parkingu, musiał zwolnić. Jakiś samochód przed nim jechał zygżakiem od krawężnika do krawężnika. Nagle wóz zahamował tak gwałtownie, że omal na niego nie wpadł. Drzwi z prawej strony się otworzyły i wypadła przez nie czarnoskóra kobieta, najwyraźniej wypchnięta przez czarnego, który siedział za kierownicą. Kiedy się podniosła, samochód już się oddalił.

Malko przeżył szok: Czarna była absolutnie olśniewająca. Jej niebotycznych nóg nie mogły ukryć króciutkie szorty.

Jej piersi, niczym pociski, rozsadały białe bolero.

Została na środku drogi, zagrządzając przejazd, wyraźnie wytrącona z równowagi, skołowana. Zrobiła kilka kroków w kierunku jego samochodu.

Oczy miała wypełnione łzami.

- Mister! - powiedziała. - Zabierze mnie pan do miasta?

- Oczywiście - zgodził się natychmiast Malko.

Usiadła obok niego.

Była tak wysoka, że jej kolana niemal dotknęły podbródka.

- Co się stało? - zwrócił się do niej Malko.

- Widziałem całą scenę, jechałem za wami.

Wzruszyła ramionami.

- Tyson, my mań! Pokłóciliśmy się. Wyrzucił mnie z samochodu.

- To nie było uprzejme. Co się stało?

- Chce, żebym sypiała z pewnym typem, któremu jest winien kasę. Przegrał w pokera i nie ma skąd wziąć pieniędzy. Jak odmówiłam, powiedział, żebym spieprzała, żebym sobie radziła sama.

And he means it. No i OK.

Nie powiedziała już ani słowa, kiedy wspinali się i zjeżdżali w dół serpentynami drogi do Charlotte Amalie.

Dwadzieścia minut później byli już w mieście.

Malko obrócił się w kierunku swojej pasażerki.

- Dokąd panią podwieźć?

- Nie wiem. Gdziekolwiek.

- Jak to, gdziekolwiek?

- Nie chcę wracać z nim, bo mnie stłucze. Spróbuj znaleźć znajomych. Niech mnie pan zostawi przy kawiarence internetowej, tam kogoś znam.

To obok Heavenaj ght.

Był to podły bar koło parkingu, z tarasem, pełen czarnych, patrzących wrogo na Malka.

- Dziękuję - powiedziała, otwierając drzwi.

Była naprawdę piękna.

- Niczego pani nie potrzebuje? - spytał.

Potrząsnęła głową.

- No, it s gonna be OK.

Typy na tarasie patrzyły na nią jak stado szakali na ranną gazelę.

- Jak się pani nazywa?

- Credence Proudfoot.

Napisał na kartce numer swojego pokoju w hotelu i wręczył jej.

- Niech pani zadzwoni do mnie.

Jeśli nie będzie pani miała nic do roboty, możemy pójść razem na kolację.

Schowała kartkę i weszła do kawiarni.

Kiedy zobaczył jej pośladki, poczuł, jak wilgotnieją mu dłonie.

Wrócił do hotelu, sfrustrowany i zarazem w euforii. Znalazł wiadomość od Franka Capistrano, który domagał się pilnego telefonu.

- Mamy ślad Johna Tumera - powiedział SpecialAdvisor. - W Miami. Grzebiąc w jego aktach w Langley, znaleźliśmy alias, którego używał, pracując dla Firmy. Jack Talbert. Przekopaliśmy się przez wszystkie listy pasażerów i znaleźliśmy rezerwację na Saint-Martin z Miami na to nazwisko.

- Saint-Martin jest bardzo blisko Saint-Thomas - zauważył Malko.

- Właśnie. Wysłaliśmy zawiadomienie do policji na Saint-Martin, na oba nazwiska. Nie muszę chyba mówić, że nie powiadamiamy FBI.

Teraz czekamy. A co u pana?

- Nic nowego. Philip Westland opala się w towarzystwie swego czarnego kumpla, którego jeszcze nie ziden tyfikowaliśmy.

- Szczęściarze. Prezydent wyjechał na swoje ranczo do Teksasu, ale mnie kazał siedzieć w Waszyngtonie z powodu tej sprawy. Pan przynajmniej ma słońce. Zastanawiam się, czy aby Tumer nie opala się z kolei na Saint-Martin. Gdyby chciał przyjechać na Saint-Thomas, mógłby to zrobić bezpośrednio, posługując się swoim aliasem.

- Na to jest za ostrożny - stwierdził Malko.

John Tumer leżał na łóżku w swoim pokoju w Holiday Inn, przewijając w głowie i cofając film z ostatnich dni. Był przekonany, że wybrał dobrą opcję. Im dłużej czekał, by sprzątnąć swojego przeciwnika, tym mniej zostawiał władzom czasu na reakcję. Wszystkie agencje bezpieczeństwa zostaną pojutrze, w Nowy Rok, postawione na równe nogi. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze. Teraz, gdy zrobił już wszystko, co możliwe, by się za zabezpieczyć, starał się o niczym nie myśleć. Karty były teraz w rękach „Black Knighta” i jego przyjaciół. Nie przewidywał kontaktu z nimi aż do późnego popołudnia nazajutrz. Do godziny, kiedy wszystko pójdzie w ruch.

Żując sandwicha z tuńczykiem, zastanawiał się, gdzie jest teraz Osama ben Laden. Przez czystą ciekawość. Nie wiedział nawet, czy Szejk żyje. Albo gdzie będzie, kiedy usłyszy o tym, co się stało.

Rewanż za nieudany zamach dwa lata temu. Były agent CIA wolał nie myśleć o przyszłości. Jego przyszłość sięgała tylko jutra.

Jeżeli cztery wycieczkowce się nie zderzą, nie przeżyje tego. Wyrok był w rękach losu. Mógł z tego wyjść albo nie.

Byłoby zabawne, wrócić do pracy w grupie antyterrorystycznej, do Waszyngtonu, opalony i podjąć na nowo pracę, gdyby nic się nie stało.

- Może pan przyjść? Tu Credence Proudfoot.

Malko z trudem rozróżniał słowa pośród jęków i szlochu.

- Gdzie pani jest?

- Tam, gdzie mnie pan zostawił.

- Już jadę - powiedział Malko, nie zastanawiając się.

Właśnie skończył kolację z Chrisem i Milionem na tarasie hotelu.

Dwaj agenci popatrzyli na niego zaintrygowani, kiedy zapowiedział, że jedzie do miasta, ale sam. Nocne życie na Saint-Thomas sprowadzało się praktycznie do zera...

Pięć minut później zatrzymał się przed kawiarnią internetową koło Heavensight. Credence Proudfoot czekała na tarasie. Kiedy wyszedł z samochodu, wstała, podniosła z ziemi torbę podróżną i szybko do niego podeszła. Mimo makijażu było widać, że ma czerwone oczy.

- Ten skurwysyn spuścił mnie na bambus - powiedziała.

- I jeszcze zabrał kasę.

- Jadła pani kolację?

- Nie, ale nie jestem głodna.

Odjechali wzdłuż morza, kierując się do Charlotte Amalie.

Kiedy jechali, Credence Proudfoot spytała wstydliwie:

- Czy mogę spać w pana samochodzie?

Malko wybuchnął śmiechem.

- W samochodzie? Dlaczego?

- Nie mam dokąd iść - wyjaśniła. - Zanim nie zarobię na powrót do Nowego Jorku, nie mogę iść do hotelu, a nikogo tu nie znam.

- Nie pozwolę pani spać w moim samochodzie - obiecał Malko.

Dziesięć minut później byli w recepcji hotelu. Malko wziął dla Credence Proudfoot pokój z widokiem na reedę, obok swojego apartamentu.

- Proszę się rozgościć - powiedział, wręczając jej klucz.

- A potem może dołączy pani do mnie w restauracji...

Chris i Milton patrzyli na niego z zakłopotaniem.

- Długo pana nie było - zauważył Chris.

Milton Brabeck zaśmiał się dyskretnie.

- Mieliśmy króliczka. Ale uciekł i nie wróci...

Restauracja była prawie pusta. Klienci, Amerykanie w „złotym wieku”, wcześniej chodzili spać. Niespodziewanie Milton Brabeck znieruchomiał jak wyżeł wystawiający kaczkę.

- Jezu Chryste! Patrzcie, kto przyszedł!

Chris Jones odwrócił się i znieruchomiał, sparaliżowany.

Przepiękna Murzynka, prawie naga z wyjątkiem caraco ledwie trzymającego się na piersiach i w szortach tak krótkich, że zdawały się być tylko paskiem, rozglądała się po sali, stojąc w progu.

Ruszyła miękkim krokiem do ich stolika. Malko już stał.

- Credence, pozwoli pani sobie przedstawić: to Milton Brabeck, a to Chris Jones, moi przyjaciele, którzy są tu na wakacjach wraz ze mną.

- W. - rzuciła Credence Proudfoot głosem małej dziewczynki.

Obaj agenci omal nie połknęli widelców.

Trzeba powiedzieć, że jej twarz nieokiełznanej dziwki, wielkie sutki piersi, przebijające caraco i szorty, które nie kryły niczego prócz łechtaczki - to wszystko przyprawiało o cierpienie.

- Uczcijmy pani przyście! - powiedział Malko.

Zamówił szampana.

Po pięciu minutach przyniesiono Taittingera Comtes de Champagne rosę.

Kiedy strzelił korek, Milton i Chris podskoczyli, jakby wybuchł obok nich granat. Credence Proudfoot opróżniła kieliszek i powiedziała:

- Tacy jesteście mili! Its „finger licking good”!
- Pierwszy raz częstuje nas pan szampanem - zauważył perfidnie Milton.
- Jest pani głodna? - spytał Malko.
- Trochę - przyznała nieśmiało. - Gdzie są ladies room?

Kelner wskazał jej drogę. Kiedy wyszła, Chris eksplodował:

- Gdzie pan coś takiego znalazł?!
- Już wam mówiłem. Ale nie wierzyliście. Jest wspaniała, nieprawdaż?
- Wyobrażasz sobie siebie z nią w łóżku? - westchnął Milton Brabeck.
- Weź na wstrzymanie - zadrwił Chris. - To ci szkodzi.

chodźmy lepiej spać. To nieludzkie patrzeć tak i myśleć, co on z nią zrobi... Palce lizać!

W restauracji zostało tylko dwoje klientów.

Chris i Milton poszli spać po dużej dawce środków nasennych.

Credence Proudfoot kończyła pożerać wielką rybę z ryżem, wybierając go do ostatniego ziarenka i popijając Taittingerem Comtes de Champagne rosę, do ostatniej kropli. Potem odsunęła talerz i spojrzała na Malka z ekspresją, od której o mało nie eksplodował.

- Co ja bym zrobiła, gdybym pana nie spotkała! Nie wiem, jak dziękować.

Malko miał pewien pomysł, ale nie ośmielał się niczego sugerować.

- Odprowadzę panią do pokoju - powiedział.

Kiedy wstała, zatoczyła się lekko i objęła Malka, wspierając się na nim.

- Wypiłam za dużo szampana! Ale to było dobre!

Wyprowadził ją na taras i przez chwilę patrzyli na błyszczące światła redy.

Credence Proudfoot odwróciła się powoli i spojrzała prosto w oczy Malka. W tym samym momencie jej brzuch dotknął jego brzucha.

Dobitnie akcentując słowa, powiedziała bardzo wolno:

- Chcę się z tobą pieprzyć. I wszystko opowiem temu skurwysynowi, kiedy go znów zobaczę. Tak to jest, kiedy jest się oddanym dla przyjaciół...

Spokojnie zdjęła caraco, uwalniając wspaniałe piersi.

Rozpięła pasek swoich szortów, które zsunęły się na zie mię.

Miała na sobie tylko mikroskopijne czarne stringi.

- Fuck me! - rzuciła. - Fuck me hard!

Wystawiając biodra przed siebie, z prowokującym uśmiechem na swoich grubych wargach oparła się o niego.

Zaczął ją pieścić: jej skóra była jak atlas. Ocierała się o niego wielkimi sutkami, wydając zachwycające jęki. Wreszcie wsunął dłoń pomiędzy jej uda i kiedy ją pieścił, ona prawie zerwała jego pasek. Kiedy był nagi, uklękła i zaczęła go ssać. Malko utkwiał oczy w jej niesamowitych pośladkach. Wreszcie przerwał to uroczyste fellatio, czując, że nie jest w stanie dłużej się opierać.

- want to fuckyou now!

Credence Proudfoot wstała, a następnie uklękła, opierając się o brzeg łóżka i uniosła do góry pośladki. Kiedy w nią przeniknął, była ściśnięta, gorąca i głęboka. Chciał wdzierać się w nią dalej i dalej w poszukiwaniu słodkiego skarbu kobiecości, który zdawał się kryć w czeluściach jej wnętrza. Ta pozycja sprawiła, że eksplodował z rozkoszy. Nie zdążył wejść w nią tak, jak sugerowała. Nic straconego, pomyślał. Zrobi to jutro wieczorem. Świetny sposób na powitanie Nowego Roku.

Zaledwie o tym pomyślał, usłyszał jej ochrypły głos:

- Jutro rozszarpiesz mój zadek...

Uderzająca komunia myśli.

Muggens Bay była uważana za jedną z dziesięciu najpiękniejszych plaż na świecie. Credence Proudfoot zaproponowała Malkowi spędzenie tam dnia. Ubrana w czerwony, jednoczęściowy kostium kąpielowy, wzięła go za rękę i pociągnęła w kierunku drugiego końca plaży, odległego o 3 km.

- Chodźmy aż do końca - powiedziała. - Tam jest mniej ludzi.

Chris Jones podążał za nimi w rozsądnej odległości, w kąpielówkach, lecz z torbą plażową na ramieniu, kryjącą jego „żelastwo”. Było niesamowicie gorąco. Rozkoszując się chwilą, Malko czuł jednak nieokreślony niepokój.

Wieczór 31 grudnia był idealnym dniem na spektakularny zamach. Tymczasem nic się nie działo. Philip Westland wciąż przebywał na plaży Emerald Beach pod nadzorem Miliona Brabecka. W towarzystwie swego czarnoskórego kumpla wiódł życie urlopowicza, plaża i shopping, shopping i

plaża. Malko spojrział na swojego breitlinga: druga.

Jeszcze dziesięć godzin do końca roku. I wrócą z niczym z Saint-Thomas, nie licząc jego uroczej przygody z Credence Proudfoot. Zaczynać rok od sodomii z tak uroczym stworzeniem - to mogło być coś. Dzięki czemuś takiemu moż na było się pogodzić z wszelkimi troskami życia.

- Chodźmy popływać!

Głos Credence Proudfoot przerwał jego marzenia. Pociągnęła go za rękę prosto w ciepłą wodę. Byli na samym końcu plaży. Bardzo szybko Malko poczuł, że nie ma już gruntu i zaczął płynąć za Credence Proudfoot. Odwróciła się, czekając na niego. Uśmiechnęła się.

Kiedy się do niej zbliżył, machnęła ręką i ochlapała go. Poczuł, jak jej brzuch ociera się o jego własny. Pocałowała go. Coś równocześnie otarło się o jego nogi. Z początku myślał, że to ryba, ale czyjeś ramię zacisnęło się wokół jego talii i wtłoczyło go pod wodę.

Chris Jones rzucił wyglodniałe spojrzenie na Credence Proudfoot i Malka.

Kiedy wchodzili do wody, powiedział sobie, że dość, że mogliby nie grać mu na nerwach. Nie zwrócił uwagi na Murzyna, który, płynąc w pobliżu, za nurkował i zniknął. Nagle, kiedy Malko i dziewczyna obejmowali się w wodzie, Malko również niespodziewanie zniknął. Chris pomyślał, że to jakaś nowa gra erotyczna. Credence Proudfoot pozostała na powierzchni, bijąc po wodzie rękami. Nagle agent zorientował się, że Malko nie wynurza się. Są już od jakichś dwóch minut! Na szczęście był blisko. Wyrwał z torby magnum 357 i rzucił się w kierunku miejsca, gdzie Malko zanurzył się po raz ostatni. Malko walczył desperacko, by wydostać się na powierzchnię, zatrzymując resztki powietrza w płucach. Długie nogi Credence Proudfoot oplatały jego szyję, wtłaczając go w toń i dusząc. Ogromny Murzyn trzymał go za nogi i ciągnął w dół. Wiedział, że nie zdoła zaczerpnąć powietrza... Już półtorej minuty był pod wodą. Nagle zobaczył jakiś cień obok siebie i rozpoznał szerokie ramiona Chrisa Jonesa. Ten ostatni natychmiast zdał sobie sprawę z sytuacji. Prześlizgnął się do tyłu, złapał za szyję Credence Proudfoot i odciągnął ją od Malka, pogrążając jej głowę w wodzie. Dziewczyna instynktownie rozluźniła uchwyt nóg. Malko wyrwał się z uścisku mężczyzny i poderwał się do góry. Z całych sił wciągnął powietrze do płuc. Chris Jones i Credence Proudfoot szarpali się ze sobą w ślepej furii. Dziewczyna, wrzasnąwszy dziko, spróbowała wbić swoje wyostrzone paznokcie w oczy Chrisa. Zawył z bólu i puścił ją, co natychmiast wykorzystała, płynąc do brzegu. Mężczyzna, który chciał utopić Malka, wyskoczył na powierzchnię. Od razu zorientował się w sytuacji i ruszył kraulem do brzegu.

- Wszystko OK? - krzyknął Chris do Malka.

Ten, wykastłując wodę, kiwnął głową.

- Prędko, trzeba ich zatrzymać!

Credence Proudfoot dotarła już do brzegu i gnała jak gazela na drugi koniec plaży. Mężczyzna też znalazł się już na piasku i ruszył w poprzek plaży, gdzie pośród zieleni parkowały samochody. Chris Jones i Malko wyszli z wody kilka sekund później. Credence Proudfoot była już daleko, a jej

wspólnik zniknął za pierwszymi wydmami. Chris wyciągnął z torby magnum 357. Malko był jeszcze zbyt oszołomiony i miał za wiele wody w płucach, by wziąć udział w pościgu. Chris za to pognął jak strzała. Czarny, widząc, że Chris następuje mu na pięty, zatrzymał się, odwrócił i wyjął ze swojej torby krótki pistolet maszynowy. Natychmiast otworzył ogień. Chris miał ledwie tyle czasu, by schować się za pień palmy. Tamten, na brawszy odwagi, ruszył w jego kierunku. Fatalny błąd. Chris spokojnie wycelował ze swojej sześciostrzałowej armaty i nacisnął spust. Czarny zwinął się jak trafiony królik i znieruchomiał na piasku. Gdy Chris podszedł do niego, otoczyło go kilku czarnych.

- Hej, białasie! - krzyknął jeden z nich. - Zabiłeś brata.

- Policja! - wrzasnął Chris, by odstraszyć amatorów linczu.

Podszedł bliżej do swojej ofiary. Pocisk z magnum po zostawił w jego piersi dziurę wielką jak pięść. Nie żył.

Nadbiegł też Malko, ledwie łapiąc oddech.

- Szybko - powiedział - trzeba jechać do Emerald Beach.

Na wyspie nie działały komórki.

Ubierając się w biegu, rzucili się do samochodu Malka.

- Oby nic nie stało się Milionowi!

Musiał przyznać, że został wzięty przez zaskoczenie. Teraz mógł być już pewny, że operacja terrorystyczna jest w toku. Najważniejsze było przechwycenie Philipa Westlanda, który niewątpliwie brał w niej udział. Następnie należało podnieść alarm. Zaciskając zęby, nie za mienili ani słowa w drodze. Gdy dotarli do Emerald Beach - skamienieli: Milion Brabeck spokojnie czytał książkę, a niedaleko od niego stał w wodzie Philip Westland i rozmawiał ze swoim przyjacielem. Ta spokojna scena kontrastowała tak mocno z tym, co przeżyli przed chwilą, że Malko zapytał siebie, czy aby nie śni.

- Co robimy? - spytał Chris, równie zdezorientowany.

- Czekamy.

John Tumer odsunął słuchawkę od ucha, żeby nie ogłuchnąć od wrzasków Credence Proudfoot. Dzwoniła z budki, bo słyszał jakieś odgłosy w tle. Tak czy inaczej, wszystko było jasne. Jej kumpel Sam nie żył, ona nie wiedziała, dokąd uciekać, a CIA była na pewno w drodze do Emerald Beach.

- Co mam robić? - spytała.

- Przyjeżdżaj tutaj, do Holiday Inn - powiedział spokojnie John Tumer, odkładając słuchawkę.

Przez chwilę stał pogrążony w rozmyślaniach. Oceniał rozmiary klęski.

Cała operacja miała rozpocząć się za godzinę. Kilku jej protagonistów zostało wyłączonych z akcji, a za pozostałymi lada chwila CIA puści się w pościg. To była katastrofa. Spokojnie podjął decyzję i zaczął się ubierać.

Nie miał już wielu strzał w kołczanie.

Malko właśnie zamierzał telefonować, kiedy odniósł wrażenie, że ma do czynienia ze złudzeniem optycznym. Jakiś człowiek wysiadł z samochodu na parkingu Eme rald Beach i ruszył w ich kierunku spokojnym krokiem. Miał gołą głowę, ciemne okulary i jasny garnitur. Dzieliło ich około czterdziestu metrów. Był to, bez żadnych wątpliwości, John Tumer. Malko przyglądał mu się jak sparaliżowany. Amerykanin nie objawiał żadnej wrogości. Jednak nie mógł nie wiedzieć, że został rozpoznany.

Nagle Malko zrozumiał. Puls podskoczył mu do 150 uderzeń na minutę.

Zwrócił się w stronę Chrisa Jonesa.

- Chris, rewolwer!

Agent sięgnął po rewolwer do torby. Malko wyrwał mu go z ręki.

Wycelował w Johna Tumera.

- Stój! - krzyknął. - Zostań tam, gdzie jesteś!

John Tumer zdawał się nie słyszeć. Musiał jednak widzieć broń wycelowaną w niego. Malko zawołał raz jeszcze:

- Tumer, stój!

Nagle Amerykanin rzucił się ku niemu biegiem. Malko zrozumiał, że nie zostało mu zbyt wiele czasu. Trzymając oburącz magnum 357, wycelował w pierś eks-agenta i na cisnął spust. Odgłos wystrzału z magnum zlał się w jedno z o wiele silniejszym, ogłuszającym hukiem eksplozji, w której obłoku zniknął John Tumer. W jednej sekundzie zmienił się w kulę ognia, a fala uderzeniowa dotarła aż do Malka i Chrisa, obalając ich na ziemię.

Malko wstał, ogłuszony. W miejscu, gdzie stał Tumer, nie było niczego, poza czarnym śladem na ziemi. Zobaczył ludzi w kostiumach kąpielowych, nadbiegających zewsząd i zatrzymujących się wokół, nie rozumiejących, co się stało. Przerazające wycie jakiejś kobiety przerwało ciszę. Jeden z czarnych wskazał ręką coś zwisającego z drzewa. Była to ludzka noga, wyrwana w pachwinie, wciąż w nogawce spodni. Wszędzie było pełno ludzkich szczątków. Głowa Johna Tumera doleciała aż do plaży i spoglądała teraz na morze niewidzącymi oczyma.

- Jezu Chryste! - rzucił Chris Jones zdławionym głosem.

Malko popatrzył na czarną plamę na białych płytach chodnika. John Tumer wyciągnął wnioski ze swoich błędów i, widząc, że jego plany obracają się wniwecz, postanowił zamienić się w żywą

bombę.

Malko opadł na krzesło. Wokół wciąż rozlegały się histeryczne krzyki.

- Chris, niech pan uprzedzi FBI i władze wyspy - po wiedział. - Niech żaden cruise-ship nie wychodzi z portu. Został przygotowany zamach. Aresztujcie Philipa Westlanda i jego kumpla. Siedzą w tym po uszy.

Czuł się niewiarygodnie zmęczony. Niewiele brakowało.

Jeszcze kilka sekund, a i on zamieniłby się w ciepło i światło.